UWAGA BIBLIOGRAFICZNA – WAŻNIEJSZE WYDANIA

1. K. Lachmann, *T. Lucreti Cari De rerum natura libri sex*, Berolini 1860, *Commentarius* (czwarte wydanie 1882).

2. H. A. J. Munro, *T. Lucreti Cari De rerum natura libri sex* (3 t.), London 1908 (czwarte wydanie).

3. C. Giussani, *T. Lucreti Cari De rerum natura libri sex* (4 t.), Torino 1896–1898.

4. W. A. Merrill, *T. Lucreti Cari De rerum natura libri sex*, New York 1907.

5. A. Ernout, *Lucrèce De la nature* (2 t.), Paris 1920; A. Ernout – L. Robin, *Commentaire* (3. t.), Paris 1925–1928.

6. H. Diels, *T. Lucreti Cari De rerum natura libri sex* (2 t.), Berolini 1923–1924.

7. J. Martin, *T. Lucreti Cari De rerum natura libri sex*, Lipsiae 1934 (trzecie wydanie 1957).

8. W. E. Leonard – S. B. Smith, *T. Lucreti Cari De rerum natura libri sex*, Madison 1942.

9. T. Petrovski, *Lucreti De rerum natura libri VI* (2 t.), ex officina Academiae Scientiarum FRSS MCMXLV–MCMXLVII.

10. C. Bailey, *T. Lucreti Cari De rerum natura libri sex* (3 t.), Oxford 1947 (ponowne wydanie 1950).

Należy dodać, że w Bibliotece Klasyków Filozofii ukazał się (w 1957 r.) przekład dzieła Lukrecjusza *O naturze wszechrzeczy*, dokonany przez E. Szymańskiego (do druku przygotowała I. Krońska, komentarzem opatrzył K. Leśniak).

LUKRECJUSZ

O RZECZYWISTOŚCI

przeklad Adam Krokiewicz, Warszawa 2003

KSIĘGA PIERWSZA

O Eneadów[1] matko, o ludzi rozkoszy i bogów, o miłościwa Wenus, ty, co pod mknącymi znakami niebios morze, które nosi okręty, ty, co ziemię, która niesie plony, ożywiasz swą obecnością, ponieważ przez ciebie poczyna się wszelki ród stworzenia i zrodzon ogląda światło słoneczne...

Przed tobą, o, przed tobą, bogini, uciekają wichry, przed tobą i twoim przybyciem uciekają chmury z nieba, tobie pod stopy śle przemyślna ziemia słodkie kwiaty, do ciebie śmieją się morskie płaszczyzny, a czyste niebo lśni się w powodzi jasności...

Bo kiedy tylko z dziennych podwoi świt się wyłoni wiosenny, a ciepły wiatr zerwie okowy i rodnym powiewem powieje, najpierw ptaki powietrzne, do serc swych głębi wstrząśnięte twą mocą, głoszą o tobie, bogini, i o twym nadejściu. Za czym dzikie zwierzęta gnają w podskokach przez bujne pastwiska i przepływają wartkie rzeki. Tak każ-

[1] *Eneasz*, syn Anchizesa i Afrodyty (Wenery), przybył według tradycji starożytnej ze zburzonej Troi do Italii, gdzie się osiedlił razem ze swymi towarzyszami. Od niego mieli pochodzić Romulus i Remus, założyciele Rzymu. Lukrecjusz nazywa tutaj Eneadami (potomkami Eneasza) Rzymian w ogóle.

de w niewoli twojego uroku zdąża za tobą skwapliwie, dokąd je tylko powiedziesz. W końcu po morzach i górach, i rwących potokach, po liściastych mieszkaniach ptaków i po zielonych polach wszystkim stworzeniom wszczepiasz w serce błogi żar miłości i sprawiasz, że wszelki gatunek skwapliwie krzewi swe pokolenia.

A skoro rzeczywistością kierujesz ty jedynie i skoro nic się bez ciebie nie wydobywa na świetlane brzegi jasności, nic się nie staje wesołe i godne kochania, przeto pomocy twej pragnę przy pisaniu wierszy, które usiłuję składać o rzeczywistości dla naszego Memmiady[2]. Zechciałaś, bogini, żeby się wyróżniał we wszelakiej dobie blaskiem darów wszelakich. Tym bardziej więc użycz, o boska, nieśmiertelnego uroku mym słowom! Spraw, by tymczasem po morzach i po wszystkich ziemiach posnęły cicho dzikie zapasy wojenne! Albowiem ty jedynie możesz łaską pokoju dopomóc śmiertelnym, ponieważ dzikimi zapasami wojny rządzi Mars pancerny, a on często rzuca się na twoje łono, zmożon wieczystą raną miłości. I oto smukłą odchyliwszy szyję, spogląda w górę, miłością napawa – rozkochany w tobie, o bogini – swoje żądne oczy i leżąc na wznak oddechem u twych ust zawisa. Do niego, gdy na twym świętym ciele wypoczywa, pochyl się, boska, otul go dokoła i nie szczędź, o zbawicielko, słodkich słów namowy, prosząc o łaskę pokoju dla Rzymian, bo ani my nie możemy w czasie ciężkim dla ojczyzny spokojnie pełnić swego dzieła, ani sławna latorośl Memmiusza nie może w takich okolicznościach usuwać się od służby dla wspólnego dobra. (1–43[3]) . . . . . .

[2] *Memmiada*, Memmiusz; por. Wstęp. Memmiusz wywodził swój ród od Mnesteusa, jednego z towarzyszy Eneasza (por. *Eneida*, V 117).

[3] Wiersze 44–49, występujące także w ks. II jako ww. 646–651, zostały opuszczone w przekładzie (por. Wstęp). Wadliwie przekazany w kodeksach wiersz 50 „quod superest, vacuas auris (animumque sagacem)" i wiersze następne zwracają się do Memmiusza, ale w tekście nie ma jego imienia, co wskazuje na „lukę".

Wolne więc uszy i bystry rozum od trosk oderwany zwróć ku prawdziwej nauce, ażebyś mych darów, z wiernym złożonych ci sercem, nie odrzucił wzgardliwie, zanim je zgłębisz i pojmiesz. Oto zacznę ci prawić o najwyższej przyczynie nieba i bogów i roztoczę zarodki rzeczy, z których przyroda wszystko tworzy, powiększa i żywi i na które przyroda znowu te same rzeczy rozprzęga po zgonie. W tłumaczeniu zwykliśmy je nazywać materią i rodnymi ciałkami, a także określać nazwą ziaren rzeczy lub zwać je po prostu pierwotnymi ciałkami, bo z nich w pierwszym rzędzie jest wszystko. (50–61)

Gdy ludzkie życie dawało z siebie podłe widowisko, leżąc na ziemi pod ciężkim uciskiem religii, co swój łeb ohydny ukazywała od niebieskich stron i z góry strasznym wyglądem raziła śmiertelnych, pierwszy ważył się Greczyn[4] wznieść śmiertelne oczy i pierwszy stanął do walnej rozprawy. Jego ani rozgłos bogów, ani pioruny, ani niebo swym groźnym łoskotem nie zdołało poskromić, lecz jeszcze bardziej pobudziło żar i męstwo ducha, tak iż pierwszy zapragnął wyłamać ciasne wierzeje u bram przyrody. Więc przezwyciężyła żywa dzielność ducha! I podążył daleko poza ogniste wały świata, i przewędrował lotną myślą bezmiar całości. Stamtąd przynosi nam zwycięzca zdobyte orędzie: co może powstać, a co nie może, z jakiej po prostu przyczyny każda rzecz ma moc ograniczoną i kres głęboko tkwiący. Za czym religia z kolei wala się pod nogami w prochu, a nas wynosi zwycięstwo pod same niebiosa! (62–79)

[4] *Epikur*; por. Wstęp.

Lękam się przy tych rzeczach, ażebyś przypadkiem nie sądził, że przestępujesz próg bezbożnej wiedzy i wkraczasz na manowce zbrodni. Ale zaprawdę owa właśnie religia tylko – zbyt często rodziła zbrodnicze i bezbożne czyny. Tak w Aulis ołtarz Rozdrożnej Dziewy wodzowie Danaów, wzór i kwiat rycerzy, zbluzgali podle krwią Ifianassy[5]. Gdy wstęga otoczyła jej dziewicze sploty i w równej części z obu lic spłynęła, gdy spostrzegła, że ojciec przed ołtarzami zasępiony stoi, że obok niego kapłani skrywają żelaza, a obywatele łzy leją na jej widok, niema z trwogi padła na kolana, słaniając się ku ziemi. I nic nie mogło pomóc nieszczęśliwej w tej okropnej chwili, że pierwsza obdarowała króla imieniem rodzica. Albowiem porwały ją męskie dłonie i poniosły drżącą do ołtarzy, nie żeby po dokonaniu zwyczajem uświęconego obrządku mogła jej towarzyszyć dźwięczna pieśń weselna, lecz żeby czysta i niewinna, w ślubnym właśnie wieku, w sposób winny i nieczysty padła ofiarą pełną rozpaczy, z rąk własnego ojca na pomyślność wyprawy i na szczęście floty! W taką otchłań nieszczęścia i zbrodni zdołała zmamić religia. (80–101)

I przyjdzie już taka chwila, że skruszon straszliwymi słowy wieszczów będziesz szukał sposobu, jak by nas opuścić. Bo jakżeż wiele zaiste potrafią wymyślić ci baśni, które mogą zburzyć zdrowy pogląd na życie i całą twą szczęśliwość zmącić lękiem! I nie darmo! Gdyby bowiem ludzie widzieli, że ich niedola ma kres niewzruszony, to by się jeszcze mogli w jakiś sposób bronić guślarskim groźbom wieszczów. Lecz nie ma żadnego sposobu obrony, żadnej możliwości, bo bać się trzeba wiecznych kar po śmierci. Nie wiadomo bowiem, jaka jest natura duszy, czy się rodzi, czy też przeciwnie, w tych, co się rodzą, wstępuje, czy ginie razem z nami, gdy ją śmierć oderwie, czy też idzie oglądać mroczne, przepastne czeluście Orkusa[6], albo zali z boskiego wyroku wstępuje w inne stworzenia, jak to śpiewał nasz Enniusz[7], co pierwszy z uroczego Helikonu[8] przyniósł wieniec z nieśmiertelnych liści, mający słynąć sławą wśród ludów Italii. Chociaż ten Enniusz wykłada gdzie indziej, głosząc w nieśmiertelnych wierszach, że istnieją przybytki żałości, gdzie nie mają dotrwania ni dusze, ni nasze ciała, lecz jakieś mary dziwnie blade. Stamtąd mu się zjawiła, wspomina, zjawa wiecznie kwitnącego Homera i poczęła wylewać strugi słonych łez i kwieciście prawić o rzeczywistości. Dlatego musimy rozpatrzyć się dobrze nie tylko w tych rzeczach nad nami, a mianowicie, jaka przyczyna wywołuje wędrówki słońca i księżyca tudzież jaką mocą spełnia się wszystko na ziemi, ale także, i to w pierwszym rzędzie, zbadać bystrym rozumem, z czego składa się dusza i natura ducha i co to za rzecz jeszcze, zachodząca nam drogę na jawie, straszy nasze umysły, kiedy jesteśmy zmożeni chorobą lub kiedy jesteśmy pogrzebani we śnie, że niby widzimy na własne oczy i słyszymy na własne uszy tych, których kości przytula ziemia. A wiem ja dobrze, że trudno jest ciemne wynalazki Greków wyjaśniać w wierszach łacińskich, zwłaszcza iż wiele trzeba wyrażać nowymi słowami z powodu ubóstwa je-

[5] *Agamemnon*, znany z *Iliady* wódz Greków, obraził Artemidę, która za karę zesłała przeciwne wiatry i uwięziła jego flotę w beockim porcie Aulis, skąd miał wyruszyć przeciwko Troi. Ażeby przebłagać boginię, Agamemnon złożył jej – za radą wieszczka Kalchasa – ofiarę z własnej córki, Ifigenii (Ifianassy).

[6] *Orkus* (Hades), władca podziemnej krainy zmarłych.

[7] *Kwintus Enniusz*, sławny poeta rzymski, żył na przełomie III i II w. p.n.e.

[8] *Helikon*, pasmo górskie w Beocji, uważane za siedzibę muz (i Apollina).

zyka i nowości przedmiotu. Twoja wszelako cnota i słodka nadzieja rozkosznej przyjaźni skłania mnie do ponoszenia wszelkich trudów i przywodzi do tego, że czuwam po pogodnych nocach, szukając usilnie, jakimi słowami i jakąż wreszcie pieśnią zdołałbym tak jasne światło roztoczyć przed twoim umysłem, ażebyś z jego pomocą mógł przejrzeć do głębi rzeczy głęboko ukryte. (102–145)

Ten tedy ducha lęk i te ciemności muszą rozprószyć nie słońca promienie ni jasne dnia pociski, lecz dokładne i głębokie poznanie natury. Rzecz zaczniemy wywodzić z tego założenia, że nigdy nic nie powstaje z niczego przez boskie zrządzenie. Bo trwoga przytłacza wszystkich śmiertelnych dlatego, że widzą wiele zjawisk na ziemi i niebie, a nie mogąc żadną miarą dojrzeć ich przyczyn, uważają je za objawy bożej potęgi. Skoro więc zobaczymy, że nic się nie może rodzić z niczego, to potem już łatwiej będzie zdać nam sobie sprawę z tego, do czego zmierzamy, a mianowicie, skąd może się każda rzecz rodzić i jakim sposobem wszystko się dokonywa bez wysiłku bogów. (146–158)

Gdyby się bowiem rzeczy tworzyły z niczego, to ze wszystkich mógłby powstawać wszystek rodzaj i nic by nie potrzebowało ziarna. Po pierwsze, z morza ludzie, z ziemi mógłby się poczynać ród pokryty łuskami, a ptaki wylatywać z nieba. Stada i trzody, drapieżce wszelkiego rodzaju zapełniałyby wątpliwym pomiotem tak uprawne pola, jak opuszczone ostępy. Na drzewach nie byłoby ciągle tych samych, zwyczajnych owoców, lecz coraz inne. Wszystkie mogłyby wszystko rodzić. Zaprawdę, gdyby nie było rodnych ciałek dla każdej poszczególnej rzeczy, to jakże by one mogły mieć swą rodną macierz? Skoro jednak wszystkie poczynają się ze swoich ziaren, przeto każda stamtąd się rodzi i dobywa na brzegi światłości, gdzie jest jej materia

i ciałka pierwotne. I z tego powodu nie może powstawać wszystko ze wszystkiego, albowiem w poszczególnych rzeczach tkwi odrębna zdolność. Dlaczego zresztą róża wiosną, latem zboża, a winna latorośl na zew, jak widzimy, jesieni okrywa się bujnie, jeśli nie z tego powodu, że gdy poszczególne ziarna rzeczy spłynęły się ze sobą we właściwym czasie, jawi się wszystko, cokolwiek powstaje, jak długo pory roku sprzyjają i żywotna ziemia wydaje bezpiecznie swoje wątłe twory na brzegi jasności? Lecz gdyby tworzyły się z niczego, to jawiłyby się nagle w czasie nieustalonym i w niewłaściwych porach roku, jako że nie byłoby żadnych zarodków, które czas niedogodny mógłby powstrzymać od rodnego skupienia. Ani też czasu nie byłoby trzeba na dalszy rozwój rzeczy od zejścia się ziarna, gdyby róść mogły z niczego. Oto mężami stawałyby się nagle małe niemowlęta, a drzewa dobywałyby się z ziemi w gwałtownym podskoku. Jest jednak rzeczą namacalną, że nic się takiego nie dzieje, ponieważ wszystko rośnie powoli, jak należy, ze stałego ziarna i wzrastając zachowuje rodzajowe cechy. Poznać zatem możesz, że wszystko ze swojej li tylko materii powiększa się i żywi. Nie może przy tym ziemia bez stałych deszczy w roku wysyłać pędów, radujących oko, ani też natura stworzeń, pozbawiona pokarmu, krzewić swego rodzaju i życia zachować. Więc przypuszczaj raczej, że jest wiele ciałek wspólnych wielu rzeczom, jak to widzimy wspólne wyrazom litery, a nie, żeby rzecz jakakolwiek mogła powstawać bez zaczątków. W końcu, dlaczego przyroda nie zdołała stworzyć tak ogromnych ludzi, by nogami mogli w bród przechodzić morze, rękoma rozrywać wielkie góry, a żywotem swoim przezwyciężać całe rzesze zwyczajnych żywotów, jeśli nie z tego powodu, że rzeczy otrzymały stałą materię swojego tworzywa i że jest zawarowane, co z niej może

powstać? Wyznać więc należy, że nic nie może powstawać z niczego, ponieważ rzeczy potrzebują ziarna, aby zeń każda mogła się zrodzić i wydobyć na wiotkie tchnienia powietrza. Widzimy wreszcie, że uprawne pola są wydajniejsze od nie uprawionych i że pod wysiłkiem dłoni dają lepsze plony. Z tego zaś wynika jasno, że w ziemi są zarodki rzeczy, które my pobudzamy do znijścia, wywracając pługiem żyzne skiby i gwałcąc łono ziemi. Gdyby ich bowiem nie było, to widziałbyś, że bez naszych trudów wszystko darzyłoby się daleko lepiej samo z siebie. (159–214)

Każdą rzecz przy tym rozprasza natura na jej ciałka z powrotem, ale niczego doszczętnie nie niszczy. Gdyby coś bowiem było śmiertelne we wszystkich swoich cząstkach, to każda rzecz nagle z oczu precz by ginęła i przepadała. Żadnej by bowiem siły nie było potrzeba, która by mogła spowodować rozsypkę jej cząstek i rozerwać węzły. Teraz jednak, skoro każda rzecz składa się z nieśmiertelnego ziarna, to póki dostateczna siła nie zajdzie drogi i nie roztrzaska rzeczy swoim uderzeniem albo ich nie rozprzęgnie, wtargnąwszy przez puste miejsca do środka, tak długo natura nie dopuszcza do widomej zagłady niczego. A nadto, jeżeli czas unicestwia wszystko, co usuwa z powodu starości, i jeżeli trawi doszczętnie całą materię, to skąd Wenus sprowadza z powrotem ród stworzeń w jego rodzajach na światło życia albo skąd po sprowadzeniu karmi je i tuczy przemyślna ziemia, dostarczając pożywienia dla każdego rodzaju? Skąd bezustannie zasilają morze jego własne źródła i zdrożone rzeki? Skąd bierze eter[9] paszę dla gwiazd? Wszak nieskończony czas ubiegłych dni musi pochłonąć

[9] *Eter* w ówczesnym rozumieniu warstwa czystego ognia, otaczająca świat (kulisy) z ziemią w pośrodku (patrz V 457 n.), a w szerszym znaczeniu niebo (szczytowe).

wszystko, co się składa z ciała śmiertelnego. A jeśli były w tej otchłani ubiegłego czasu i jeśli z nich się składa nasz świat na nowo, to nieśmiertelną naturą są obdarzone na pewno. A zatem nie może wszystko obracać się w nicość. Wreszcie ta sama siła i ta sama przyczyna musiałaby niszczyć wszystkie rzeczy bez żadnej różnicy, gdyby ich nie dzierżyła nieśmiertelna materia, tworząc pośród siebie mniej albo więcej zadzierzgnięte węzły. Bo z pewnością wystarczyłoby dotknięcie, by zgon spowodować, zwłaszcza gdyby nie było żadnych rzeczy z nieśmiertelnego tworzywa, których przędzę musi siła za każdym razem rozrywać. Teraz jednak, skoro przędze zaczątków różnią się pomiędzy sobą, a materia jest wieczna, to rzeczy pozostają z ciałem nienaruszonym, póki nie zajdzie drogi i póki się nie znajdzie siła dostatecznie groźna dla każdej poszczególnej przędzy. Żadna rzecz zatem nie obraca się wniwecz, lecz wszystkie skutkiem rozprószenia obracają się w ciałka materii. W końcu giną wprawdzie deszcze, skoro je ojciec eter opuści ulewnie na łono matki ziemi, atoli wznoszą się hoże łany i zielenią się gałęzie na drzewach, które rosną i uginają się pod owocami. Stąd czerpie potem pokarm nasz ród i ród dzikich zwierząt. Stąd pochodzi, że patrzymy na wesołe miasta, kwitnące dziatwą, że liściaste gaje rozbrzmiewają dookoła śpiewem młodych ptasząt. Stąd, że objuczone tłuszczem bydlęta kładą się po bujnych pastwiskach i że biały płyn mleczny kapie z rozdętych wymion. Stąd, że po puszystej trawie igra i bryka na słabych nogach młode pokolenie, spoiwszy swe świeżuchne umysły nie mieszanym mlekiem. Nic więc, co ginie dla oka, nie ginie doszczętnie,

ponieważ natura odradza jedno z drugiego i nie dopuszcza do narodzin żadnej rzeczy, jeśli się nie pokrzepi śmiercią innej. (215–264)

A teraz baczność! Wprawdzie już wykazałem, że rzeczy nie mogą powstawać z nicości i że tak samo po urodzeniu nie mogą obracać się w nicość, ale żebyś przypadkiem i tak nie począł wątpić w moje słowa, jako że zarodków rzeczy nie można dojrzeć wyraźnie oczyma, to dowiedz się jeszcze, że są ciała, które ty sam musisz uznać za rzeczywiste a niedostrzegalne. Oto przede wszystkim pęd rozhukanego wichru smaga przystanie, rozbija olbrzymie okręty i roznosi chmury, a czasem, przebiegając ścigłym wirem przez pola, zaściela je ogromnymi drzewami lub nawałą podmuchów, co łamią całe lasy, nęka górskie turnie. Tak wicher szaleje z przeraźliwym świstem i sroży się z groźnym rykiem. Są więc oczywiście wichry niewidocznymi ciałami, co morze, co ziemię, co w końcu chmury zmiatają z niebios i w szponach nagłego wiru precz unoszą. One tak samo płyną i szerzą zniszczenie, jak kiedy żywioł ustępliwej wody pomknie nagle wezbranym nurtem. Wzmaga go skutkiem obfitych deszczy ogromna powódź z gór wysokich, spiętrzając szczątki lasów i całe drzewa, potężne zaś mosty nie mogą wytrzymać nagłego natarcia nadpływającej wody. Z tak ogromną siłą uderza rzeka, zmącona wielką ulewą, na potężne wały. Obala wśród strasznego huku i toczy pod falami wielkie głazy. Burzy, gdzie cokolwiek zawadza bałwanom. W ten tedy sposób muszą pędzić także podmuchy wichru, bo kiedy w jakąś stronę runą na podobieństwo wielkiej rzeki, prą rzeczy przed sobą i obalają w ponownych natarciach, a czasem chwycą swoim krętym świdrem i unoszą wirem szybko kołującym. Są więc niechybnie wichry niewidocznymi ciałami, ponieważ w swych czynach i obyczajach okazują się współzawodnikami potężnych rzek, które mają jawne ciało. A potem czujemy wprawdzie zapachy rozmaitych rzeczy, lecz nie widzimy nigdy, jak dochodzą do nosa. Nie dostrzegamy gorących wyziewów, nie możemy okiem uchwycić zimna ani też dźwięków widzieć nie nawykliśmy. A przecież to wszystko musi się składać z cielesnej natury, ponieważ może pobudzać zmysły, nic zaś zaiste prócz ciała nie może dotykać ni być dotykane. Suknie wreszcie, zawieszone na brzegu, gdzie się łamią fale, nasiąkają wilgocią, a wysychają, gdy je rozłożyć na słońcu. Nie widziano jednak, jakim sposobem wilgoć na nich osiadła ani też w jaki znowu sposób ulotniła się skutkiem gorąca. A więc ciecz rozpryskuje się na malutkie cząstki, których oczy na żaden sposób nie mogą dojrzeć. A nawet pierścień na palcu ściera się spodem od noszenia w przeciągu wielu powracających lat słonecznych, krople z okapu drążą kamień, żelazny ząb pługa ubywa niepostrzeżenie na roli. Widzimy, jak się już wydeptały gościńce z kamienia pod nogami tłumu. Okazują potem spiżowe posągi przy bramach, że się im kurczą prawice od ciągłego dotykania pozdrawiających przechodniów. Maleją więc te rzeczy, jak widzimy jasno, skoro się już zetrą, ale jakie z nich ciałka uchodzą w każdej poszczególnej chwili, to zazdrosna natura zakryła przed wzrokiem. W końcu żadne, nawet najbystrzejsze i najbardziej wytężone oko nie zdoła dostrzec tych wszystkich ciałek, jakie dzień i natura przydaje rzeczom stopniowo, zmuszając je do miarowego rozwoju. Nie zoczysz dalej, co tracą w każdej poszczególnej chwili te rzeczy, które się starzeją i schną ze starości, ani te skały, wiszące nad morzem i przeżarte kąśliwą solą. Niewidzialnymi ciałkami sprawia więc rzeczy natura. (265–328)

Nie wszystko jednak ciśnie się w tłoku zewsząd zwartej natury cielesnej, albowiem w rzeczach jest także i próżnia. Świadomość tego odda ci dobrą usługę w niejednym wypadku tudzież nie dopuści, ażebyś błądził pełen powątpiewań, ciągle dociekał spraw wszechświata i nie dowierzał naszym słowom. Gdyby tej próżni nie było, to rzeczy nie mogłyby się poruszać w żaden sposób, albowiem to, co stanowi główny obowiązek ciała, a mianowicie zaleganie i opór, wiązałoby wszystkie ustawicznie. Nic więc nie mogłoby z miejsca się poruszyć, bo żadna rzecz nie ustąpiłaby pierwsza. Atoli przed naszymi własnymi oczami porusza się z rozmaitego powodu, jak widzimy, wiele rzeczy na wiele sposobów, po morzach, po ziemi i po niebieskich wyżynach. Gdyby próżni nie było, to mało powiedzieć, że byłyby pozbawione swego nieustannego ruchu, lecz raczej żadną miarą nie byłyby w ogóle powstały, gdyż zewsząd zwarta materia trwałaby w spoczynku. Zresztą nawet rzeczy, uchodzące za najnieprzenikliwsze, mają rzadkie ciało, jak to stąd możesz poznać. W skałach i grotach przecieka przejrzysta ciecz wodna i wszystko spływa rzęsistymi łzami. Pokarm rozchodzi się po całym ciele stworzeń. Drzewa rodzą i obradzają o swoim czasie, ponieważ po całych rozpływa się pokarm przez pnie i przez wszystkie gałęzie od najniższych korzeni. Dźwięki wędrują poprzez ściany i przelatują przez zamknięte domy, srogie zimno przenika do kości. Nie miałbyś zaś tego widowiska żadną miarą, gdyby nie było pustych otworów, którędy mogą przechodzić ciałka wszelakie. I dlaczego w końcu jedne rzeczy przenoszą, jak widzimy, inne ciężarem, jakkolwiek ich kształt zgoła nie jest większy? Jeżeli bowiem w kłębku wełny tyle jest ciała, co w kuli ołowiu, to tyle także powinien ważyć, ponieważ obowiązkiem ciała jest cisnąć wszystko w dół, tak jak próżnię znowu ce-

chuje stały brak ciężaru. A więc to, co jest równie wielkie, a okazuje się lżejsze, samo świadczy najoczywiściej, że posiada więcej próżni. Cięższe natomiast zaręcza, że jest w nim więcej ciała i że ma wewnątrz daleko mniej próżni. Jest więc oczywiście, jak dociekamy bystrym rozumem, domieszane do rzeczy to, co nazywamy próżnią. (329–359)

Zapobiec tu muszę, aby cię nie odwiodło od prawdy to, co sobie roją niektórzy. Mówią mianowicie, że nurty ustępują przed parciem tworów, okrytych łuskami, i otwierają im przejrzyste drogi, ponieważ ryby pozostawiają za sobą miejsce, dokąd mogą spływać ustępujące fale. Mówią, że w ten sposób mogą także inne rzeczy poruszać się pomiędzy sobą i zmieniać miejsce, choć wszystko jest pełne. Polega to oczywiście na całkiem błędnym rozumowaniu. Bo gdzież będą mogły podążyć te twory, okryte łuskami, jeśli im nurty wpierw nie użyczą przestrzeni? A gdzie znów będą mogły fale ustępować, jeśli ryby nie zdołają się ruszyć? Albo więc trzeba wszelkie ciała pozbawić ruchu, albo powiedzieć, że do rzeczy jest domieszana próżnia, z której każda rzecz bierze początek ruchu. Jeśli wreszcie dwa szerokie ciała odskakują od siebie szybko po zderzeniu, to chyba musi powietrze zająć całą próżnię, jaka się wytwarza pomiędzy nimi. Nie może się nim jednak cała przestrzeń wypełnić od razu, choćby zewsząd spływało i wiało z największym pośpiechem, bo musi koniecznie zajmować jedno miejsce po drugim, a potem dopiero wszystko będzie zajęte. Jeśli więc ktoś myśli przypadkiem, że dzieje się to od razu, gdy ciałka odskoczą od siebie, ponieważ powietrze się zgęszcza, to myśli błędnie, gdyż wtedy powstaje pustka, której przedtem nie było, a równocześnie zapełnia się ta pustka, która przedtem była. Ani też takim sposobem nie może się zgęszczać powietrze, ani, gdyby już mogło, nie mogłoby

bez próżni, przypuszczam, ściągać się w sobie i swoich cząstek sprowadzać na jedno miejsce. (370–396)

Przeto choćbyś sprawę przewlekał, liczne wywodząc przyczyny, musisz w końcu przyznać, że w rzeczach istnieje próżnia. I mógłbym ci przytaczaniem wielu jeszcze dowodów wykrzesać wiarę w nasze słowa, ale dla bystrego umysłu dość tych drobnych śladów, po których sam już możesz poznać resztę. Albowiem, jak psy bardzo często, stanąwszy raz na pewnym tropie, węchem wynajdują zakryte liściem legowiska górskiej zwierzyny, tak samo ty potrafisz w sprawach tego rodzaju dojrzeć jedno za drugim bez cudzej pomocy, wedrzeć się do wszystkich ciemnych kryjówek i prawdę stamtąd wydobyć. Bo jeśli się lenisz lub jeśli choć trochę odstąpisz od rzeczy, Memmiuszu, to to ci mogę śmiało zapowiedzieć: z potężnych źródeł mój słodki język aż tak obfitym zdrojem z zasobnej piersi tryśnie, iż bałbym się, by żółwia starość nie wyczołgała się pierwej po członkach i nie otwarła w nas żywotnych wierzei, zanim me wiersze przeleją cały potop dowodów na każdą rzecz poszczególną przez twoje uszy. (397–417)

Żeby zaś teraz powrócić do zaczętego wątku i snuć go dalszymi słowami, to cała, jak jest przez się, natura składa się z dwóch rzeczy. Oto są ciałka i próżnia, w której się one mieszczą i gdzie się ruszają w rozbieżnych kierunkach. Że bowiem ciało przez się istnieje, o tym świadczy zmysł wszystkim wspólny, jeśli mu zaś nie dać pierwszej i niezachwianej wiary, to w sprawach zakrytych nie będziemy mieli, gdzie się odwołać i nie będziemy mogli niczego stanowić na podstawie rozumowania. A gdyby dalej nie było miejsca i przestrzeni, którą zowiemy próżnią, to ciałka nie mogłyby nigdzie się mieścić ani też w ogóle zdążać w rozbieżnych kierunkach, jak ci to już wyżej wykazaliśmy. Nie ma

zresztą niczego, co byś mógł nazwać zupełnie odłączonym od ciała i oddzielonym od próżni, co by się okazało trzecią niejako liczebnie naturą. Cokolwiek bowiem będzie, będzie musiało być czymś w każdym razie. Jeśli mieć będzie choćby najlżejsze i najskromniejsze dotykanie, to mniejsza o to, sporym czy szczupłym przyczynkiem, byleby było, przyczyni się do pomnożenia liczby ciała i pójdzie za całością. Jeśli zaś dotknąć się nie da i jeśli żadnej przez się przechodzącej rzeczy nie potrafi w przejściu przeszkodzić, to będzie oczywiście tą właśnie pustką, którą zowiemy próżnią. Cokolwiek zresztą przez się będzie istnieć, będzie musiało albo samo coś działać, albo poddawać się cudzym działaniom, albo też rzeczy będą w nim mogły być i dziać się. Atoli żadna rzecz nie może ni działać, ni poddawać się bez ciała, miejsca zaś pustka jedynie i próżnia użycza. Więc oprócz ciał i próżni nie można zostawiać w liczbie rzeczy żadnej trzeciej samoistnej natury, ani która by kiedykolwiek podpadła pod nasze zmysły, ani którą by mógł ktoś rozumowaniem uchwycić. (418–448)

Bo wszystko zaiste, co ma jakieś imię, stanowi – jak docieczesz – albo przynależność tych dwóch rzeczy, albo jest – jak zobaczysz – ich wydarzeniami. Przynależne jest to, co bez zgubnego zerwania nie da się nigdzie ani odłączyć, ani oddzielić. Tak przynależy ciężar do głazów, gorąco do ogni, a ciekłość do wody, tykanie do wszystkich ciałek, a nietykanie do próżni. Natomiast niewolę, ubóstwo, dostatek, wolność, wojnę, pokój oraz resztę tych rzeczy, za których przybyciem jako też odejściem natura zostaje nietknięta, zwiemy naszym obyczajem, jak każe słuszność, wydarzeniami. Czas przez się również nie istnieje, lecz tylko po rzeczach zmysł dochodzi, co się odbyło w przeszłości, jaka rzecz potem nastaje i wreszcie co dalej nastąpi. I wy-

znać należy, że nikt nie odczuwa samoistnego czasu poza ruchem rzeczy i ich spokojnym wypoczynkiem. Wreszcie, kiedy mówią, że córka Tyndara[10] została porwana i że trojańskie plemiona zostały ujarzmione w wojnie, trzeba dobrze zważać, aby te rzeczy nie wymusiły na nas przypadkiem wyznania, że istnieją same przez się, jako że te pokolenia ludzkie, które miały owe wydarzenia, dawno już uniosła bezpowrotna przeszłość. Oto o wszystkim, cokolwiek się stanie, będzie można powiedzieć, że zdarzy się albo na szerokiej ziemi, albo w pewnych tylko okolicach. Gdyby wreszcie nie było żadnego tworzywa rzeczy i żadnej przestrzeni ni miejsca, w którym się wszystko dzieje, to nigdy żar miłosny, wzniecony krasą córki Tyndara i buchający pod frygijską piersią Aleksandra, nie byłby rozpalił okrutnej pożogi wojennych zapasów, ani też koń drewniany, w tajemnicy przed Trojanami porodziwszy nocą Greków, nie byłby zażegł pożaru Pergamów[11]. Przeto poznać możesz, że wszystkie bez wyjątku dokonane czyny nie są i nie istnieją przez się tak, jak ciało, ani też nie zyskują sobie imienia tym samym prawem, co próżnia, lecz raczej tak, iż można je słusznie nazywać wydarzeniami ciała i miejsca, w którym się wszystko dzieje. (449–482)

Ciałami są dalej częścią zarodki rzeczy, częścią to, co polega na skupieniu zaczątków. Atoli owych zarodków rzeczy żadna siła nie zdoła zniszczyć, ponieważ ostatecznie odnoszą zwycięstwo dzięki swemu nieprzenikliwemu ciału, chociaż trudno jest wierzyć na pozór, by w rzeczach mogło być coś o ciele nieprzenikliwym. Oto przez ściany domów

[10] *Córka Tyndara*, Helena, żona Menelausa, uprowadzona przez Parysa (Aleksandra).

[11] *Pergamy*, nazwa zamku trojańskiego, a także samej Troi.

przechodzi grom niebieski tak jak krzyk i głosy. Żelazo bieleje w ogniu i pękają kamienie, rozpalone srogim żarem. Gorącu daje się porazić i topić zimny hart złota. Topnieje potem lodowa opoka spiżu, zwyciężona przez płomień. Przez srebro przenika ciepło i przenikliwe zimno, ponieważ trzymając w dłoni puchary wedle obrządku czujemy i jedno, i drugie, kiedy się wleje z góry wodną rosę. Aż do tego stopnia nie ma, zdaje się, niczego nieprzenikliwego w rzeczach. Ponieważ jednak prawdziwe rozumowanie i natura rzeczy taki mus nakłada, to posłuchaj uważnie, póki ci w kilku wierszach nie wyłuszczymy, że istnieją ciałka o ciele nieprzenikliwym i wiecznym, które my w naszej nauce nazywamy ziarnami rzeczy oraz zarodkami i z których zrodził się i składa cały świat teraźniejszy. (483–502)

Przede wszystkim, skoro się okazało, że istnieje dwojaka, i to zgoła niepodobna do siebie natura dwóch rzeczy, a mianowicie ciała i miejsca, w którym wszystko się dzieje, to jedna i druga musi być przez się sama i czysta. Gdzie tylko bowiem zieje przestrzeń, którą nazywamy próżnią, tam nie ma ciała, a gdzie tylko znowu zalega ciało, tam żadną miarą nie ma pustej próżni. Więc ciałka pierwotne są nieprzenikliwe i bez próżni. Skoro zresztą w rzeczach zrodzonych jest próżnia, to dookoła musi być nieprzenikliwa materia, bo o żadnej rzeczy nie da się wykazać prawdziwym rozumowaniem, żeby w swoim ciele kryła i żeby miała wewnątrz próżnię, jeżeli tego, co dzierży, nie zostawia się nieprzenikliwym. Tym, co może dzierżyć próżnię rzeczy, nie może być dalej nic innego, niż tylko skupienie materii. Więc materia może być wieczna, składając się z ciała nieprzenikliwego, choć reszta idzie w rozsypkę. Gdyby następnie nie było tej ziejącej pustką próżni, to całość wszystkiego byłaby nieprzenikliwa. Gdyby zaś z drugiej strony nie

było ciałek istotnych, wypełniających wszystkie miejsca przez się zajęte, to całość wszystkiego byłaby pustką i próżną przestrzenią. Skoro jednak nie jest ani wyłącznie pełna, ani też pusta, więc oczywiście ciało i próżnia przegradzają się na przemian. Są tedy ciałka istotne, co mogą przegradzać próżną przestrzeń pełną. Nie mogą ich roztrzaskać zewnętrze uderzenia, nie może nic wniknąć do ich wnętrza i rozmotać przędzy ani też żadne inne zapędy nie mogą przywieść ich do upadku, jak ci to już wyżej wykazaliśmy. Albowiem jasną jest rzeczą, że nic bez próżni nie może być ani strzaskane, ani złamane, ani rozłupane na dwoje od cięcia, że nic nie może chłonąć wilgoci, a tak samo wsiąkającego zimna lub przenikliwego ognia, od czego wszystko niszczeje. I im więcej próżni coś wewnątrz zawiera, tym niezawodniej pada łupem tych rzeczy. Jeżeli zatem ciałka pierwotne są nieprzenikliwe i pozbawione próżni, tak jak powiedziałem, to muszą także trwać wiecznie. Gdyby zresztą materia nie była wieczna, to już dawno rzeczy wszelakie obróciłyby się w nicość i wszystko, cokolwiek widzimy, byłoby wskrzeszone z nicości. Ponieważ jednak wykazałem wyżej, że nic nie może rodzić się z niczego, ani to, co powstało, nie może wniwecz się obracać, przeto nieśmiertelne ciało mieć muszą zarodki, by na nie mogło się wszystko rozpraszać w chwili ostatecznej i żeby starczyło materii do wskrzeszania rzeczy. Więc zarodki są jednolite i nieprzenikliwe i tylko w ten sposób mogą, zachowawszy się przez wieki, od nieskończonego już czasu sprawiać rzeczy na nowo. (503–550)

Gdyby wreszcie natura nie ustanowiła żadnego kresu w kruszeniu rzeczy, to pod naporem ciągle kruszącej przeszłości doszłyby już ciałka do takiego stanu, iż nic z nich od pewnego czasu nie mogłoby zrodzić się i przekwitać,

przebywając progi doczesnego bytu. Albowiem widzimy, że wszystko daje się rychlej zniszczyć niż sprawić na nowo. Dlatego to, co by dotąd pokruszyła, burząc i niszcząc, cała długa i nieskończona przeszłość ubiegłych dni, nie dałoby się już nigdy sprawić na nowo w pozostałym czasie. Skoro jednak widzimy, że każda rzecz się odradza oraz że według rodzaju są ustalone dla rzeczy okresy, w których mogą osiągnąć kwiat swego żywota, to kres kruszenia trwa oczywiście niezłomnie. Da się przy tym wytłumaczyć mimo nieprzenikliwości ciałek materii, jakim sposobem wszystkie miękkie ciała, powietrze, woda, ziemia i ogniste żary, stają się miękkie i jaką mocą wszystko się dzieje, skoro raz próżnię domieszać do rzeczy, a wytłumaczyć natomiast się nie da, skąd mogą powstawać potężne krzemienie i żelazo, albowiem cała ich natura utraci swą główną ostoję, jeżeli miękkie są zarodki rzeczy! Mają więc moc nieprzenikliwej jednolitości, a w razie ich gęstszego skupienia wszystko może się zacieśniać i ujawniać potężne siły. (551–576)

Jeżeli dalej nie ma żadnego kresu w kruszeniu ciał, to w takim razie wszelakie ciałka musiałyby od nieskończonego czasu jeszcze teraz ostawać się dla rzeczy i uchodzić za takie, których jeszcze nigdy nie spotkało żadne niebezpieczeństwo. Lecz skoro mają kruchą naturę, to z tym się nie zgadza, żeby mogły trwać wiecznie w udręce nieprzeliczonych uderzeń przez wieki. A wreszcie, ponieważ rzeczy mają wedle swoich rodzajów ustalane granice rozwoju i długości życia i ponieważ jest uświęcone prawami natury, co każda z nich może, a czego nie może, ponieważ nic się nie zmienia, lecz wszystko do tego stopnia pozostaje sobie wierne, iż wszystkie pokolenia różnobarwnych ptaków ukazują plamy swego rodzaju na ciele, to ciało muszą mieć także z niezmiennej materii. Bo gdyby

zarodki rzeczy dało się w jakiś sposób zmóc i zmienić, to byłoby już także niepewne, co może powstać, a co nie może, z jakiej po prostu przyczyny każda rzecz ma moc ograniczoną i kres głęboko tkwiący, i nie mogłyby już pokolenia wedle swoich gatunków tylokrotnie wskrzeszać natury, obyczajów, sposobu życia i ruchów rodziców. (577–598)

A dalej, ponieważ ostatkiem jest wszelki koniuszek, to w owym ciałku, którego już nasze zmysły dostrzec nie potrafią, nie ma on oczywiście żadnych zgoła cząstek i stanowi najmniejszą wartość, a nigdy nie istniał przez się oddzielnie ani też potem nie zdoła istnieć, bo sam jest cząstką czegoś innego, pierwszą i jedną zarazem. Stąd inne i inne podobne cząstki wypełniają po porządku gęstym szeregiem naturę ciałka, nie mogąc zaś istnieć same przez się, muszą tkwić tam, skąd żadnym sposobem nie można ich wyrwać. Więc zarodki są jednolite i nieprzenikliwe. Zwierają się w sobie szczelnie spojone nader drobnymi cząstkami. Nie powstały zaś z ich rzeszy drogą skupienia, lecz moc ich polega raczej na ich odwiecznej jednolitości, z której natura, zachowująca ziarna rzeczy, nie dozwala już niczego ni uszczknąć, ni umniejszyć. Jeżeli zresztą nie będzie najmniejszej wartości, to wszystkie, nawet najdrobniejsze ciałka będą się składać z nieskończonej liczby cząstek, bo połowa zawsze mieć będzie swoją połowę i żadna rzecz temu nie położy kresu. Jakaż więc będzie różnica pomiędzy wszechnością (wszechświatem) a najmniejszą z rzeczy? Nie będzie żadnej, bo choćby wszechność była nie wiedzieć jak nieskończona, to przecież i najmniejsze rzeczy tak samo składać się będą z nieskończonych cząstek. Ponieważ zaś szczery rozum głośno i stanowczo woła, że umysł temu nie może dać wiary, musisz się poddać i wyznać, że są te okruszyny,

które już żadnych więcej cząstek nie posiadają i które stanowią najmniejsze wartości. One istnieją, a więc musisz wyznać, że istnieją także nieprzenikliwe i wieczne zarodki. Gdyby w końcu natura, tworzycielka rzeczy, taki mus nałożyła i gdyby miała zwyczaj rozpraszać wszystko na najmniejsze cząsteczki, to już by z nich nic nie mogła sprawiać na nowo, a to z tego powodu, że te szczątki, nie posiadające żadnych więcej cząsteczek, nie mogą mieć tego, co winna mieć rodna materia, a mianowicie rozmaitych splotów, ciężarów, uderzeń, zbiegów i ruchów, dzięki czemu stają się wszelakie rzeczy. (599–634)

Dlatego bardzo daleko zabrnęli, zdaje się, od prawdy ci, co wpadli na pomysł, jakoby ogień był tworzywem rzeczy i jakoby jedynie z ognia składała się całość wszystkiego. A pierwszy kroczy do walki ich wódz, Heraklit[12], sławny z powodu swej zawiłej mowy raczej pośród pustych niż pośród poważnych Greczynów, którzy dociekają prawdy. Albowiem głupcy więcej wielbią i miłują to, co widzą pod osłoną słów pogmatwanych, i obwołują prawdą to, co potrafi zgrabnie połaskotać uszy i co się mizdrzy wdzięcznym dźwiękiem. (635–644)

Pytam się bowiem, dlaczego rzeczy są tak rozmaite, jeżeli są tylko z ognia, i to z czystego ognia zrodzone! Bo nic nie pomoże, że gorący ogień robi się gęsty, nic, że robi się rzadki, jeżeli cząstki ognia będą miały poza tym tę samą naturę, jaką ma cały ogień. Oto po skupieniu cząstek żar byłby silniejszy, a słabszy znowu po ich rozrzuceniu i rozsypaniu. Niczego więcej nie można wyczekiwać przy takich przyczynach, a cóż dopiero, żeby ta tak wielka rozmaitość rzeczy mogła wynikać z gęstych i z rzadkich ogni!

[12] *Heraklit z Efezu*, filozof grecki, żył na przełomie VI i V w. p.n.e.

A jeszcze pod tym tylko warunkiem będą mogły ich ognie zgęszczać się i rzednąć, że zgodzą się próżnię domieszać do rzeczy. Ponieważ jednak widzą piętrzące się sprzeczności, a boją się i nie chcą zostawiać w rzeczach czystej próżni, przeto z trwogi przed urwiskami gubią drogę prawdy i tego znowu nie widzą, że po wyłączeniu próżni z rzeczy wszystko staje się gęste i że ze wszystkiego powstaje jedno ciało, które niczego nie może ze siebie pospiesznie wysyłać, jak to na przykład gorący ogień zieje światłem i żarem, a ty widzisz z tego, że się nie składa ze zwartych cząstek. A jeśli przypadkiem wierzą w inny sposób, a mianowicie, że ognie mogą gasnąć w skupieniu i zmieniać swe ciało, oczywiście jeśli nie nałożą sobie w tym względzie żadnego wędziła, to cały ogień sczeźnie na nice i z nicości będzie powstawać to wszystko, co tylko się rodzi. Cokolwiek bowiem, uległszy przemianie, ze swych wychodzi granic, zaraz to znaczy się śmiercią tego, co istniało przedtem. Przeto musi w nich pozostać coś nienaruszone, żeby ci się wszystkie zgoła rzeczy nie obróciły w nicość i żeby z nicości nie rozkwitał na nowo świat odrodzony. Skoro więc teraz istnieją pewne ciałka najpewniejsze, które zachowują zawsze tę samą naturę, a za których odejściem, przybyciem lub zmianą porządku zmieniają swą naturę rzeczy i ciała się przeobrażają, to jasne jest chyba, że te ciałka rzeczy nie są ogniste. Nie miałoby bowiem żadnego znaczenia, że jedne odchodzą i ustępują, inne się dołączają, a niektóre zmieniają porządek, gdyby wszystkie mimo to zatrzymywały naturę żaru, bo ogniem musiałoby być zawsze wszystko, co by utworzyły. Lecz jest, myślę, tak: są pewne ciałka, których zbiegi, ruchy, porządek, układ i kształty wytwarzają ognie i które, zmieniwszy swój porządek, zmieniają naturę, nie są zaś podobne ani do ognia, ani do żadnej innej rzeczy, co

może słać ciałka do naszych zmysłów i bezpośrednio dotykać naszych dotyków. (645–689)

Mówić dalej, że wszystko jest ogniem i że pośród wszystkich rzeczy nie ma żadnej prawdziwej prócz ognia, jak to czyni on właśnie, wydaje się szczytem szaleństwa. Sam bowiem zwalcza zmysły na podstawie zmysłów i podkopuje owe podwaliny wszelkiego wierzenia, dzięki którym i on przecież poznał ten, jak go nazywa, ogień! Wierzy zaiste, że zmysły poznają ogień prawdziwie, lecz nie wierzy, żeby tak samo poznawały niemniej jasną resztę! Jest to mym zdaniem niedorzeczność, a nawet szaleństwo. Bo gdzież się odwołamy? Na czym możemy więcej polegać niż na zmysłach, by prawdę odróżnić od kłamstwa? Dlaczego ktoś zresztą miałby wszystko rzucać i tylko jedną naturę ognia z łaski pozostawiać, a nie przeczyć raczej istnieniu ognia, pozostawiając poza tym wszystko inne? Jednakim błędem wydaje się bowiem mówić jedno i drugie. (690–704)

Dlatego ci, co myśleli, że ogień jest tworzywem rzeczy i że z ognia może się składać całość wszystkiego, jako też ci, co powietrze ustanowili zaczątkiem powstających rzeczy, oraz ci wszyscy, ilu ich tylko mniemało, jakoby ciecz tworzyła rzeczy sama przez się lub jakoby ziemia rodziła wszystko i przeobrażała się w natury wszystkich rzeczy, zbłądzili bardzo daleko, jak widać, z drogi prawdy. Dodaj tych jeszcze, co podwajają zarodki rzeczy, kojarząc powietrze z ogniem, a ziemię z wodą, i tych, co sądzą, że wszystko może powstawać z czterech żywiołów, a mianowicie z ognia, ziemi, powietrza i dżdżu. Do nich należy przede wszystkim Empedokles z Akragas[13]. Nim się po-

[13] *Empedokles z Akragas* na Sycylii, filozof i poeta grecki, żył w V w. p.n.e.; patrz Wstęp.

szczyciła ta wyspa na swoich trójkątnych wybrzeżach, którą opływa w wielkich zakrętach jońska toń, bryzgająca jadowitą pianą z fal sinozielonych. Wąską cieśniną rozwścieczone morze przedziela falami brzegi ziem Italii od jej krańców. Tu jest przepastna Charybdis[14]. Tu grożą etnejskie ryki, że znowu zbierają się gniewne płomienie, ażeby wściekłość rzygnęła raz jeszcze ognistym wybuchem, wydartym z gardzieli, i znowu niosła pod niebo pożogę błyskawic. A choć ta tak wielka kraina budzi z wielu względów słuszny podziw u śmiertelnych plemion i uchodzi za godną widzenia, choć opływa w dostatki, w mężów jest zasobna, to zdaje się jednak, że nigdy nie wyłoniła nic znakomitszego od owego męża, nic świętszego ni cudowniejszego, ni cenniejszego. Oto nawet pieśni jego boskiej piersi tak głoszą i objawiają prześwietne odkrycia, iż trudno uwierzyć, aby się rodził z ludzkiego nasienia. (705–733)

A przecież i on, i ci, o których wspomnieliśmy wyżej, bez porównania niżsi od niego i daleko pośledniejsi, mimo że dokonując wielu znakomitych i cudownych odkryć wydali, jakby ze serca swojego świątyni, orędzia o wiele świętsze i pewniejsze od tych, jakie Pytia wieszczy z trójnogu i lauru Febusa, legli jednakże przy zaczątkach rzeczy i ogromni w ogromnym ciężko tu padli upadku. Po pierwsze dlatego, że stanowią ruchy, wyłączywszy z rzeczy próżnię, i że dopuszczając rzeczy miękkie i rzadkie, powietrze, słońce, ogień, ziemię, stworzenia i zboża, nie chcą jednakże domieszać do ich ciała próżni. Następnie z powodu twierdzenia, że siekanie ciał nie ma żadnego w ogóle kresu, że nie ma przerwy w kruszeniu i że zgoła nie może być w rze-

[14] *Charybdis* (Charybda), potwór opisany w *Odysei* (XII 104 n.) i w *Eneidzie* (III 420 n.), uosabiający groźny wir morski na wybrzeżu Sycylii.

czach żadnej najmniejszej wartości, choć widzimy przecie, że tym ostatkiem jest koniuszek każdej rzeczy, który naszym zmysłom wydaje się najmniejszą wartością. A z tego można wywnioskować, że ostatek, jaki mają rzeczy, których nie można dostrzec, może być istotnie ową najmniejszą wartością. Tu się przyłącza, jako trzeci powód, że ustanawiają miękkie zarodki rzeczy, mające, jak każdy z nas widzi, swe narodziny i ciało do cna śmiertelne. Już więc całość wszystkiego musiałaby obracać się w nicość i z nicości rozkwitać świat odrodzony. Jak zaś dalekie od prawdy jest jedno i drugie, sam już rozpoznasz. Zwalczają się potem wzajemnie na liczne sposoby i same są sobie trucizną. Więc albo zetrą się i zginą, albo tak umkną od siebie, jak widzimy podczas nawałnicy umykające od siebie pioruny, deszcze i wichry. (734–762)

Jeżeli w końcu wszystko powstaje z czterech żywiołów i jeżeli na te znowu żywioły wszystko się rozprzęga, to jakim prawem mają one raczej zwać się zarodkami rzeczy, a nie przeciwnie, rzeczy ich zarodkami, by odwrócić sprawę? Na przemian bowiem się tworzą i zmieniają barwę i całą pomiędzy sobą naturę od wszelkiego czasu. A jeśli myślisz przypadkiem, że ognie z ciałem ziemi i powietrzne wiewy z rosą cieczy skupiają się takim sposobem, iż nic z nich nie zmienia natury w skupieniu, to żadna ci rzecz z nich nie będzie się mogła narodzić ani z duszą, ani z ciałem bez duszy, jak na przykład drzewo. Oto w zbieraninie pstrego stosu wszystko będzie ujawniać swoją naturę. I będzie widoczne powietrze, pomieszane razem z ziemią, i żar z rosą, jak nimi były. Atoli zarodki muszą mieć tajną i niewidoczną naturę przy tworzeniu rzeczy, ażeby nie razić niczym własnym, co by wręcz zwalczało i uniemożliwiało temu, co tylko się tworzy, być właśnie sobą. (763–781)

Oto sięgają nawet do nieba i do jego ogni i powiadają, że najpierw przemienia się ogień na powietrzne wiewy. Stąd rodzi się deszcz. Z deszczu powstaje ziemia, a od ziemi wszystko w odwrotnym porządku powraca, najpierw wilgoć, potem powietrze, wreszcie gorąco. Nieustannie to między sobą się zmienia, wędruje od nieba do ziemi, a od ziemi do gwiazd świata. Lecz tego żadną miarą nie mogą robić zarodki, albowiem musi pozostać coś niezmiennego, ażeby wszystkie zgoła rzeczy nie sczezły w nicości. Cokolwiek bowiem, uległszy przemianie, ze swych wychodzi granic, zaraz to znaczy się śmiercią tego, co istniało przedtem. Skoro więc te rzeczy, o których dopiero co mówiliśmy, doznają ciągłej przemiany, bo muszą składać się z innych, a mianowicie z takich, które w żadnym wypadku nie mogą się zmieniać, ażeby ci wszystkie zgoła rzeczy nie obróciły się w nicość. Dlaczego tedy nie stanowisz raczej, że pewne ciałka o takiej właśnie naturze, wytworzywszy, dajmy na to, ogień, mogą tak samo, po ujęciu niewielu i po przydaniu niewielu, po zmianie układu i ruchu, utworzyć wiewy powietrzne i że w ten sposób wszystkie rzeczy zmieniają się nagle na inne? (782–802)

„Atoli jak na dłoni – rzekniesz – wykazuje sama oczywistość, że w powietrzne tchnienia rosną wszystkie rzeczy i żywią się z ziemi. I jeśli para nie pobłaża deszczom w odpowiednim czasie, tak iż pod ulewą strug słaniają się drzewa, i jeśli słońce ze swej strony nie grzeje i nie użycza gorąca, to rosnąć nie mogą ni zboża, ni krzewy, ni żywe stworzenia". Oczywiście! I jeśliby nas suchy pokarm i delikatny napój nie skrzepiał, to po stracie ciała uszłoby już także całe życie ze wszystkich ścięgien i kości. Krzepimy się bowiem z pewnością i pożywiamy pewnymi rzeczami, a pewnymi znowu inne i inne twory. A z tego oczywiście

powodu żywią się rozmaite rzeczy rozmaitymi rzeczami, że w rzeczach jest wiele wielu rzeczom wspólnych i na wiele sposobów zmieszanych zarodków. I wielkie ma często znaczenie, z jakimi zarodkami i w jakim układzie znajdują się te same zarodki tudzież jakie pomiędzy sobą zamieniają ruchy. Te same tworzą bowiem niebo, morze, ziemię, rzeki i słońce, te same tworzą zboża, krzewy i stworzenia, a tylko swój ruch wykonują z innymi i w inny sposób pomieszane. Oto nawet w naszych własnych wierszach widzisz wszędzie wiele wielu wyrazom wspólnych liter, a przecież wyznać musisz, że wiersze i sława różnią się pomiędzy sobą i treścią, i dźwięcznym dźwiękiem. Tyle mogą litery, zmieniwszy jedynie swój porządek. Atoli zarodki rzeczy mają więcej środków, dzięki czemu mogą z nich powstawać wszelkie najrozmaitsze rzeczy. (803–829)

Teraz rozpatrzmy także homoiomerię Anaksagorasa[15], jak ją zowią Grecy, a której w naszym języku nie pozwala nam wysłowić ubóstwo mowy ojczystej. Samą rzecz jednak łatwo jest wyłożyć w słowach. Przede wszystkim, skoro mówi o homoiomerii rzeczy, to myśli widocznie, że kość mogą wytwarzać maleńkie i drobniutkie kostki, mięsień – maleńkie i drobniutkie mięśnie, że krew może powstawać z licznych kropelek krwi, schodzących się z sobą, że złoto składać się może z ziarenek złota, a ziemia zrastać z małych ziem, ognie być z ogników, a ciecz z cieczyn, i w podobny sposób roi sobie i myśli o reszcie. Równocześnie jednak nie zgadza się na żadną próżnię w rzeczach ani też

[15] *Anaksagoras z Klazomen*, filozof grecki, żył w V w. p.n.e. i uczył, że substancje podpadające pod zmysły składają się (głównie!) z takich cząstek, które są podobne do tych substancji, ale tak maleńkie, iż same nie podpadają pod zmysły. Tę naukę nazwano później „homoiomerią" („podobnocząstkowością"); patrz Wstęp.

na to, żeby był jakiś kres w siekaniu ciał. Dlatego błądzi mym zdaniem pod obu względami tak samo, jak ci, których wspomnieliśmy wyżej. Dodaj, że zbyt nieudolne wymyśla zarodki, jeśli są zarodkami, skoro mają podobną naturę, jak same rzeczy, skoro na równi z nimi cierpią i giną, przy czym nic ich nie powściąga od zagłady. Cóż z nich bowiem wytrwa w srogim ucisku i wymknie się śmierci tuż pod kłami zgonu? Ogień, ciecz czy wiew? Cóż takiego? Krew czy kości? Nic, jak myślę, skoro każda rzecz będzie do cna tak samo śmiertelna jak te, które nam naocznie z oczu giną, gdy je pogromi jakaś siła. Lecz klnę się na rzeczy przedtem dowiedzione że nic nie może przepadać w nicości ani z nicości wyrastać! Skoro zresztą pokarm powiększa i pożywia ciało, to oczywiście nasze żyły, krew i kości[16]. . . . . .
a jeśli powiedzą, że z pomieszanego ciała są wszelkie pokarmy i że mają w sobie drobne ciałka ścięgien, kosteczki i w ogóle żyłki z cząsteczkami krwi, to wszelki pokarm stały i nawet płynny trzeba będzie uważać za składający się z rzeczy obcorodnych, z mieszaniny kości, ścięgien, krwi i posoki. Jeśli nadto wszystkie ciała, wyrastające z ziemi, tkwią w ziemi, to ziemia musi się składać z rzeczy obcorodnych, które z ziemi powstają. Zastosuj to samo gdzie indziej, a będzie ci wolno użyć tej samej ilości słów: jeżeli w drewnie kryje się płomień, dym i popiół, to drewno musi się składać z rzeczy obcorodnych. Jakie tylko zresztą ciała ziemia pożywia, powiększa[17] . . . . . .
z rzeczy obcorodnych, które powstają z drewna. (830–874)

[16] W tekście przekazanym przez kodeksy opuszczono jeden lub więcej wierszy.

[17] W tekście przekazanym przez kodeksy została opuszczona prawdopodobnie większa ilość wierszy.

Jest tu pewna, dość zresztą niepewna kryjówka, z której korzysta Anaksagoras, myśląc mianowicie, że we wszystkich rzeczach wszystkie się kryją zmieszane, a to się jedynie ujawnia, z czego jest najwięcej domieszanych drobin, i to umieszczonych bardziej na widoku i zaraz na czele. Daleko to jednak odbiegło od prawdy. Bo w takim razie także zboże, kiedy je kruszą groźne żarna, musiałoby wypuszczać często ślad krwi lub coś z tego, co żywi w sobie nasze ciało. Z podobnej przyczyny przystałoby także roślinom ociekać krwią niejednokrotnie, kiedy je trzemy kamieniem o kamień, a wodzie kapać słodkimi kroplami o smaku podobnej jakości jak mleczne z wymienia wełnistej owcy. Oczywiście, i po roztarciu grud ziemi widziano by nieraz rodzaje roślin i zboża, i liście, kryjące się w drobniutkich ilościach, porozdzielanych pośród ziemi. Widziano by w końcu w przełamanym drewnie ukryty popiół, dym i drobne płomyki. Ponieważ jednak uczy rzecz namacalna, że się nie dzieje nic takiego, to nie ma oczywiście w rzeczach rzeczy tak zmieszanych, lecz tylko wspólne zarodki wielu rzeczy kryją się w rzeczach, zmieszane na wiele sposobów. (875–896)

„Atoli na wielkich – rzekniesz – górach nieraz się wydarza, że sąsiednie szczyty wyniosłych drzew trą się pod naciskiem potężnych wichrów z południa tak długo o siebie, aż nagle zabłysną kwieciem ognia". Oczywiście! A przecież nie ogień gnieździ się w drzewie, lecz tylko mnogie ziarna żaru i te, zrzeszywszy się z sobą skutkiem tarcia, wzniecają w lasach pożary. Gdyby bowiem gotowy płomień czaił się po lasach, to ognie nie mogłyby się ani na chwilę zataić, lecz zniszczyłyby wszystkie lasy i spaliły drzewa. Czy więc już widzisz, jak to powiedzieliśmy nieco przedtem, że ogromne ma często znaczenie, z jakimi zarodkami i w ja-

kim układzie znajdują się te same zarodki tudzież jakie pomiędzy sobą zamieniają ruchy, i że te same, po niewielkiej zmianie pomiędzy sobą, mogą wytwarzać zarzewie i drzewo? W podobny sposób składają się nawet te wyrazy z liter tylko trochę pomiędzy sobą pozmienianych, jakkolwiek drzewo i zarzewie oznaczamy różnym głosem. Wreszcie, jeżeli już wszystko, co tylko widzisz na świecie, musisz sobie koniecznie w ten sposób tłumaczyć, by wymyślać ciałka materii, obdarzone cale podobną naturą, to tym sposobem gubisz twe zarodki rzeczy. Skończy się na tym, że trząść się będę w dygotach serdecznego śmiechu oraz słonymi łzami skrapiać twarz i lica! (897–920)

A teraz poznaj resztę i posłuchaj bystrzej! Widzi duch mój jasno, jak ciemne są te rzeczy, ale nadzieja wielkiej sławy przeszyła me serce ostrym grotem upojenia i równocześnie w pierś mi wszczepiła słodką miłość do muz. Nią ja obecnie natchniony wędruję lotną myślą po bezdrożnych ustroniach pieryd[18], po których niczyja stopa przedtem nie deptała. Miło jest przystępować do niepokalanych źródeł i poić się nimi, miło jest zrywać nowe kwiaty i żądać wspaniałego wieńca na swą głowę z takich wyżyn, z jakich nikomu pierwej muzy nie przybrały skroni. Po pierwsze z tego powodu, że uczę o wielkich rzeczach i z ciasnych więzów religii ducha wyzwalam niezłomnie, a potem dlatego, że o sprawie tak ciemnej składam tak przejrzyste pieśni, zaprawiając wszystko czarem muz. Bo i to także nie wydaje się pozbawione całkiem uzasadnienia, lecz jak lekarze, usiłując podać dzieciom gorzkie wywary z piołunu, kraszą wpierw brzegi dokoła pucharów słodką i żółtą cieczą miodu, aby niebaczna dziatwa dała się aż po wargi oszukać, a tymczasem przełknęła gorzki napój piołunowy i wzięta na lep – nie tylko nie doznała szkody, lecz owszem, w ten sposób wróciła do zdrowia, tak ja teraz, ponieważ nasza nauka wydaje się bardzo często zbyt oschła tym, co jej nie zgłębili, i ponieważ tłum cofa się przed nią z odrazą, postanowiłem wyłożyć ci naszą naukę w słodkopłynnej, pieryjskiej pieśni i uroczym miodem muz okrasić niejako, zali też zdołam w ten sposób usidlić twego ducha naszymi wierszami, ty zaś tymczasem poznasz całą rzeczywistość w jej istotnym kształcie i stroju. (921–950)

[18] *Pierydami* nazywano muzy (córki Zeusa i Mnemozyny), ponieważ miały się narodzić w Pierii, niedaleko Olimpu.

Skoro zaś wykazałem, że najnieprzenikliwsze ciałka materii latają zwycięsko i wiecznie przez wieki, to postawmy teraz pytanie, czy ich całość ma jakiś kres, czy też go nie ma, i rozpatrzmy również, czy to, co okazało się próżnią albo miejscem i przestrzenią, w której się stają wszelkie rzeczy, stanowi całość zewsząd ograniczoną, czy też rozciąga się ona w dal bezkresną i w głąb bezdenną. (951–957)

Całość tedy wszystkiego nie ma w żadnym kierunku wytyczonych granic, ponieważ musiałaby mieć swój ostatek. Widoczne jest dalej, że nic nie może mieć swego ostatka, jeżeli poza nim nie ma niczego, co by ją ograniczało, tak iżby było widoczne to, na czym się urywa wątek naszego patrzenia. A ponieważ trzeba wyznać, że poza całością nie ma niczego, to nie ma ostatka, a więc brak jej końca i miary. I nie stanowi różnicy, w jakich jej okolicach zająć stanowisko, bo bez względu na to, jakie kto zajmie miejsce, zawsze ostawia tę samą nieskończoność wszystkiego na wszystkie strony. Jeśli już zresztą uważać całą istniejącą przestrzeń za ograniczoną, to gdyby ktoś wybiegł najdalej na jej ostateczne kresy i rzucił lotny pocisk, to jak

wolisz, czy ma on podążyć tam, dokąd został wysłany z potężnym rozmachem, i lecieć daleko, czy też sądzisz, że coś mu może stanąć na przeszkodzie i stawić opór? Musisz bowiem przyjąć i wybrać jedno z dwojga. Lecz jedno i drugie wyjście ci zamyka i wymusza wyznanie, że całość wszystkiego rozciąga się bez końca. Bo czy jest coś, co mu staje w drodze i przeszkadza, by doszedł tam, dokąd został wysłany, i utkwił w swym celu, czy leci swobodnie, w obu wypadkach nie wyleciał z kresu. W ten sposób ścigać cię będę i gdziekolwiek wytkniesz ostateczne krańce, zapytam: a cóż będzie z nowym pociskiem? Skończy się na tym, że koniec nigdzie nie znajdzie ostoi i że możność uciekania będzie przeciągać ucieczkę w nieskończoność. (958–983)

Gdyby zresztą całą przestrzeń wszechcałości zamykały zewsząd i ograniczały niewzruszone kresy, to zasób materii spłynąłby zewsząd swymi nieprzenikliwymi ciężarkami, do spodu i żadna rzecz nie mogłaby dziać się pod sklepieniem nieba. Lub w ogóle nie byłoby nieba ni słonecznego światła, gdyż cała materia, osiadając od nieskończonego już czasu, leżałaby spiętrzonym ugorem. Atoli ciałka zaczątków nie mają oczywiście ni chwili wytchnienia, ponieważ nie ma żadnego spodu, gdzie by mogły spływać niejako i zakładać swe siedziby. Wszelkie rzeczy stają się ciągle w nieustannym ruchu. Ze wszystkich stron, a także z dołu, nadbiegają obficie ciałka materii z nieskończoności. Widzą w końcu nasze własne oczy, że jedna rzecz wytycza drugą. Powietrze przegradza wzgórza, a góry powietrze, ziemia morze, a morze kończy wszystkie znowu ziemie. Lecz zewnątrz wszechcałości nie ma niczego, co by ją kończyło. Istnieje więc natura miejsca i przestrzeń otchłani, której ni jasne gromy, mknąc odwiecznym szlakiem wieków, nie zdołałyby przebiec swoim pędem, ni tyle nawet sprawić biegiem, by mniej zostało drogi do przebycia. Aż tak niezmierne pole bez żadnych granic rozciąga się wszędzie przed rzeczami na wszystkie zewsząd strony. (984–1007)

Żeby zaś całość wszystkiego mogła sama sobie miarę stanowić, do tego nie dopuszcza natura, która zmusza, by ciało kończyło się na próżni, a na ciele znowu to, co jest próżnią, i która w ten sposób sprawia, że wszystko jest nieskończone przez wzajemną kolej, albo też że jeśliby jedno z dwojga się kończyło, to drugie i tak rozciągałoby się swą pojedynczą naturą bez żadnej miary. I ani na chwilę nie mogłyby się ostać ni morze, ni ziemia, ni świetlane przybytki niebios, ni ród śmiertelny, ni święte ciała bogów. Albowiem mnogość materii, rozbita ze swego skupienia, pędziłaby błędnie przez przepastną próżnię lub raczej nigdy zaiste nie byłaby mogła żadnej rzeczy, skupiwszy się, stworzyć, ponieważ nigdy nie zdołałaby zebrać się z rozbicia. Bo na pewno nie wedle planu zajęły bystre i zmyślne zarodki rzeczy swe poszczególne miejsca po porządku i z pewnością nie ustaliły między sobą, jakie ruchy ma każdy z nich świadczyć, lecz ponieważ w wielkiej liczbie zmieniały się wielokrotnie i ponieważ od nieskończoności pędzą przez wszechcałość pod gradem uderzeń, przeto, doświadczając wszelkich ruchów i połączeń, dochodzą wreszcie do takich rozmieszczeń, na jakich polega ten cały świat stworzony i dzięki którym, zachowawszy się przez wiele wielkich lat, jak raz został pchnięty we właściwe ruchy, sprawia, że rzeki odświeżają morze szczodrym nurtem fal, że ziemia pod gorącą pieszczotą słońca odnawia płody, że ród wylęgłych stworzeń kwitnie i że żyją mknące ognie eteru. Tego nie czyniłyby jednak żadną miarą, gdyby z nieskończonego zasobu nie mogła napływać mnoga materia, z której w porę zazwy-

czaj uzupełniają wszelkie ubytki. Albowiem podobnie jak bez pożywienia schnie natura stworzeń i traci ciało, tak ginąć musi wszystko z tą chwilą, kiedy materia przestanie napływać, wytrącona ze swego kierunku z jakiegoś powodu. I nie mogą uderzenia z zewnątrz zachowywać wszędzie wszelkiej całości, jaka się tylko skupiła, albowiem mogą wprawdzie gęsto razić i sprowadzać częściową zwłokę, aż nadejdą inne i całość się uzupełni, ale nieraz muszą także odskakiwać i równocześnie użyczać czasu i przestrzeni do ucieczki zaczątkom rzeczy, tak iż mogą pomknąć wolne od skupienia. Przeto muszą, powtarzam raz jeszcze, napływać obficie. A zresztą, by i samych uderzeń mogło starczyć, potrzeba zewsząd nieskończonej mnogości materii. (1008–1051)

Temu szczególnie, Memmiuszu, strzeż się tutaj wierzyć, jakoby wszystko parło, jak mówią, do środka całości i jakoby dlatego mogła się ostać natura świata bez zewnętrznych uderzeń, a góra i spód nie mogły się nigdzie rozerwać, że wszystko jest wsparte na środku – o ile wierzysz, że cokolwiek może być samo sobie oparciem – oraz jakoby wszystkie ciężary, będące pod ziemią, parły do góry i spoczywały na ziemi, tak ku niej zwrócone, jak my obecnie widzimy odbicia rzeczy w wodzie! I w podobny sposób twierdzą, że stworzenia łażą nogami do góry i że nie mogą spaść z ziemi w niebieską otchłań, tak samo jak nasze ciała nie potrafią same z siebie ulecieć do niebieskich przybytków. Gdy my oglądamy nocne światła, tamci mają widzieć słońce tudzież na przemian z nami dzielić doby nieba i spędzać noce tak długie jak nasze dni[19] . . . . . albowiem każde miejsce i przestrzeń, którą nazywamy próż-

[19] Wiersze I 1068–1073 uległy częściowemu zniszczeniu. Z tego, co zostało, da się odtworzyć treść następująca: Lecz są to urojenia głupców, bo to, co jest nieskończone, nie może mieć środka. A gdyby nawet był ten środek, to nic by tam nie mogło znaleźć oparcia.

nią, przez środek czy nie przez środek musi jednako ulegać ciężarom, gdziekolwiek kierują się ruchy. Ani też nie ma żadnego miejsca, gdzie ciałka mogłyby przybyć, stracić swą siłę ciężaru i zawisnąć w próżni, ani to, co znowu jest próżnią, nie może niczemu stawiać oporu, lecz musi stosownie do swojej natury zawsze ulegać. Nie mogą więc rzeczy trzymać się takim sposobem w skupieniu z powodu zwycięskiej żądzy środka. (1052–1082)

Skoro zresztą nie wszystkim ciałom przypisują dążenie do środka, lecz tylko ziemnym tudzież ciekłym i tym, które się mieszczą niejako w łonie ziemi, więc morskiej wodzie i wielkim falom z gór, o wiotkich natomiast powiewach powietrza i o gorących ogniach głoszą, że uciekają od środka i że dlatego cały eter migoce dokoła światłami, a płomień słoneczny pasie się po niebieskich błękitach, ponieważ tam się gromadzi całe gorąco w ucieczce od środka, i że gałązki na wierzchołkach drzew nie mogą zgoła okrywać się liściem, jeśli od ziemi z wolna każdemu pokarmu nie[20] . . . . . ażeby wały świata lotnym zwyczajem płomieni nie rozbiegły się nagle i nie rozprysły po przepastnej próżni, żeby reszta nie poszła ich śladem z podobnej przyczyny, żeby nie runęły z góry grzmiące przybytki niebios, a ziemia nie obsunęła się nagle spopod stóp i żeby pośród zawieruchy gruzów rzeczy i nieba, wyzwalających ciałka pierwotne, nie zniknęła cała w bezdennej próżni, tak iż w jednej chwili nic nie zostałoby więcej prócz opustoszałej przestrzeni i nie-

[20] Brakuje ośmiu wierszy (I 1094–1101), jak świadczy puste miejsce, pozostawione w kodeksie *Oblongus*.

widzialnych zarodków. Albowiem po jakiej jeno stronie pierwej ustalisz brak ciałek, ta strona będzie dla świata bramą śmierci i tędy wypadnie kłąb wszystkiej materii na zewnątrz. (1083–1113)

Prawdy tych słów dojdziesz przy niewielkim trudzie, bo jedno zalśni z drugiego i czarna noc nie wydrze ci drogi, byś nie dojrzał i nie przejrzał najodleglejszych zakątków natury. Tak rzeczy rzeczom światła zażegą. (1113–1117)

KSIĘGA DRUGA

Miło, gdy wichry mącą powierzchnię na ogromnym morzu, miło jest patrzeć z brzegu na wielki trud innego, nie żeby czyjaś męka sprawiała przyjemność i rozkosz, lecz że miło jest widzieć, jakich utrapień sam nie doznajesz. Miło jest także oglądać wielkie zapasy wojenne, toczone na polach bez twego udziału w niebezpieczeństwie. Ale nie masz nic słodszego, jak zajmować wyniosłe, dobrze uwarowane uczonością mędrców, pogodne przybytki, skąd można spozierać na innych i widzieć ich wszędzie, jak błądzą w rozprószeniu, szukając drogi życia, współzawodniczą w zdolnościach, idą o lepsze w dostojności rodu, noce i dnie trawią na nadludzkim trudzie, by tylko wypłynąć na szczyty potęgi i owładnąć światem. O, nędzne umysły ludzkie, o, serca rażone ślepotą! W jakich mrokach życiowych i w jak strasznych niebezpieczeństwach mija ta odrobina żywota! Zali można nie widzieć, że natura o nic innego się nie dopomina, jak jeno ażeby ból był daleko od ciała i żeby zażywać umysłem przyjemnego uczucia bez troski i lęku? Widzimy tedy, że cielesnej naturze niewielu rzeczy na ogół potrzeba, a wszystkie, co ból odejmują, mogą jeszcze być źródłem wielu wielkich uciech. Choć po komnatach złociste posągi młodzianków nie dzierżą w prawicach jarzących

się głowni, by nocnym biesiadom nie zabrakło światła, choć dom nie lśni od srebra i nie skrzy się od złota, choć nie odbrzmiewają lutni wycinane i złocone stropy, to z większą nieraz przyjemnością, jako że natura tych rzeczy zgoła nie pożąda, rozkłada się grono przyjaciół na miękkiej murawie, opodal strumienia wody, pod konarami wysokiego drzewa i bez wielkich zachodów ucztuje wspaniale, zwłaszcza gdy sprzyja pogoda, a pory roku obsypują kwiatami zielone trawy. I z ciała nie ustępują gorączkowe żary rychlej, jeśli się miotasz na wzorzystych kobiercach i na czerwonej purpurze, niż gdy leżeć trzeba na nędznym barłogu. Skoro więc w naszym ciele nic nie sprawiają ni skarby, ni dostojność rodu, ni sława z królowania, to myśleć pono należy, że i duchowi żadnej nie niosą pomocy. Chyba że kiedy widzisz, jak harcują po rozległym polu w udanych zapasach wojennych twoje legiony, skrzepione potężnymi posiłkami i silną konnicą, posągi, okryte zbroją i jednym ożywiane duchem, chyba że wówczas przerażone tymi rzeczami zabobony pierzchają ci trwożnie z ducha, a strachy przed śmiercią wówczas pierś ci zostawiają swobodną i od troski wolną, kiedy widzisz harce floty i jej szerokie zagony. Skoro jednak widzimy, że są to rzeczy godne śmiechu i urągowiska, naprawdę zaś ludzkie obawy i zajadłe troski nie lękają się ni szczęku oręża, ni srogich pocisków, lecz zuchwale zadają się z królami i mocarzami tego świata, nie szanują ni blasku złota, ni wspaniale lśniącej purpurowej szaty, to czemu wątpisz, że tę moc ma jedynie światłość nauki, zwłaszcza gdy w ciemnościach całe życie chroma? Albowiem jak dzieci biegają w popłochu i w ślepych ciemnościach wszystkiego się boją, tak my boimy się na świetle takich nieraz rzeczy, jakich zgoła więcej bać się nie należy aniżeli owych strachów, urojonych przez dzieci

w ciemnościach. Ten tedy ducha lęk i te ciemności muszą rozprószyć nie słońca promienie ni jasne dnia pociski, lecz dokładne i głębokie poznanie natury. (1–61)

A teraz będę tłumaczyć, jakim ruchem rodne ciałka materii rodzą różne rzeczy i rozprzęgają po zrodzeniu oraz jaka siła je zmusza to czynić i jaka ruchliwość w dążeniu przez ogromną próżnię została im dana, ty zaś pamiętaj słów słuchać uważnie! Albowiem z pewnością materia nie zwiera się pomiędzy sobą szczelnie, skoro widzimy, że każda rzecz maleje, i skoro baczymy, jak wszystko upływa niejako w ciągu długolecia. Wszystko wiek uwodzi z naszych oczu, jakkolwiek wszechcałość wciąż się wydaje nietknięta, a to dlatego, iż uchodzące z każdej rzeczy ciałka uszczuplają to, skąd odchodzą, a darzą rozrostem, gdzie przybyły, tamte rzeczy zmuszają do starzenia się, te zaś do kwitnięcia, a i tu długo nie bawią. Tak całość rzeczy wiecznie się odnawia i śmiertelnicy żyją we wzajemnej drużbie. Wzrastają jedne narody, inne karleją, w krótkim czasie zmieniają się pokolenia stworzeń i na podobieństwo szybkobiegów podają dalej pochodnię żywota[1]. (62–79)

Jeżeli sądzisz, że zarodki rzeczy mogą się opóźniać i opóźnianiem płodzić nowe ruchy rzeczy, to błądzisz po

[1] W Atenach i w innych miastach greckich był zwyczaj urządzania biegu z pochodniami (*lampadedromia, lampadephoria*), podczas różnych uroczystości religijnych, w którym współzawodniczyły różne drużyny, piesze lub konne. Bieg miał sztafetowy charakter: rozstawieni w wyznaczonych odstępach członkowie poszczególnych drużyn przekazywali sobie kolejno płonącą pochodnię, a ostatni z nich miał nią zapalić drzewo na ołtarzu, stanowiącym ostateczny cel całego biegu; zwyciężała ta drużyna, która zdołała tego dokonać w czasie najkrótszym. Z porównaniem, jakiego używa Lukrecjusz, spotykamy się już wcześniej w literaturze starożytnej, na przykład u Platona (*Leg.* 776 b; por. Warro, *De re rust.* III 16, 9).

manowcach dalekich od prawdy. Albowiem skoro mkną przez próżnię, to wszystkie zarodki rzeczy muszą pędzić albo z przyczyny swojego ciężaru, albo też z powodu uderzenia z zewnątrz. Bo często się zdarza, że kiedy spotkają się w pędzie i zderzą, to nagle odskakują od siebie w przeciwne strony. I nic dziwnego, gdyż są nader twarde, mają lite ciężary i nic im nie zawadza od tyłu. Żebyś zaś tym lepiej sobie unaocznił, że wszystkie ciałka materii miotają się nieustannie, to przypomnij sobie, że w całości wszystkiego nie ma żadnego spodu, że ciałka materii nie mają gdzie się zatrzymać, ponieważ przestrzeń jest bez końca i miary. Rozciąga się w dal niezmierzoną na wszystkie zewsząd strony, jak to już wykazałem obszerniej i jak niezawodny stwierdza wywód. Skoro zaś to jest pewne, to oczywiście ciałka pierwotne nie otrzymały żadnego spoczynku w przepaścistej próżni, lecz raczej – skazane na ruch ciągły i rozmaity – w maleńkich zrzeszeniach, które błądzą dalej przez ogromną próżnię, częścią odskakują od siebie w wielkich odstępach, a częścią krótkimi oddaleniami trapi je uderzenie. A ile ich zebranych w gęstszym skupieniu odskakuje od siebie w nieznacznych odstępach, bo się uwikłały same swymi zakręconymi kształtami, wszystkie stanowią potężne trzony głazu, srogie ciałka żelaza i resztę z tego rodzaju. Inne odskakują daleko i z daleka nadbiegają w wielkich odstępach. Te nam dostarczają rzadkiego powietrza i olśniewającego światła słonecznego. Wiele ponadto ciałek błądzi przez ogromną próżnię: zostały one wygnane ze skupień rzeczy, a nigdzie jeszcze nie potrafiły uzyskać przytułku i swoich ruchów sprzymierzyć. Wierny zaś obraz tego, jak go przedstawiam, stanu rzeczy, ciągle krąży przed nami i w oczy się rzuca. Bo spojrzyj jeno, gdy promienie słonecznego światła wedrą się i rozleją po mrocznym domostwie! Zobaczysz

w tym promiennym snopie wiele maleńkich ciałek, mieszających się w próżni na wiele sposobów. Jakoby w wiekuistej wojnie staczają potyczki i bitwy, walczą całymi hufcami bez chwili spoczynku, w utrapieniu ustawicznych skupień i rozłączeń. Z tego więc możesz zmiarkować, jak wygląda wieczne miotanie się zarodków rzeczy w ogromie próżni, o ile mała rzecz może dać przykład i tropy poznania wielkich. A jeszcze z tego powodu winieneś zwrócić baczniejszą uwagę na owe ciałka, co wichrzą dostrzegalnie w promieniach słonecznych, że takie wichrzenia zdradzają nadto istnienie tajnych i niewidocznych ruchów materii. Zobaczysz tam bowiem, że wiele ciałek, podrażnionych niewidzialnymi ciosami, zmienia drogę i w tył zawraca po odepchnięciu, to tu, to tam, na wszystkie zewsząd strony. Cały ten błąd pochodzi oczywiście tylko od zaczątków. Najpierw bowiem ruszają się zarodki rzeczy same przez się. Następnie te ciałka, co tworzą drobne skupienia i są najbliższe niejako sile zaczątków, niewidocznymi uderzeniami dają się popędzać i same znowu drażnią nieco większe od siebie. Tak ruch wznosi się od zaczątków i powoli dochodzi do naszych zmysłów. Więc ruszają się w końcu i te, które możemy rozróżnić w świetle słonecznym. Nie widać jednak wyraźnie, z powodu jakich uderzeń to czynią. (80–141)

A teraz, jaka ruchliwość przypadła w udziale ciałkom materii, można, Memmiuszu, stąd poznać pokrótce: kiedy ranna zorza skrapia ziemię swoim nowym światłem i różne ptaki przelatując bezdrożne gaje przez wiotkie powietrze zapełniają okolicę czystymi głosami, nagle, a wiemy, że wszyscy to mogą oglądać na własne oczy, wschodzi swym obyczajem w takiej chwili słońce i wszystko naraz obleka powodzią jasności. A jednak to ciepło, które zsyła słońce,

i to światło błogie nie dąży przez pustą próżnię. Więc iść musi wolniej, rozbijając niejako fale powietrzne. I nie pojedynczo, lecz razem, we wzajemnych splotach i w kulistych rzeszach zdążają wszelkie ciałka gorąca. Wstrzymują się tedy pomiędzy sobą oraz napotykają zewnętrzne przeszkody, a więc muszą iść wolniej. Lecz jednolite zarodki, skoro dążą przez pustą próżnię i skoro nic ich nie opóźnia z zewnątrz, a przy tym one same, jako jedności ze swoich cząstek, pędzą wszystkimi siłami na to jedno miejsce, na które zaczęły, to muszą oczywiście górować ruchliwością i pędzić o wiele chyżej niż światła słoneczne i kilkakrotną przestrzeń przebiegać w tym samym czasie, w którym słoneczne błyskawice rozwidniają niebo[2] . . . . . ani iść poszczególnym śladem wszelakich zarodków, ażeby widzieć, jakim sposobem wszystko się dokonywa. (142–166)

Atoli niektórzy, nie wiedząc nic o materii, wierzą wprost przeciwnie, że natura nie może bez zrządzenia bogów w tak doskonałej zgodzie z potrzebami ludzi zmieniać pór roku tudzież rodzić zbóż i w ogóle powodować tego wszystkiego, do czego przystępować niewoli śmiertelnych namową i sama przywodzi boska rozkosz, ta przewodniczka życia, co wyjednywa u nich krzewienie pokoleń przez pieszczoty Wenery, by nie zaginął ród ludzi. Kiedy zaś sobie roją, że dla nas bogowie wszystko urządzili, staje się widoczne, jak wielce zboczyli pod każdym względem od prawdy. Bo choćbym nic nie wiedział o zarodkach rzeczy, to jednak na mocy samych urządzeń niebieskich odważyłbym się twierdzić i uzasadniać z wielu jeszcze innych względów, że cud

[2] W tekście przekazanym przez kodeksy została opuszczona prawdopodobnie większa ilość wierszy.

boski na żaden sposób nam nie stworzył natury świata. Taką stoi obarczona winą! Ale to ci, Memmiuszu, później ujawnimy. Teraz będziemy tłumaczyć to, co zostaje o ruchach. (167–183)

Nadeszła teraz, myślę, chwila, ażeby w tych rzeczach i to ci jeszcze uwarować, że żadna rzecz cielesna nie może o własnej mocy dźwigać się w górę i w górę podążać. Niechże cię tutaj nie zwiodą cielesne płomienie! Albowiem w górę się wyłaniają i przybierają na wielkości, tak jak w górę rosną hoże zboża i drzewa, choć w dół pędzą wszystkie ciężary, ile w ich mocy. Lecz nie należy myśleć, jakoby ognie, wyskakujące na dachy domów i liżące żartkim płomieniem belki i deski, czyniły to same z siebie bez zewnętrznego przymusu. Podobnie krew, wypuszczona z naszego ciała, tryska w górę strumieniem i kropi posoką. Zali nie widzisz, z jaką oto siłą belki i deski wypiera ciecz wodna? Oto im je głębiej wgrążymy końcem do spodu i znojnie wciśniemy z wielkim naporem nas wielu, o tyle chutniej woda wyrzuca je w górę i pędzi, tak iż wynurzają się i wyskakują więcej niż do połowy. A przecież nie wątpimy, myślę, zgoła, że one, ile w nich mocy, pędziłyby wszystkie w dół przez pustą próżnię. Tak więc także wypchnięte płomienie muszą móc ustępować przez powietrzne wiewy do góry, chociażby ciężary, ile w ich mocy, w dół się siliły sprowadzić. Zali nie widzisz, jak nocne żagwie podczas lotu po niebieskim stropie ciągną za sobą w każdą stronę, w jaką im tylko natura wyznaczyła drogę, długie smugi z płomieni? Zali nie widzisz, że gwiazdy i ogniste ciała spadają na ziemię? Nawet słońce z niebieskiego zwyżu rozrzuca na wszystkie strony gorąco i światłem obsiewa zagony. Na ziemię opuszcza się zatem także gorąco słoneczne. Widzisz, że pioruny lecą skosem przez deszcze. To stąd, to stamtąd śmigają ognie, ober-

wane z chmur. Płomienista siła spada na ziemię nagminnie. (184–215)

Pragniemy, abyś przy tych rzeczach i to jeszcze poznał, że ciałka, pędząc pionowo w dół przez próżnię na mocy własnych ciężarów, w zgoła nieokreślonym czasie i w nieokreślonych miejscach nieco zbaczają w przestrzeni, tylko tyle, ile mógłbyś nazwać zmienionym drgnięciem. Bo gdyby nie miały zwyczaju odchylania się, to wszystkie spadałyby w dół, jak krople deszczu przez przepastną próżnię. I nie byłoby powstało zderzenie ni cios nie byłby się zrodził pośród zaczątków. Tak nic nie byłaby nigdy natura zrodziła. (216–224)

Bo jeśli kto wierzy przypadkiem, że cięższe ciałka, jako że chyżej pędzą w dół przez próżnię, mogą z góry dopadać lżejszych i w ten sposób płodzić uderzenia, mogące sprawiać rodne ruchy, to schodzi na manowce dalekie od prawdy. Te bowiem wszystkie ciała, co spadają przez wodę i przez rzadkie powietrze, muszą stosownie do swoich ciężarów przyspieszać swe spadki, ale dlatego, że ciało wody i nikła natura powietrza nie mogą na równi każdej rzeczy wstrzymywać, lecz prędzej ustępują i ulegają cięższym. Atoli przeciwnie, pusta próżnia nie może z żadnej strony i o żadnym czasie stawiać oporu niczemu, lecz musi wciąż ustępować, jak tego żąda jej natura. Zatem przez spokojną próżnię muszą wszystkie pędzić z równą szybkością mimo nierównych ciężarów. Nigdy więc nie będą mogły cięższe dopaść lżejszych z góry ni przez się płodzić uderzeń, powodujących rozmaite ruchy, przez które natura dokonywa rzeczy. Przeto, powtarzam raz jeszcze, ciałka muszą się nieco wychylać, ale nie więcej niż najmniej, ażeby się nie zdawało, że wymyślamy ruchy poprzeczne, i żeby temu prawda nie zadała kłamu. Albowiem to przedstawia się nam

jawnie i namacalnie, że ciężary, ile w ich mocy, nie mogą dążyć na poprzek, jak możesz zobaczyć, kiedy lecą z góry. Lecz któż może zobaczyć, że w ogóle nic się nie odchyla z prostopadłego kierunku swej drogi? (225–250)

Jeżeli wreszcie zawsze wszelki ruch się wiąże i zawsze ze starego nowy powstaje w niezmiennym porządku, a zarodki nie wytwarzają swoim odchyleniem pewnego zaczątku ruchu, który rozrywa łańcuch przeznaczenia i sprawia, że przyczyna nie ściga przyczyny od nieskończoności, to skąd przysługuje stworzeniom ta wolna na ziemi, skąd się bierze, powiadam, ta wydarta przeznaczeniu rozkosz, dzięki której kroczymy, gdzie każdego wiedzie wola, i także odchylamy ruchy nie w określonym czasie ni w określonym miejscu, lecz gdzie i kiedy zechce właśnie duch? Albowiem niewątpliwie daje tym rzeczom początek własna wola każdego i stąd rozlewają się ruchy po członkach. Zali też nie widzisz, że choć otwarto w jednej chwili szranki, to jednak wyrywające się naprzód rumaki nie mogą skoczyć tak nagle, jak właśnie pragnie duch? Trzeba bowiem pobudzić w całym ciele cały zapas materii, aby pobudzony we wszystkich członkach wszystkimi siłami podążył za pragnieniem ducha. Widzisz zatem, że początek ruchu radzi się z serca i że to z woli ducha najpierw się wyłania, a potem udziela się dalej po całym ciele i członkach. Żadnego zaś nie masz z tym podobieństwa, kiedy uderzeniem pchnięci posuwamy się naprzód skutkiem potężnych sił kogoś drugiego i potężnego przymusu. Albowiem wówczas widać wyraźnie, że wszystka materia całego ciała wbrew naszej woli idzie i doznaje gwałtu, aż ją wola okiełza po członkach. Czy więc już widzisz, że choć zewnętrzna siła wielu pędzi i często wbrew woli przymusza do posuwania się naprzód i do gwałtownego upadku, to jednak jest w naszej

piersi coś, co może ze swej strony walczyć i stawiać opór? Po jego to także woli musi się czasem zginać zapas materii po członkach i stawach. Po rzucie naprzód zaznaje wędzidła i osadza się nazad. To samo musisz więc także wyznać odnośnie do ziaren, a mianowicie, że oprócz uderzeń i ciężarów jest jeszcze inna przyczyna ich ruchów, na której polega ta nasza moc przyrodzona, ponieważ nic, jak widzimy, nie może powstawać z niczego. Prawda, że ciężar nie dopuszcza, aby wszystko powstawało skutkiem uderzeń, jakby przez zewnętrzną siłę, ale że sam duch nie doznaje wewnętrznego musu we wszelkim działaniu i że nie jest tym jeńcem niejako, skazanym na bezwzględną bierność, to sprawia nieznaczne odchylanie się zaczątków w nieokreślonym miejscu i w nieokreślonym czasie. (251–293)

I nigdy nie był zasób materii więcej uszczelniony ani też nie miał większych odstępów, ponieważ nic nie przyrasta i nic stąd nie ginie. W jakim więc ruchu znajdują się teraz ciałka zaczątków, w tym samym były w ubiegłym czasie i potem zawsze w podobny sposób będą pędzić. I to, co rodzić się zwykło, rodzić się będzie tym samym warunkiem i będzie istnieć, róść i siły zażywać, ile każdemu zostało dane przez prawa natury. Całości rzeczy nie może zmienić żadna siła. Nic bowiem nie istnieje zewnątrz, gdzie mogłaby uciec materia jakiegoś rodzaju z wszechcałości ani skąd do wszechcałości mogłaby wtargnąć jakaś nowa siła i całą naturę rzeczy przemienić oraz ruchy przekształcić. (294–307)

Nie trzeba przy tych rzeczach pytać ze zdziwieniem o to, dlaczego całość wszystkiego, choć wszystkie zarodki rzeczy są w ruchu, wydaje się całkowicie nieruchoma, chyba że coś własnym ciałem wykonywa ruchy. Albowiem daleko pod naszymi zmysłami leży cała natura pierwocin.

Przeto, skoro ich samych nie możesz rozróżnić, muszą i swoje ruchy przemycać niepostrzeżenie. Przecież nawet to, co moglibyśmy rozeznać, często zataja swe ruchy, jeśli je oddziela znaczne oddalenie. Często na przykład wełniste owce, skubiąc bujną paszę, snują się po wzgórzu, gdzie każdą przyzywa smaczna trawa, uperlona świeżą rosą, a syte baranki brykają i bodą się dla zabawy. Wszystko to jednak wydaje się nam z daleka pomieszane i robi wrażenie białej, nieruchomej plamy na zielonym wzgórzu. Nadto gdy potężne legiony zapełniają pola biegiem w udanych zapasach wojennych, wtedy blask pod niebo bije, cała okolica skrzy się od spiżu, spod nóg gromady mężów grzmot się dobywa, a góry rażone zgiełkiem odrzucają wrzawę aż po gwiazdy świata. Jeźdźcy harcują dokoła i nagle szalonym cwałem ruszają z kopyta przez środek tętniących pól. A jednak jest jakieś miejsce na górach wysokich, skąd zda się, że stoją i że blask znieruchomiał na polach. (308–332)

A teraz dowiedz się z kolei, jakie są zarodki wszelkich rzeczy i jak dalece różnią się postaciami i ile w ich wielorakich kształtach jest rozmaitości, nie jakoby mało było obdarzonych podobną postacią, lecz że nie wszystkie są wszystkim równe na ogół. I nic dziwnego. Bo skoro jest ich takie mnóstwo, iż ani końca nie mają, jak pouczyłem, ani żadnej liczby, to oczywiście jest rzeczą konieczną, żeby nie były wszystkie zgoła wszystkim równe co do objętości i podobne co do kształtu. Oto zresztą ród ludzki, nieme trzody pływaków okrytych łuskami, wesołe stada, dzikie zwierzęta i rozmaite ptaki, co urocze okolice wodne ożywiają swą obecnością około brzegów, źródeł i jezior i co przebiegają w locie przez bezdrożne knieje! Bierz z nich po kolei jedno za drugim z tego samego gatunku, a przecie znajdziesz, że różnią się między sobą kształtami! Inaczej ni płód

nie mógłby znać swej matki, ni matka płodu. Wszelako widzimy, że mogą i że znają się między sobą nie gorzej od ludzi. Często na przykład przed nadobnymi świątyniami bogów, opodal ołtarzy, na których spala się kadzidło, pada ubite cielę, wydając z piersi strugę krwi gorącej. Atoli matka sieroca błądzi po zielonych łąkach, bada wyciśnięte racicami ślady na ziemi i wypatruje sobie oczy na wszystkie strony, czy też gdzie nie ujrzy zgubionego płodu, przystaje, napełnia żałosnym rykiem liściasty gaj i raz po raz zagląda do obory w nieutulonej tęsknocie za małym. I ani delikatne pędy wierzbiny, ani zioła wyświeżone rosą, ani owe strumienie płynące na równi z brzegami nie mogą jej rozweselić i nagłej troski odwrócić. Ani też widok innych cieląt na bujnych pastwiskach nie może skierować jej uwagi w inną stronę i ulżyć boleści. Tak bardzo szuka czegoś własnego i sobie znanego. Znają nadto swe rogate matki wątłe koźlęta o drżących głosikach, znają czupurne baranki swe żywicielki bekliwe. Przeto, póki tego żąda natura, każde bieży do swoich mlecznych wymion. W końcu, niech będzie zboże jakiekolwiek, a jednak nie ujrzysz, żeby było w każdym ze swoich rodzajów zupełnie podobne do siebie i żeby w postaciach nie zachodziła jakaś rozbieżność. Widzimy, że nie w inny sposób maluje rodzaj muszlowców łono ziemi, gdzie toń łagodnymi falami ubija spragniony piasek wklęsłego wybrzeża. Zatem, powtarzam raz jeszcze, jest rzeczą konieczną, ażeby z podobnego względu zarodki rzeczy, skoro są tworem natury, a nie dziełem ludzkiej ręki wykonanym ściśle według jednego wzoru, latały w niepodobnych pomiędzy sobą wielokrotnie kształtach. (333–380)

Na podstawie tej zasady jest nam bardzo łatwo wyjaśnić, dlaczego ogień gromu jest o wiele wnikliwszy niż nasz, z ziemskich głowni wylęgły. Rzec bowiem możesz,

że ogień niebieskiego gromu składa się z mniejszych kształtów i że dlatego przechodzi przez otwory, przez które nie może przeniknąć ten nasz ogień, wylęgły z drewna i zrodzony z głowni. Przez róg przechodzi dalej światło, lecz deszcz się odbija. Dlaczego? Chyba że owe ciałka są mniejsze od tych, z jakich się składa ożywczy zdrój wody. Widzimy nadto, że wino przepływa od razu przez przetak, a zwleka natomiast gnuśna oliwa, dlatego oczywiście, że albo się składa z większych drobin, albo z bardziej haczykowatych i poplątanych wzajemnie. Przeto poszczególne zarodki nie mogą tak nagle oddzielić się od siebie i przepływać przez poszczególne otwory danej rzeczy. (381–397)

Mleczne i miodowe zdroje wywołują przy tym miłe uczucie w ustach i na języku. Wraża natomiast natura piołunu i srogiego jasieńca wykręca usta swym obmierzłym smakiem. Łatwo wiec wyrozumiesz, że te rzeczy, co miło głaszczą zmysły, składają się z ciałek gładkich i okrągłych, a te znowu, co wydają się gorzkie i przykre, dzierżą się we wzajemnej spójni ciałkami bardziej haczykowatymi i z tego powodu wyrzynają sobie zazwyczaj przejścia w naszych zmysłach i swoim wtargnięciem rozdzierają ciało. (398–407)

Wszystko w końcu dobre i złe dla zmysłów w dotknięciu jest urobione kształtem wręcz niepodobnym do siebie. Żebyś nie myślał przypadkiem, że przeraźliwy zgrzyt skrzypiącej piły składa się z równie gładkich drobin, jak muz pieśni, które grajkowie kształtują zwinnymi palcami i budzą na strunach! Nie myśl, jakoby zarodki podobnej postaci wnikały do ludzkich nosów, kiedy gorą stęchłe trupy i kiedy się scenę świeżo pokropi szafranem z Cylicji, a ołtarz wonieje w pobliżu arabskim kadzidłem! Nie twierdź, że te urocze barwy, co ucztę stanowią dla oczu, i te, co wzrok

kłują i zmuszają do płaczu lub swoim obmierzłym wyglądem wywołują wrażenie okrutnej brzydoty, składają się z podobnego ziarna! Bo każda rzecz, jaka tylko dochodzi do zmysłów z pieszczotą, narodziła się niechybnie z jakąś gładkością zaczątków, a natomiast każda nieznośna i przykra znalazła się razem z jakąś szorstkością materii. Są jeszcze takie, których już słusznie nie uważa się ani za gładkie, ani też w ogóle za zakrzywione o wygiętych brzeszczotach, lecz – ich różki nieco wystają, tak iż mogą raczej zmysły łechtać niż ranić. Do tego rodzaju należy winny kamień i smaki omanu. Że wreszcie gorące ognie i zimne mrozy są uzębione w odmienny sposób i kłują zmysły ciała, tego nam w obu wypadkach dowodzi dotyk. Albowiem dotyk, na święte moce bogów, jest czuciem ciała, kiedy jakaś rzecz z zewnątrz do środka się wciska lub kiedy dokucza ta, co się w ciele zrodziła, albo przynosi ulgę tryskając rodnymi szlakami Wenery, albo gdy skutkiem zderzenia brużdżą ziarna w samym ciele i zawieruchą wzajemną wywołują w czuciu zamęt. Możesz na przykład sam się dłonią uderzyć po jakiejś części ciała i zrobić to doświadczenie. Wielce się zatem muszą różnić postacie zaczątków, by mogły wywoływać różne czucia. (408–443)

Rzeczy wreszcie, robiące na nas wrażenie twardych i zbitych, muszą składać się z ciałek bardziej haczykowatych i jakby rozgałęzionych, którymi się sczepiają mocno i głęboko. Do tego rodzaju należą przede wszystkim niezłomne skały, stojące zaraz w pierwszym szeregu i przyzwyczajone do lekceważenia razów, tudzież potężne krzemienie i tężyzna twardego żelaza wraz ze spiżem, zgrzytającym opornie w wierzejach. Płyny zaś, co mają ciekłe ciało, muszą składać się raczej z gładkich i okrągłych. Oto mak można łykać z tą samą łatwością, co wodę, albowiem

poszczególne kuleczki nie zatrzymują się pomiędzy sobą i w razie wstrząśnienia występuje to samo toczenie się ku dołowi. Wszystko w końcu, co się rozprasza, jak widzisz, w jednej chwili, więc na przykład dym, mgły i płomienie, jeśli nie składa się z ciałek całkiem gładkich i okrągłych, to w każdym razie musi nie być uwikłane w ich zakręty, by mogło przeszywać ciało i przenikać głazy, a jednak nie sczepiać się wzajemnie. Łatwo więc rozpoznasz, że cokolwiek zmysły przyjmują z widocznym spokojem, to wszystko składa się z drobin nie zakręconych, lecz kończystych. Nie dziw się zaś zgoła, że widzisz te same rzeczy gorzkie i zarazem płynne, jak na przykład morską wodę. Ciekłość jej bowiem polega na gładkich i okrągłych ciałkach, a cierpienia sprawia znaczna przymieszka ciałek chropowatych. Nie muszą się jednak zahaczać wzajemnie. Są oczywiście kuliste mimo swej szorstkości, więc mogą się toczyć i równocześnie ranić zmysły. Żebyś zaś tym bardziej wierzył, że z gładkimi zaczątkami pomieszały się chropowate (skąd pochodzi cierpkość w ciele Neptuna), to jest sposób, jak je rozdzielić i osobno zobaczyć. Oto ciecz ta sama, przenikając częściej przez pokłady ziemi, łagodnieje i spływa do sadzawki jako słodka. Zostawia bowiem na górze zarodki wrażego jadu, ponieważ – chropowate – grzęzną łatwiej w ziemi. (444–477)

Gdy zaś to omówiłem, pójdę dalej i rzecz nawiążę, która z tego wywodzi swe uzasadnienie, a mianowicie, że rozmaitość w kształtach zarodków rzeczy ma pewne granice. W przeciwnym bowiem razie niektóre znowu ziarna musiałyby mieć nieskończony ogrom cielesny. Zaprawdę, w tej samej, wspólnej każdemu ciałku małości nie mogą kształty wielce się różnić pomiędzy sobą. Oto wyobraź sobie, że pierwotne ciałka mają trzy malutkie cząstki, albo też po-

mnóż je kilkoma więcej. Skoro, umieszczając te wszystkie cząstki jednego ciałka na górze i spodzie, zmieniając prawe z lewymi, przekonasz się na wszelki sposób, jaki wygląd postaci nada temu całemu ciałku każdorazowy układ, to potem, jeśli zechcesz jeszcze zmieniać kształty, będzie chyba trzeba dodać inne cząstki. I zaraz innych znowu zażąda układ z podobnego względu, jeśli przypadkiem zechcesz dalej zmieniać kształty. Więc w trop za nowością postaci zdąża rozmiar ciałka. Przeto żadną miarą nie możesz wierzyć, jakoby ziarna posiadały nieskończoną ilość różnych postaci, bo musiałbyś niektórym narzucić ogrom niesłychany, na co, jak wykazałem już wyżej, zgodzić się niepodobna. I już by ci barbarzyńskie szaty oraz lśniący melibejski[3] szkarłat, zaprawiony czerwienią tesalskich ślimaków, i złociste pokolenia pawi, strojne śmiejącą się krasą, legły zaćmione nową barwą rzeczy. I byłby w pogardzie zapach smyrny[4] i słodycze miodu, a łabędzie śpiewy i wymyślne Febusowe igrania na strunach konałyby z podobnej przyczyny w głuchym milczeniu. Oto jawiłoby się ciągle coś wspanialszego. A jak rzekliśmy „na lepsze", tak samo „na gorsze" mogłoby wszystko wstecz się cofać. Oto na odwrót, byłoby także jedno od drugiego wstrętniejsze dla nosa, dla uszu, dla oczu i dla smaku ust. Lecz skoro tak nie jest, skoro niewzruszone krańce trzymają ze stron obu całość rzeczy w karbach, to wyznać należy, że rozmaitość w kształtach materii ma także swoje granice. Od skwarów wreszcie aż po zimne mrozy sięga szlak równą miarą z powrotem odmierzon. I oto wszystko gorąco i zimno, i średnie ciepłoty leżą pomiędzy nimi, wypełniając po porządku całość. Zrodziły się zatem w ograniczeniu swej rozmaitości, ponieważ z obu stron znaczą się ostrzem dwusiecznego miecza: stąd prażą skwary, stamtąd lute mrozy. (478–521)

[3] *Melibea*, miasto w Tesalii.

[4] *Smyrna*, mirra, drogocenna żywica, sprowadzana z Abisynii i z Arabii i używana nie tylko jako kadzidło, ale także jako bardzo ważny składnik w różnych maściach i pachnidłach.

Gdy zaś to omówiłem, pójdę dalej i rzecz nawiążę, która z tego wywodzi swe uzasadnienie, a mianowicie, że nieskończona jest ilość zarodków, posiadających pomiędzy sobą podobieństwo kształtów. Albowiem właśnie dlatego, że rozmaitość postaci jest ograniczona, podobnych być musi bez liku lub będzie skończona liczba materii, co nie odpowiada rzeczywistości, jak wykazałem, wyłuszczając w wierszach, że ciałka materii z nieskończonego zapasu podtrzymują ustawicznie całość rzeczy nieprzerwanym ciągiem uderzeń ze wszystkich stron. Bo choć widzisz, że pewne stworzenia należą do rzadszych, i choć w nich stwierdzasz naocznie mniejszą płodność przyrody, to jednak w innej okolicy i na innym miejscu, w odległych krainach, mogą istnieć krocie z tego gatunku i liczba może się dopełniać. Takie są przede wszystkim w gatunku czworonogów, jak widzimy, wężorękie słonie. Ale Indyj broni wał ze słoniowej kości tylu ich tysięcy, iż nie można dotrzeć do wnętrza. Taka jest moc tych potworów, których my oglądamy tylko nieliczne okazy. Lecz i na to się zgodzę! Niech rzecz jakaś ze zrodzonym ciałem będzie sobie najbardziej jedyna i samotna, niech na całym ziemskim kręgu nie będzie żadnej do niej podobnej! A jednak, jeżeli nie będzie nieskończonego zapasu materii, z której ona może się począć i zrodzić, to nie będzie mogła się zrodzić ani też potem róść dalej i się żywić. Bo niechże sobie tylko stawią przed oczyma, że rodne ciałka jednej jeno rzeczy w ograniczonej liczbie krążą po wszechmiarze! Skąd, gdzie, jaką mocą i ja-

kim sposobem zetkną się i zejdą w takim morzu materii i w tak obcym mrowiu? Nie mają, myślę, możności skupienia. Lecz jako zwykle po licznych i wielkich rozbiciach okrętów potężne morze rozrzuca ławki, stery, reje, dzioby, maszty i płynące wiosła, a skołatane kadłuby tułają się po wszystkich ziemskich wybrzeżach i ostrzegają swoim widokiem śmiertelnych, by chcieli unikać zasadzek, gwałtów i zdrady przewrotnego morza i żeby nigdy nie żywili ufności, gdy spokojne tonie wabią zdradliwym uśmiechem, tak samo, skoro raz zamkniesz pewne zarodki w liczebnych granicach, będą ci one musiały ulec rozproszeniu i zostać wieczną igraszką przeciwnych prądów materii. I przeto nigdy nie będą mogły pod żadnym naporem zejść się w jedno skupienie ni pozostawać w skupieniu, ni przyrostem się zwiększać. Jawnie dzieje się jednak i jedno, i drugie, jak uczy rzecz namacalna, bo rzeczy się rodzą i mogą róść po zrodzeniu. Jasne jest tedy, że w każdym rodzaju jest nieskończone mnóstwo zarodków rzeczy, skąd wszystkie czerpią obfite zasiłki. (522–568)

A tak nie mogą wiecznie zwyciężać ruchy niszczycielskie i na wieki grzebać bytu, ani też rodne i wzrost sprawiające ruchy nie mogą wiecznie ocalać tego, co powstało. Jakoż bój zaczątków, wszczęty od nieskończonego czasu, toczy się z równym wysiłkiem. To tu, to tam zwycięża żywotność rzeczy i również klęski doznaje. Z pogrzebem miesza się kwilenie, jakie podnoszą dzieci, nawiedzające brzegi jasności. I żadna noc po dniu ni żadna zorza nie zeszła po nocy, żeby nie słyszała z żałosnym kwileniem pomieszanych jęków, co towarzyszą śmierci i czarnym marom. (569–580)

Tutaj trzeba to jeszcze mieć w pieczy szczególnej i dobrze zachować w pamięci, że żadna z tych rzeczy, których

naturę widać wyraźnie, nie składa się z jednego tylko rodzaju zaczątków, że nie ma niczego, co by nie miało mieszanego ziarna. I wszystko, co posiada w sobie więcej sił i własności, poucza, że jest w nim bardzo wiele rodzajów zaczątków i rozmaitych kształtów. Ziemia przede wszystkim! Ma w sobie ciałka pierwotne, dzięki którym źródła, tocząc zimne nurty, skrzętnie odnawiają niezmierzone morze. Ma, dzięki którym powstają ognie, albowiem na wielu miejscach płonie żarem łono ziemi, a osobliwymi już ogniami szaleje wybuch Etny. Ma następnie takie, dzięki którym może wyłaniać dla ludzi hoże zboża i bujne krzewy, a także takie, dzięki którym może dostarczyć dla dzikiej zwierzyny górskiej rzek, liści i bujnych pastwisk. Przeto wielką matką bogów i matką dzikich zwierząt i rodzicielką naszego ciała została nazwana ona jedna. (581–599)

O niej starzy, uczeni pieśniarze Greków śpiewali, że[5] . . . . . siedząc na rydwanie, popędza lwy w podwójnym jarzmie, przez co uczyli, że wielka ziemia buja w powietrznej przestrzeni i że nie może sama na sobie spoczywać. Wprzęgli dzikie potwory, ponieważ nawet najdziksze potomstwo musi złagodnieć i ulec staraniom rodziców. Że zaś na swych warownych wyżynach dźwiga grody, ogrodzili szczyt głowy wieńcem z wieżyczek. Z tą oznaką nosi się teraz wizerunek bożej rodzicielki po rozległych ziemiach i budzi świętą grozę. Różne narady nazywają ją wedle starego obrządku Idajską Matką[6] i przydają frygijskie rzesze za orszak,

[5] W tekście przekazanym przez kodeksy został prawdopodobnie opuszczony przynajmniej jeden wiersz.

[6] Lukrecjusz nazywa Idajską Matką prastarą (przedgrecką) boginię, którą czczono w Małej Azji, a także na Krecie, jako boginię płodności w przyrodzie, i którą nazywano zazwyczaj Wielką Matką lub Cybelą

gdyż od owego najpierw kraju, jak mówią, poczęły róść zboża po całym świecie. Przydzielają jej gallów, ponieważ chcą zaznaczyć, że tych, co pokalali świętość matki i wobec rodziców okazali się niewdzięcznikami, ma się uważać za niegodnych, by wydawali żywe potomstwo na brzegi jasności. Grzmią pod dłonią napięte bębny i dęte talerze dokoła, chrapliwym głosem grożą rogi, a pusty flet podnieca umysły frygijską pobudką. Przodem niosą noże, godła gwałtownego szału, zdolne przejąć niewdzięczne dusze i bezbożne serca tłumu mrowiem i strachem przed mocą bogini. Skoro więc tylko jadąc przez wielkie miasta obdarzy milcząca śmiertelnych niemym błogosławieństwem, zaraz

(Frygia). Jej kult został wprowadzony do Rzymu w 204 r. p.n.e. Czciciele Cybeli kastrowali się często na cześć bogini i jej kochanka Attisa (Attis skastrował się w szaleństwie, jakie na niego zesłała Cybele z tego powodu, że był jej niewierny; p. Katullus LXIII). Nazywano tych rzezańców „gallami" i z nich się rekrutowali kapłani Cybeli. Obywatelom rzymskim nie wolno było brać czynnego udziału w pochodach i opisanych przez Lukrecjusza krwawych manifestacjach na cześć Wielkiej Matki. Lukrecjusz utożsamia ją z Reą, czczoną na Krecie żoną Kronosa (Saturna) i matką Zeusa (Jowisza). Dlatego mówi o kuretach, choć zbrojni tancerze Cybeli nazywali się właściwie korybantami (wyraz prawdopodobnie obcego pochodzenia, ale tak zgrecyzowany, iż kojarzył się dźwiękowo z wyrazami „korys" – „hełm" i „bagno" – „idę, kroczę"; tancerze Cybeli nosili specjalne hełmy z okazałymi czubami). Według tradycji greckiej Rea, zrodziwszy Zeusa, podała Kronosowi, który połykał swoje dzieci, kamień do połknięcia zamiast najmłodszego syna, a jego samego ukryła na Krecie, na górze Ida (góra tej samej nazwy znajdowała się także w Małej Azji, w Troadzie, i była jednym z głównych ośrodków kultu Wielkiej Matki) w tzw. grocie diktejskiej tudzież powierzyła opiece kuretów (wyraz znaczy mniej więcej tyle, co „młodzieńcy"). Lukrecjusz nazywa korybantów „frygijskimi kuretami" w odróżnieniu od właściwych, czyli „diktejskich kuretów", utożsamiając zaś Cybelę nie tylko z Reą, ale także z Demetrą (Cererą), dawczynią zboża (p. VI 1 n.), dopatruje się w Wielkiej Matce religijnego symbolu „Matki–Ziemi".

jej zaścielają spiżem i srebrem całą drogę, bogacą sutą jałmużną i chmurą różanego kwiecia zasypują Matkę wraz z rzeszą czcicieli. Tutaj zbrojna gromada, którą Grecy nazywają imieniem frygijskich kuretów, o ile igra między sobą bronią i zlana posoką podskakuje miarowo, potrząsając raz po raz straszliwymi czubami na głowach, przedstawia diktejskich kuretów, którzy mieli niegdyś zagłuszyć na Krecie owo kwilenie Jowisza, gdy jako zbrojne chłopięta wkoło chłopięcia uderzali miarowo w wytrwałym pląsie o spiż spiżem, żeby go też nie dostał Saturn w swe zachłanne szczęki i nie zadał sercu Matki wiekuistej rany. Z tego powodu towarzyszą Wielkiej Matce zbrojni. Albo mają w ten sposób zaznaczać, że bogini przykazuje mieczem i cnotą bronić ojczystej ziemi ochotnie i być dla rodziców chętną podporą i chlubą. Dobre te jednak i znakomite wywody niemniej daleko odbiegły od prawdy. Bo przecież wszelka natura bogów, odsunięta od spraw naszych i odłączona daleko, musi mocą swego przyrodzenia zażywać nieśmiertelnego bytu z najwyższym pokojem. Wolna zaiste od wszelkiego bólu, wolna od niebezpieczeństw, mając dość mocy we własnych zasobach, a nas nie potrzebując zgoła, ni zasługami ująć się nie daje, ni na gniewy zważa. Ziemia przynajmniej trwa w wiecznej nieczułości. Ponieważ zaś posiada zarodki wielu rzeczy, przeto wiele i na wiele sposobów wydaje na światło słoneczne. I jeśli ktoś tutaj postanawia sobie morze zwać Neptunem, a Cererą zboża i jeśli woli używać imienia Bakchusa, niż wymieniać właściwą nazwę cieczy, to pozwólmy mu nazywać ziemski krąg matką bogów, byleby tylko sobie w istocie oszczędził kalania ducha podłym zabobonem. (600–660)

Często tedy pod tym samym stropem niebieskim szczypią trawę z jednego pastwiska i wełniste trzody, i walecz-

ny chów rumaków, i rogate stada tudzież z jednej strugi wody gaszą swe pragnienie, a przecież żyją odmiennie, zachowują naturę rodziców i naśladują ich obyczaje wedle swych poszczególnych rodzajów. Tak wielka jest rozmaitość materii w lada gatunku trawy i w lada strudze wody. Następnie każde stworzenie – wybierz, jakie chcesz – tworzą kości, krew, żyły, ciepło, ciecz, mięśnie i ścięgna, a to wszystko znowu wielce się różni od siebie z powodu odmiennego ukształtowania zaczątków. Wszystkie dalej rzeczy, spalające się w ogniu, jeśli nic nadto, to to w każdym razie w swoim ciele kryją, dzięki czemu mogą buchać ogniem, wysyłać światło, sypać iskrami i popiół szeroko rozrzucać. Przechodząc resztę rzeczy w podobny sposób umysłem, dojdziesz w końcu, że kryją w swoim ciele ziarna wielu rzeczy i że zawierają rozmaite kształty. Widzisz wreszcie wiele rzeczy, obdarzonych tak barwą, jak i smakiem oraz zapachem. Te rozliczne dary muszą oczywiście polegać na rozmaitych kształtach pierwotnych ciałek. Niepodobne zatem postacie łączą się w jedno skupienie i rzeczy składają się z mieszanego ziarna. Oto nawet w naszych wierszach widzisz wszędzie wiele liter wspólnych wielu wyrazom, a przecież wyznać musisz, że różne pomiędzy sobą wiersze i słowa składają się z różnych liter, nie żeby rzadko kiedy biegła wspólna litera lub żeby nie było żadnej pary ze wszystkich tych samych, lecz ponieważ nie są wszystkie wszystkim równe we wszystkim. Choć więc w różnych rzeczach jest tak samo wiele zarodków wspólnych wielu rzeczom, to jednak może pomiędzy nimi zachodzić niepodobieństwo całości. Słusznie się zatem powiada, że z różnych cząstek składa się ród ludzki, zboża i bujne drzewa. (661–699)

Nie należy jednak mniemać, że wszystko może się sprzęgać na wszystkie sposoby, albowiem widziałbyś ro-

dzące się co krok poczwary. Powstawałyby postaci na pół ludzkie, a na pół zwierzęce, od czasu do czasu rosłyby strzeliste gałęzie z żywego ciała, wiele ziemskich członków splatałoby się z morskimi, a nawet chimery[7], ziejące ogniem z obrzydłego pyska, tuczyłaby natura po wszechrodnej ziemi. Jest jednak rzeczą namacalną, że nic się takiego nie dzieje, ponieważ wszystko, zrodziwszy się z pewnych ziaren i z pewnej macierzy, może zachowywać rodzajowe cechy podczas dalszego rozwoju. Musi to oczywiście polegać na pewnej zasadzie. Oto ze wszystkich pokarmów rozchodzą się po członkach każdego tworu tylko jemu właściwe ciałka i wytwarzają po przyłączeniu odpowiednie ruchy. Obce natomiast odrzuca, jak widzimy, natura na ziemię. Wiele jeszcze takich, co nigdzie nie zdołały się dołączyć ni wewnątrz wykonywać zgodnie i naśladować ruchów żywotnych, umyka pod nawałą uderzeń niewidocznymi ciałkami z ciała. Abyś zaś nie mniemał przypadkiem, że tylko stworzenia podlegają tym prawom, to o wyodrębnieniu stanowi pewna ogólna zasada wszystkiego. Bo jak wszelkie rzeczy zrodzone różnią się pomiędzy sobą naturą całości, tak ich wszelakość musi polegać na niepodobnym kształcie zaczątków. Nie żeby mało było obdarzonych podobną postacią, lecz że nie wszystkie wszystkim są równe we wszystkim. A dalej, skoro ziarna się różnią, to różnić się muszą także odstępy, drogi, związki, ciężary, uderzenia, zbiegi i ruchy, co wyodrębnia nie tylko ciała stworzeń, ale także lądy oddziela od morskiej całości i całe niebo trzyma na wodzy od ziemi. (700–729)

[7] *Chimera*, mityczny potwór, który miał posiadać ziejącą ogniem głowę lwa, tułów kozy (stąd nazwa, bo grecki wyraz „chimaira" oznacza kozę) i ogon zakończony łbem węża. Chimerę zabił Belerofont (patrz *Iliada* VI 179 n.; por. Hezjod, *Theog.* 319 n.).

A teraz posłuchaj słów, zdobytych moim słodkim trudem, ażebyś przypadkiem nie sądził, że te rzeczy białe, których blask oglądasz na własne oczy, wywodzą się z białych zarodków albo że się z czarnego ziarna zrodziły te, co się czernią. I nie wierz, jakoby te, co mają jakąś inną barwę, miały ją dlatego, że ciałka materii są zabarwione podobnie! Albowiem ciałka materii nie posiadają żadnej w ogóle barwy, ni podobnej, ni wręcz niepodobnej do rzeczy. Jeśli zaś może myślisz, że umysłem w te ciałka wniknąć niepodobna, to błądzisz po manowcach. Bo skoro ślepi od urodzenia, co nigdy nie oglądali słonecznego światła, poznają jednakże ciała dotykiem, choć z barwą nie miały dla nich nic wspólnego od zarania życia, to i nasz oczywiście umysł może sobie wyobrazić ciałka nie powleczone żadnym malowaniem. Wreszcie my sami nie czujemy zgoła żadnego ubarwienia tych wszystkich rzeczy, których się dotykamy w ślepych ciemnościach. A skoro przy mnie zwycięstwo, że to się dzieje, to teraz tego dowiodę. Oto wszelka w ogóle barwa przemienia się na wszystkie. Lecz tego nie mogą czynić żadną miarą zarodki rzeczy, albowiem musi pozostać coś niezmiennego, żeby wszystkie zgoła rzeczy nie sczezły w nicości. Cokolwiek bowiem, uległszy przemianie, ze swych wychodzi granic, zaraz to znaczy się śmiercią tego, co istniało przedtem. Przeto strzeż się pokalać barwą ziaren rzeczy, żeby ci wszystkie zgoła nie obróciły się w nicość. (730–756)

Jeśli zresztą zaczątki nie posiadają żadnej natury barwistej, lecz są obdarzone rozmaitością postaci, skutkiem czego tworzą się barwy wszelakich odmian i rodzajów, ponieważ ma niepomierne znaczenie, z jakimi i w jakim układzie znajdują się wszelakie ziarna oraz jakie pomiędzy sobą zamieniają ruchy, to możesz z największą łatwością

od razu wyjaśnić, dlaczego te rzeczy, co miały dopiero co czarną barwę, mogą nagle zajaśnieć marmurowym blaskiem, jak na przykład morze, gdy potężne wichry skłębią jego płaszczyzny, zamienia się na białe bałwany marmurowej bieli. Możesz bowiem powiedzieć, że to, co zazwyczaj widzi się czarne, zaraz po zamieszaniu materii, po zmianie ładu zaczątków, po przydaniu niektórych i po odjęciu niektórych wydaje się śnieżnobiałe. Zaprawdę, gdyby morskie płaszczyzny składały się z błękitnych ziaren, to żadną miarą nie mogłyby bieleć. Albowiem, choćbyś na wszelki sposób mieszał i mieszał błękitne, nigdy nie przejdą na barwę marmuru. Jeśli zaś ziarna, wytwarzające czysty i jednolity odblask morza, są ubarwione coraz to inaczej, podobnie jak często z odmiennych postaci i z rozmaitych kształtów powstaje coś kwadratowego o jednolitym kształcie, to musielibyśmy rozróżniać na morskiej płaszczyźnie lub w jakimś innym czystym i jednolitym odblasku nader niepodobne do siebie i różne barwy, tak jak rozróżniamy niepodobne postacie wewnątrz kwadratu. Żadnej nadto przeszkody nie stawiają niepodobne kształty, by wszystko razem było na zewnątrz kwadratem, atoli rozmaite barwy stanowią niepokonaną przeszkodę, by jednolity odblask miała rzecz cała. (757–787)

Odpada następnie przyczyna, która nas nieraz przywodzi i nęci do tego, by zaczątkom rzeczy przydzielać barwy, ponieważ z białych nie rodzą się białe rzeczy ani z czarnych te, co zowią się czarne, lecz z rozmaitych. I zaprawdę o wiele prędzej powstaną białe twory z nijakiej barwy niż z czarnej albo z jakiejś innej, co wręcz walczy i stawia opór. (788–794)

Skoro zresztą barw być bez światła nie może, a na światło nie występują zarodki rzeczy, to można być pewnym,

że nie są spowite żadną barwą. Jakaż bowiem barwa będzie możliwa w ślepych ciemnościach? Oto nawet na świetle doznaje zmiany, i to dlatego, że odbłyskuje, kiedy ją światłość wprost lub kiedy ją z boku uderzy. Tak się mieni na słońcu pierze gołębi, otaczające wieńcem kark i szyję. Albowiem raz jest czerwone, jak ognisty kamień[8], a czasem znowu robi wrażenie, jakby pośród korali zieleniły się pomieszane szmaragdy. Także wachlarz pawi, nasycon powodzią światłości, zmienia swe barwy w podobny sposób. A skoro barwy powstają skutkiem pewnego uderzenia światła, to sądzić trzeba oczywiście, że bez niego nie mogą powstawać. I ponieważ źrenica odbiera cios innego rodzaju, kiedy mówimy, że ma wrażenie białej barwy, a innego znowu, kiedy odbiera wrażenie czarnej tudzież wszystkich innych, i ponieważ nie ma żadnego znaczenia, jaką w ogóle barwą są wyposażone te rzeczy, których się dotykasz, lecz raczej jaki kształt posiadają, to niewątpliwie zaczątkom nie trzeba barw zgoła, lecz mocą rozmaitych postaci wywołują rozmaite wrażenia dotykowe. (795–816)

Gdyby zresztą przypuścić, że określone kształty nie mają barw określonych, lecz wszystkie ukształtowania zaczątków mogą mieć odblask dowolny, to w takim razie dlaczego składające się z nich rzeczy nie mają tej samej obfitości wszelakich barw w każdym rodzaju? Godziłoby się bowiem, by często i kruki raziły śnieżną barwą ze śnieżnych skrzydeł w locie i żeby z czarnego ziarna powstawały łabędzie czarne lub jakiej chcesz innej barwy, tak pstrej, jak i jednolitej. (817–825)

A nawet, rozrywając wszelką rzecz na coraz mniejsze

[8] Lukrecjusz używa wyrazu „pyropus", który może oznaczać albo tzw. granat (czy rubin), albo stop złota i miedzi.

cząstki, widać coraz wyraźniej, jak barwa powoli zanika i gaśnie. Dzieje się to na przykład, gdy na drobniutkie strzępki rozdzierać purpurę. Ginie doszczętnie szkarłat i przewspaniały blask punicki[9], gdy nić rozskubać za nicią. Stąd zaś poznać możesz, że cząstki tracą wszelką barwę, zanim się rozproszą na ziarna rzeczy. (826–833)

Przyznajesz w końcu, że nie wszystkie ciała głos wysyłają i zapach. I dlatego nie przysądzasz wszystkich dźwięków i zapachów. Podobnie nie możemy wszystkich rozeznać oczyma, a zatem są oczywiście niektóre tak ogołocone z barwy, jak niektóre nie mają żadnego zapachu i żadnego dźwięku. Bystry umysł poznaje je jednak tak samo, jak może zauważyć te, które są pozbawione innych rzeczy. (834–841)

Lecz żebyś nie myślał przypadkiem, że ciałka pierwotne zostały jedynie z barwy wyzute, to brak im jeszcze ciepła i zimna w ogóle i gorącego żaru, to pędzą w jałowości dźwięku, w głodzie smakowania i nie wydają z ciała żadnej swoistej woni. I jak, zabierając się do robienia rozkosznego płynu z majeranku, mirry lub z wonnego nardu, co nozdrza napawa nektarem, musisz przede wszystkim starać się o oliwę, o ile da się i można znaleźć, bezwonnej jakości, ażeby żadnym wyziewem nie wiała do nosa i żeby jak najmniej mogła swym zaduchem kazić i zaprzepaszczać rozczynione i zagotowane w sobie wonie, tak z tego samego względu nie mogą zarodki rzeczy narzucać tworzącym się rzeczom swego zapachu ni dźwięku, jako że nie mogą

[9] Purpura punicka czy fenicka (w szczególności purpura z Tyru i z Sydonu) uchodziła za najlepszą. Sposób przyrządzania farby purpurowej, która miała wiele odcieni, od różowego do ciemnofiołkowego i nawet czarnego, nie jest nam dokładnie znany. Wyrób drogocennych tkanin purpurowych stanowił ważną gałąź przemysłu starożytnego.

niczego z siebie wysyłać, ni z podobnej przyczyny żadnego wreszcie smaku ni zimna, a tak samo letniego i gorącego ciepła tudzież wszystkich innych rzeczy tego rodzaju. Bo wszystkie rzeczy z tymi własnościami, rzeczy śmiertelne, rzeczy wiotkie o ciele miękkim, łamliwe o kruchym, o rzadkim zaś puste w pośrodku, trzeba od zaczątków odłączyć koniecznie, jeżeli chcemy rzeczom dać nieśmiertelne posady, zdolne utrzymać całość wszechistnienia. Inaczej wszystko ci zgoła obróci się w nicość. (842–864)

A teraz musisz się zgodzić, że wszystkie, jakie tylko widzimy, twory czujące składają się z zaczątków pozbawionych czucia. Nie obala tego namacalne doświadczenie, nie zwalczają nauki codziennego życia, lecz raczej same prowadzą za rękę i zniewalają do wiary, że, jak powiadam, stworzenia powstają z zaczątków pozbawionych czucia. Oto można widzieć, jak ze szkaradnego gnoju lęgną się żywe robaki, gdy mokra ziemia dojdzie do stanu zgnilizny skutkiem niewczesnej słoty. Poza tym wszystkie rzeczy ulegają tak samo przeobrażeniu. Rzeki, liście i bujne pastwiska przeobrażają się w bydło, bydło przeobraża się w nasze ciała, a nasze znowu ciało często wzmacnia siły dzikich zwierząt i tuczy skrzydlatych mocarzy. Więc natura przeobraża wszystkie pokarmy w żywe ciało i wytwarza z nich wszystkie zmysłowe czucia stworzeń w mało co różny sposób, jak kiedy suche drewno przemienia na bukiet płomieni i wszystko w ogień obraca. Czy więc już widzisz, ile ma znaczenia, w jakim porządku są umieszczone wszelakie zarodki rzeczy i z jakimi pospołu zamieniają ruchy? (865–885)

A potem: cóż to jest właściwie, co umysłem wstrząsa, co go niepokoi i zniewala do rozmaitych wymysłów, aby wiary nie dawać, że coś z czuciem rodzi się z zaczątków, pozbawionych czucia? Oczywiście to, że kamienie i drewno, i ziemia, choćby zamieszać je razem, nie mogą wytworzyć żywotnego czucia! Tutaj więc o tym pamiętać należy, że nie twierdzę bynajmniej, jakoby z każdego w ogóle tworzywa rzeczy rodziło się zaraz coś z czuciem i ze zmysłami, lecz że ma niezmierne znaczenie, po pierwsze, jak maleńkie są te ciałka, co sprawiają ośrodek czucia, następnie, jaką są obdarzone postacią, a wreszcie, jakie mają ruchy, rządki i układy. Żadnej z tych rzeczy nie dostrzegamy w drewnie ni w skibach, a jednak rodzą robactwo, kiedy skutkiem słoty przegniją niejako, ponieważ ciałka materii, wytrącone ze starych porządków skutkiem nowego zdarzenia, łączą się w ten sposób, jak właśnie stworzenia rodzić się winny. Jakim następnie prawem ci, którzy są przyzwyczajeni czuć w dalszym ciągu z innych, wyrokują, że coś z czuciem rodzi się z zaczątków obdarzonych czuciem, skoro je tym samym skazują na miękkość?[10] Albowiem wszelkie czucie łączy się z mięsem, ścięgnami i żyłami, a to wszystko jest, jak widzimy, miękkie i zrodzone ze śmiertelnego ciała. Lecz niechże już sobie będą mogły trwać wiecznie! W każdym razie jednak muszą mieć albo czucie części, albo trzeba im przyznać czucie podobne do czucia całych stwo-

[10] Według Lukrecjusza ci, którzy twierdzą, że jeżeli istoty czujące powstają z atomów, to atomom musi przysługiwać czucie, nie mają prawa o niczym wyrokować, ponieważ ich „czucie" należy nie do nich, lecz do ich atomowych składników. Wyraz „sentire" ma dwa znaczenia: „czuć" i „myśleć". Poeta to wyzyskuje i daje dalej do zrozumienia, że jego przeciwnicy nie myślą samodzielnie, lecz „są przyzwyczajeni" do powtarzania cudzych zarzutów (analogia do „czucia", przekazanego „czującym istotom" przez ich rzekomo „czujące atomy"), i to zarzutów fałszywych, bo „czujące atomy" musiałyby być miękkie. – Powyższe tłumaczenie ma tę zaletę, że pozostawia bez zmiany tekst, przekazany w kodeksach (por. V 1133 n.: *...sapiunt alieno ex ore petuntque res ex auditis potius quam sensibus ipsis*).

rzeń. Atoli jest niemożliwe, by części czuły same przez się, bo przecież czucie całości nie dopuszcza innego czucia w członkach. I nie może od nas odłączona ręka ni żadna w ogóle część cielesna czucia samotnie zachować. Pozostaje, by je upodobnić do całych stworzeń, jeżeli mają współdziałać z tym samym czuciem żywotnym. Jakże więc będą mogły zwać się zarodkami rzeczy i unikać dróg śmierci, skoro są stworzeniami, a stworzenia i śmiertelne pokłosie to jedno i to samo? A choćby nawet mogły! Przecież skupieniem swej rzeszy nie wytworzą niczego więcej jak tylko tłum i hordę stworzeń, podobnie jak ludzie, trzody i dzikie zwierzęta nie mogą niczego zrodzić swoim zbiegowiskiem. Tak samo czuć muszą to, co my czujemy. Bo jeśli przypadkiem tracą swoje czucie z ciała i przybierają inne, to po co było dawać to, co się odbiera? A następnie, do czego uciekliśmy się już przedtem, skoro widzimy, że jaja ptaków przeobrażają się w żywe pisklęta i że się lęgnie robactwo, gdy ziemię przetrawi zgnilizna skutkiem niewczesnej słoty, to przecież jest jasne, że czucie może się rodzić nie z czucia. (886–930)

A jeśli ktoś rzeknie przypadkiem, że czucie może powstawać nie z czucia, ale jedynie mocą zmienności, albo też że jakiemuś jakby porodowi zawdzięcza istnienie, to temu dość będzie wyjaśnić i uzasadnić, że nie ma żadnego porodu bez uprzedniego skupienia i że nic nie doznaje zmiany bez uprzedniej spójni. Nie może być zasadniczo zmysłów żadnego ciała, zanim się zrodzi sama natura stworzenia, bo oczywiście rozprószona materia, którą więzi powietrze, rzeki, ziemia i ziemne płody, nie zebrała się jeszcze we właściwy sposób i nie wznieciła pomiędzy sobą tych żywotnych ruchów, które rozpalają wszystkoczujne zmysły, stojące na straży każdego stworzenia. (931–943)

Każde zresztą stworzenie cios silniejszy, niż wytrzymuje natura, łamie od razu i zaraz mąci wszystkie zmysły ciała i ducha. Idą bowiem w rozsypkę układy zaczątków i ruchy żywotne ustają zupełnie, aż materia, doznawszy wstrząsu po wszystkich członkach, oderwie żywotne węzły duszy od ciała i precz wygna rozprószoną wszystkimi porami. Bo jak sądzimy? Cóż więcej może sprawić raz zadany, jak wszystko rozbijać i rozprzęgać? Często zdarza się także, że gdy cios zadano mniej srogi, resztki ruchów żywotnych biorą górę, górę biorą i uśmierzają ogromne rozruchy, wywołane razem, i wszystko kierują z powrotem na swoje tory. Rozpraszają niejako panujący już w ciele ruch śmierci i rozpalają prawie że zgaszone zmysły. Albowiem z jakiej przyczyny miałyby raczej, po zebraniu ducha, zawracać do życia tuż na progu śmierci, a nie podążyć tam, dokąd się już prawie doszło, i odejść na zawsze? (944–962)

Skoro zresztą ból jest wówczas, gdy ciałka materii, zaniepokojone po żywych mięśniach i po członkach skutkiem jakowegoś gwałtu, płoszą się wewnątrz swoich siedlisk, a błoga rozkosz wówczas powstaje, gdy wracają na swe miejsce, to oczywiście zarodki rzeczy nie mogą ni cierpieć żadnego bólu, ni czerpać żadnej rozkoszy z siebie. Nie składają się bowiem z żadnych ciałek zaczątkowych, które nowością ruchu mogłyby im sprawiać cierpienie albo użyczać jakiegoś plonu błogiej rozkoszy, a zatem muszą nie mieć żadnego zgoła czucia. (963–972)

Jeśli już wreszcie musi się przydzielić czucie zaczątkom wszelkich stworzeń, aby czuć mogły, to cóż będzie z tymi, z których się składa właśnie ród ludzki? Oczywiście i trzęsą się w dygotach serdecznego śmiechu, i rzęsistymi łzami zraszają twarz i lica! Umieją także wiele rozprawiać o mieszaninie rzeczy i dociekają, jakie też znowu

one same mają zarodki. Muszą bowiem i one, jako zupełnie podobne do śmiertelników, składać się także z innych drobin, a z innych potem inne, tak iż nigdzie nie poważysz się stanąć. Oto prześladować cię będę, że wszystko, czemukolwiek przyznasz mowę, śmiech i rozum, składa się z cząstek czyniących to samo. A jeśli to w oczy bije swoim obłędnym szaleństwem i można śmiać się, a nie być urobionym z ziaren chichotliwych, i jeśli bez ich mądrości jako też wymowy można być mądrym i sprawę wyłuszczać słowy uczonymi, to dlaczego nie mogłyby się składać twory mające, jak widzimy, czucie, z mieszaniny ziaren nie mających żadnego czucia? (973–990)

Jesteśmy w końcu wszyscy rodem z niebieskiego ziarna. Dla wszystkich jest ten sam górny rodzic, skąd miłościwa rodzicielka ziemia, przyjąwszy do łona krople ulewnego zdroju, zachodzi w ciążę, rodzi hoże zboża, bujne krzewy i ród ludzki, rodzi wszystkie pokolenia dzikich zwierząt, a równocześnie dostarcza paszy, dzięki której wszystkie tuczą swoje ciała, wiodą słodki żywot i krzewią potomstwo. Dlatego słusznie uzyskała imię matki. I wraca tak samo nazad do ziemi to, co przedtem było z ziemi, a to, co zostało zesłane z eterycznych krańców, zabierają z powrotem przybytki niebios. I śmierć nie niszczy rzeczy w ten sposób, by unicestwiać ciałka materii, lecz tylko ich związek rozprasza, a potem inne dołącza do innych i sprawia, że jeśli w ten sposób wszystkie rzeczy przekształcają swe postacie i zmieniają barwy, zyskują zmysły i w jednej chwili je oddają, to można poznać wagę tego, z jakimi i w jakim układzie znajdują się te same zarodki rzeczy oraz jakie pomiędzy sobą zamieniają ruchy. I strzeż się myśleć, jakoby to, co w naszych oczach igra na powierzchni rzeczy, od czasu do czasu powstaje i nagle przepada, mogło stanowić wątek

nieśmiertelnych ciałek pierwotnych! Oto nawet w naszych własnych wierszach wielkie ma znaczenie, z jakimi i w jakim porządku są umieszczone wszelakie litery. Te same oznaczają bowiem niebo, morze, ziemię, rzeki i słońce, te same oznaczają zboże, krzewy i stworzenia. A chociaż nie wszystkie, to przecież w ogromnej większości są podobne do siebie i właśnie układem różnią się wyrazy! Tak samo jest także z rzeczami: zmieniać się wraz muszą, gdy zmieniają się zbiegi, ruchy, porządek, układ i kształty materii. (991–1022)

A teraz zwróć nam ducha ku prawdziwej nauce! Oto się mozoli rzecz niesłychanie nowa do uszu ci trafić i w nowym poglądzie na świat się objawić. Ale nie ma ani żadnej rzeczy tak łatwej, żeby z początku nie była zbyt trudna do uwierzenia, ani nic nie jest tak wielkie, ani tak zdumiewające, żeby z wolna nie przestawało budzić podziwu ludzkiego. Pojrzyj na jasny i czysty błękit nieba, na te wszędzie snujące się gwiazdy, jakie w sobie mieści, na księżyc i na wspaniały blask słońca! Gdyby tak teraz po raz pierwszy, gdyby tak teraz nagle to wszystko ukazać śmiertelnym, to cóż od tych rzeczy można by nazwać godniejszym podziwu albo o czym mniej śmieliby ludzie przedtem zamarzyć? O niczym, myślę: taki zachwyt musiałby wzbudzić ten widok! Lecz się go już każdy napatrzył do syta i nikt nie sądzi, żeby było warto wznieść oczy ku świetlanym przybytkom niebieskim. Więc przestań z trwogi przed samym imieniem nowości wyrzekać się rozumnego pouczenia, lecz weź je raczej pod bystrą rozwagę i jeśli me słowa uważasz za prawdę, zdaj ręce, a jeśli są kłamstwem, opasz się do boju! Albowiem wobec nieskończoności wszechprzestrzeni poza wałami tego świata szuka umysł pouczenia, co też jest w tamtej dali, gdzie rozum pragnąłby dotrzeć

koniecznie i gdzie wzlatuje jeno umysł w swym swobodnym pędzie. (1023–1047)

Na wszystkie strony przede wszystkim, na lewo i na prawo, w głąb i w górę, nie mamy nigdzie żadnej granicy we wszechcałości, jak powiedziałem, jak rzecz sama przez się głośno woła i jak wynika jasno z natury otchłani. A skoro przestrzeń w każdym kierunku zieje zewsząd pustką nieskończoną, skoro ziarna w niezliczonej liczbie i w niezgłębionej mnogości latają rozmaicie w swym odwiecznym pędzie, to żadną chyba miarą nie można uważać za rzecz prawdopodobną, by tylko ten jeden ziemski krąg i niebo zostało zrodzone, a ów zewnętrzny rój ciałek materii gnuśniał bezczynnie. Przecież świat nasz stworzyła natura, kiedy ziarna materii, nastykawszy się ze sobą na ślepo, na darmo i na próżno na wiele sposobów, wyłoniły w końcu z siebie, skutkiem swych odruchowych i przygodnych ciosów, te ziarna, co nagle znalazłszy się razem, miały na zawsze pozostać zawiązkami wielkich rzeczy, ziemi, morza, nieba, i rodu stworzeń. Przeto, powtarzam raz jeszcze, musisz wyznać, że gdzie indziej istnieją jeszcze inne zbiorowiska materii, takie jak to nasze, które eter obejmuje żądnym uściskiem. (1048–1066)

Skoro zresztą materii jest w bród, skoro jest miejsca dostatek, a nie mitręży żadna przyczyna ni żaden powód, to oczywiście muszą się rzeczy dokonywać i stawać. A jeśli teraz ziaren jest tak wielka mnogość, że nie starczyłoby całego życia stworzeń na ich wyliczenie, jeśli ciągle działa ta sama moc natury, co może na każdym miejscu spiętrzać ziarna rzeczy w podobny sposób, jak tu zostały spiętrzone, to wyznać należy, że w innych stronach znajdują się jeszcze inne ziemskie kręgi, rozmaite plemiona ludzkie i pokolenia zwierzęce. (1067–1076)

Nie ma przy tym we wszechcałości żadnej jednej tylko

rzeczy, co by się rodziła jedyna i jedyna rosła samotnie. Zawsze należy do jakiegoś pokolenia i jest ich w tym rodzaju ogromnie wiele. Zaraz wśród stworzeń znajdziesz, a wskaże ci to umysł, że tak jest z rodzajem dzikich zwierząt, błądzących po górach, że tak się zrodził szczep ludzki, że tak się wreszcie zrodziły nieme trzody łuskokrytych i wszystkie ciała latawców. Dlatego wyznać trzeba z podobnego względu, że niebo, ziemia, słońce, księżyc i wszystkie inne istniejące rzeczy nie są jedyne, lecz raczej liczą się na niezliczone krocie, ponieważ tak czeka na nie głęboko osadzony kres życia i tak się składają ze zrodzonego ciała, jak wszelki rodzaj, rojący się tutaj swymi osobnikami. (1077–1089)

Jeśli to sobie uświadomisz w całej pełni, to od razu wolna natura staje przed oczyma i oto, oswobodzona od pysznych ciemiężców, sama z własnego popędu wszystko sprawia bez udziału bogów. Albowiem na święte, pełne cichego pokoju piersi bogów, co wiodą byt spokojny i pogodne życie, któż zdoła kierować bezmiarem całości, któż utrzyma w karnej dłoni potężne wodze otchłani, któż będzie obracać wszystkie nieba naraz i wszystkie ziemie użyźniać gorącem eterycznych ogni lub będzie na każdym miejscu każdego czasu, ażeby bezzwłocznie chmurami zaciągać ciemności i pogodne niebo wstrząsać grzmotem, a potem zsyłać pioruny i często własne rozwalać świątynie lub uchodzić na pustkowia i tam się srożyć i ćwiczyć w rzucaniu pociskiem, co często winnych omija, a niewinnych niezasłużenie pozbawia życia? (1090–1104)

Po narodzinach świata i po pierwszym dzionku morza, po powstaniu ziemi i słońca wiele ciałek zostało przydanych z zewnątrz. Dokoła zostały przydane ziarna, które naniósł i nazrzucał ogrom całości. Dzięki nim mogły powiększyć się morze i ziemia, dzięki nim pojawił się rozle-

gły dwór niebieski i wzniósł swe górne stropy daleko od ziemi, i wzwyż podążyło powietrze. Albowiem wszystkie swoiste ciałka są rozdzielane ze wszystkich miejsc dla każdej rzeczy przez uderzenia i uchodzą do swoich pokoleń. Ciecz uchodzi do cieczy, ziemia narasta z ziemistego ciała, ogień tworzy się z ogni, a z eteru eter, aż natura, tworzycielka rzeczy, doprowadzi wszystko w końcu swego dzieła do ostatecznego rozwoju, kiedy już to, co się dostaje do wnętrza żył żywotnych, niczym nie przenosi tego, co upływa i uchodzi. Tu musi stanąć okres rozwoju wszystkich rzeczy, tu natura swoimi siłami powściąga rozrost. Wszystko bowiem, co widzisz, jak się powiększa wesołym przyrostem i powoli wstępuje po stopniach dojrzałego wieku, więcej ciałek przybiera, niż z siebie wysyła. Jeszcze wszelki pokarm łatwo wnika w żyły i jeszcze się rzeczy nie rozciągnęły tak szeroko, by wiele ronić i więcej strat ponosić, niż wiek zdobywa pokarmu. Bo za to można z pewnością ręczyć, że z rzeczy upływa i uchodzi wiele ciałek. Ale więcej musi ich dochodzić, dopóki rzeczy nie dosięgną szczytu odżywienia. Odtąd wiek nieznacznie kruszy siły dojrzałej krzepkości i stacza się na gorszą stronę. Bo oto gdy rozwój się skończy, im rzecz jest okazalsza i im jest szersza, tym więcej ciałek zaraz roztrwania i z siebie wysyła na wszystkie strony. I pokarm nie rozdziela się łatwo po jej wszystkich żyłach ani też nie ma dostatecznego zapasu, skąd by go mogło tyle narość i starczyć w stosunku do obfitych upustów wyczerpującej się rzeczy. A zatem im wszystkim należy się zguba, skoro rozrzedną od ciągłych upływów i skoro padają pod ciosami z zewnątrz, ponieważ w podeszłym wieku zabraknie w końcu pokarmu, a uderzające z zewnątrz ciałka dobijają każdą rzecz bez ustanku i kruszą jej opór wrogimi ciosami. (1105–1143)

Tak więc i dookolne wały ogromnego świata legną zdobyte i zwalą się w gruzy. Pokarm bowiem musi wszystko odnawiać na świeżo i wspierać, pokarm wszystko podtrzymywać musi. Daremnie! Bo ani żyły nie wytrzymują dostatecznej ilości pokarmu, ani natura nie użycza go tyle, ile potrzeba. I już się złamał okres zupełnie. Oto wycieńczona ziemia rodzi zaledwie drobne żyjątka, ona, która zrodziła wszystkie pokolenia i wydała na świat olbrzymie cielska dzikich zwierząt. Nie sądzę bowiem, żeby śmiertelne pokolenia opuściła z góry na pola złota lina z nieba[11]. Nie zrodziło ich także morze ni bałwany, bijące o skały, lecz ziemia, matka ta sama, co je teraz z siebie żywi. Sama nadto zrodziła dla śmiertelnych z własnego popędu po raz pierwszy hoże zboża i bujne winnice, sama wydała słodkie płody i bujne pastwiska. Dziś one ledwie rosną przy naszej krwawicy. Oto marnujemy woły i siły rolników, niszczymy żelazo, a rola ledwie nas zaopatrzy. Tak skąpo rosną płody i takiego wymagają znoju. I już wiekowy oracz coraz częściej wzdycha potrząsając głową, że mu na niczym spełzły trudy dłoni, i kiedy zestawia teraźniejsze czasy z ubiegłymi, często wychwala szczęsny los rodzica. Również zgryźliwy hodowca starej i zasuszonej winnicy wini złą porę, zrzędzi na swój wiek i gdera, jak to łatwo dawni, pełni pobożności ludzie opędzali swe życie ze szczupłych zagonów, gdyż przedtem o wiele mniej roli przypadało na jednego męża. A z tego nie zdaje sobie sprawy, że wszystko powoli podupada i zmierza do trumny w śmiertelnym znużeniu zgrzybiałej starości. (1144–1174)

[11] Ironiczna aluzja do znanych wierszy *Iliady* (VIII 18 n.), w których Zeus zapowiada, że mógłby wciągnąć na złotej linie ziemię i morze do nieba. Według Lukrecjusza ludzie nie pochodzą z morza, jak sądził na przykład Anaksymander z Miletu (frg. A 10, 11, 30; por. mit o narodzinach Afrodyty z piany morskiej), lecz z ziemi (patrz V 783 n.).

KSIĘGA TRZECIA

Za tobą[1], co pierwszy zdołałeś z tak mrocznych otchłani błysnąć światłem tak promiennym, oświetlając dobre strony życia, za tobą idę, o chlubo greckiego plemienia, i oto w śladach twoich wyciśniętych utwierdzam mocno me stopy, nie tyle z żądzy współzawodnictwa, co dlatego, że – z miłości naśladować cię pragnę! Po cóż bowiem z łabędziami mierzyć się jaskółce albo cóż podobnego mogłyby w biegu dokazać koźlęta na drżących nogach i dzielny, silny rumak? Ty jesteś, o ojcze, objawicielem rzeczywistości, ty nam hojnie użyczasz rad ojcowskich, i jako te pszczoły na kwiecistych łąkach wszystko wysysają, tak i my z twoich kart, o arcymistrzu, skrzętnie zbieramy wszystkie złote słowa, złote i ze wszech miar godne wiecznego żywota! Bo skoro twoja z boskiego umysłu poczęta nauka pocznie głosić o istocie rzeczy, natychmiast rozpraszają się trwożne niepokoje ducha, rozstępują się wały świata, widzę wskroś całej próżni tworzenie się rzeczy. Widać moc bogów i ich zaciszne siedziby, których nie wstrząsają wichry, których chmury deszczami nie roszą i nie rażą białe groty mroźnej śnieżycy, lecz wiecznie pogodny eter nakrywa, a one śmieją

[1] Lukrecjusz wielbi Epikura.

się w powodzi rozlanego światła. I wszystkiego hojnie użycza natura, i nic ani na chwilę nie mąci pokoju ducha. Nigdzie natomiast nie widać przybytków żałości, ziemia zaś na przeszkodzie nie stoi, by nie przejrzeć wszystkiego, co tylko pod naszymi stopami dzieje się dołem w próżni. Za czym mnie wówczas jakaś rozkosz niebiańska przejmuje i groza, iż za twoją sprawą, o mocarzu, natura ze wszelkich tajemnic wyzuta tak namacalnie się jawi. (1–30)

A ponieważ wyłożyłem, jakie są zarodki wszelkich rzeczy i w jakiej rozmaitości odmiennych postaci krążą same z siebie odwiecznym pobudzone ruchem tudzież jakim sposobem mogą z nich powstawać wszystkie istniejące rzeczy, to z kolei trzeba już, zdaje się, wyjaśnić mymi wierszami naturę ducha i duszy oraz precz z serca wypędzić ów strach przed krainą żałości, co całe życie ludzkie ode dna zakłóca i wszystko zaczernia kirem śmierci, i nie zostawia żadnej szczerej ni czystej rozkoszy. Często wprawdzie powiadają ludzie, że chorób i życia w niesławie należy bać się więcej niż piekła i zgonu, że wiedzą, iż istota ducha – to krew albo i wiatr, o ile w tę stronę poniesie ochota, a więc że zgoła nie potrzebują naszej mądrości. Ale to wszystko są raczej puste przechwałki niżeli słowa istotnego przekonania, jak można zauważyć z tego, że ludzie ci sami, bez ojczyzny, wygnani daleko z ludzkich oczu, zhańbieni nikczemną zbrodnią, we wszelakich wreszcie utrapieniach – żyją wszelako i gdzie tylko w swoim nieszczęściu przybędą, zaraz zmarłym składają ofiary, czarne mordują bydlęta, leją boskim cieniom podziemne strugi i w niedoli o wiele żarliwiej zwracają serca ku religii. Dlatego lepiej jest patrzeć na człowieka w niepewnościach i niebezpieczeństwach i lepiej się poznaje, kim jest, w nieszczęściu, albowiem wówczas dopiero z głębi piersi dają się wywabić prawdziwe głosy i maskę zrywa z twarzy

twarda dłoń. Chciwość wreszcie i ślepą żądzę zaszczytów, co gwałtem przywodzą nieszczęsnych ludzi do tego, że przestępują granice prawa i nieraz, jako sprzymierzeńcy i służalcy zbrodni, noce i dnie trawią na znoju i trudzie, by wybić się na najwyższe stanowiska, te wrzody żywota karmi trwoga przed śmiercią nie w najmniejszej części. Albowiem hańbiąca wzgarda i dolegliwa nędza robią zaiste takie wrażenie, jakby odbiegały daleko od słodkiego i stałego życia i wystawały już niejako przed wrotami śmierci. Ludzie zaś pod obuchem obłędnego strachu, chcąc uciec stamtąd daleko i daleko się oddalić, z krwi obywatelskiej zbijają majątek, chciwie dwoją swoje bogactwa i piętrzą mord na mordzie. Okrutnie się radują na smutnym pogrzebie brata, a przed stołami krewnych czują lęk i odrazę. W podobny sposób i skutkiem tego samego strachu trawi zawiść: ten, jęczą, w oczy swym znaczeniem kole, ten ściąga wzrok na siebie, kto stąpa w blasku dostojeństwa, gdy oni tymczasem walają się w mroku i błocie. Część ginie dla posągów i imienia. A często nawet, skutkiem trwogi przed śmiercią, ogarnia ludzi wstręt do życia i dziennego światła: doradza, by z sercem bolejącym zadawali sobie śmierć niepomni, że ten właśnie strach jest źródłem zgryzot, że on bezcześci cześć, on targa więzy przyjaźni i poniewiera najświętszą powinność. Bo nieraz już ludzie ojczyznę i drogich rodziców zdradzili, byleby tylko uniknąć przybytków żałości. Albowiem jak dzieci biegają w popłochu i w ślepych ciemnościach wszystkiego się boją, tak my boimy się na świetle takich nieraz rzeczy, jakich zgoła więcej bać się nie należy niżeli owych strachów, urojonych przez dzieci w ciemnościach. Ten tedy ducha lęk i te ciemności muszą rozprószyć nie słońca promienie ni jasne dnia pociski, lecz dokładne i głębokie poznanie natury. (31–93)

Powiadam, po pierwsze, że duch, który często zowiemy umysłem i w którym mieści się rozum oraz kierownictwo życia, jest tak samo częścią człowieka, jak ręka i noga i jak oczy są częściami całego stworzenia. Mówią wprawdzie, że czucie ducha nie mieści się w żadnej stałej części, lecz jest jakimś życiodajnym stanem ciała, który harmonią nazywają Grecy, ponieważ ma sprawiać, iż żyjemy z czuciem, jakkolwiek umysłu nie ma w żadnej części! Ale wręcz się zmylili ci, co tak mówią, i błąd popełniają ogromny mym zdaniem, nie mieszcząc czucia ducha w żadnej stałej części, lecz tak, jak na przykład mówi się nieraz o dobrym zdrowiu ciała, a nie jest to przecież żadna część zdrowego. Otóż często ciało widoczne dla oczu chorzeje, a my tymczasem w innej, utajonej części czujemy radość. Często dzieje się znowu wprost przeciwnie i wtedy chory na duchu czuje radość w całym ciele, nie inaczej, jak jeśli komu dolega noga, a głowa, dajmy na to, żadnego tymczasem nie doznaje bólu. Gdy członki nadto w miękki sen zapadną i wyciągnięte ciało leży bez czucia, jak kłoda, jest w nas przecież coś jeszcze, co wówczas ulega przeróżnym wzruszeniom i podejmuje wszystkie ruchy radości jako też urojone troski serca. Abyś zaś teraz mógł rozpoznać, że w członkach jest także dusza i że ciało nie ma zwyczaju czuć dzięki harmonii, to przede wszystkim: mimo wielkiej straty ciała często nam w członkach pozostaje życie, opuszcza natomiast żyły i kości zostawia niezwłocznie, gdy tylko rozpierzchną się nieliczne ciałka ciepła i skoro powietrze na zewnątrz przez usta uleci. Stąd można poznać, że nie wszystkie ciałka mają jednakie znaczenie i że nie wszystkie jednakowo byt podtrzymują, lecz że zarodki wiatru i ciepła przyczyniają się więcej do utrzymania życia w członkach. Jest więc w tym ciele jeszcze ciepło i wiatr życiodajny, co opuszcza nasze

konające członki. Przeto skoro natura ducha i duszy okazała się jakby częścią człowieka, oddaj, gdzie należy, imię harmonii, zesłane dla muzyków z wyniosłego Helikonu, o ile oni sami skądinąd go sobie nie przywłaszczyli i nie przenieśli na tę rzecz, która wtenczas nie miała własnego imienia. Mniejsza o to. Niechże sobie mają! Ty słuchaj reszty słów! (94–135)

Powiadam teraz, że duch i dusza pozostają we wzajemnym, nader ścisłym związku i że tworzą jedną z siebie naturę, lecz rozum, który zowiemy duchem i umysłem, jest jakby głową i panuje w całym ciele. On ma swe stałe siedlisko w pośrodku piersi. Tu bowiem hula strach i lęk, te miejsca dokoła pieści radość, tu więc jest duch i umysł. Reszta duszy, rozsiana po całym ciele, posłusznie się rusza na skinienie i drgnienie umysłu. Rozum sam własną mocą sobie rozumuje, sam się weseli, gdy rzecz ani duszy, ani ciała społem nie porusza. I jak nie czujemy męki w całym ciele, gdy dokuczliwy ból uciska nam głowę lub oko, tak nieraz tylko duch cierpi lub wzbiera radością, reszta zaś duszy po członkach i ciele żadnych tymczasem nowych wrażeń nie odbiera. Lecz skoro umysł dozna zbyt gwałtownego lęku, to widzimy, że cała dusza po członkach współczuje: na całym ciele występują poty i bladość, język się łamie, głos zamiera, oczy przysłania mrok, w uszach szumi, gną się kolana i w końcu widzimy często ludzi padających z powodu przestrachu ducha. Łatwo więc z tego każdy wyrozumie, że duch pozostaje w ścisłym związku z duszą, która, doznawszy od ducha wstrząśnienia, zaraz ciało popędza i bije. (136–160)

Ten sam wzgląd poucza, że natura ducha i duszy jest cielesna. Skoro bowiem najwidoczniej popędza członki, zrywa ze snu ciało, zmienia barwę twarzy tudzież całym

człowiekiem kieruje i kręci, a z tego nic oczywiście bez dotknięcia obyć się nie może, dotknięcie zaś bez ciała, to czyż nie trzeba wyznać, że natura ducha i duszy jest cielesna? Widzisz nadto jasno, że duch cierpi w nas zarówno z ciałem i że z nim razem współczuje. I choćby okrutna moc pocisku, wraziwszy się do wnętrza po rozwarciu kości i mięśni, nie poraziła życia, to przecież następuje osłabienie i słodki ciąg ku ziemi, i ów zawrót głowy, co przychodzi po upadku, a od czasu do czasu niepewne próby powstania. Musi więc być cielesna natura ducha, skoro cierpi od cielesnych pocisków i od uderzenia. (161–176)

A teraz ci wyłożę, snując dalsze słowa, jakie ten duch ma ciało i z czego się składa. Zaznaczam od razu, że jest utworzony z niezmiernie drobnych ciałek. Przekonać można się o tym przy uwadze i dobrej woli w następujący sposób: nic się nie dzieje na świecie w tak rychłym sposobie, jak umysł to sobie przedstawia i sam poczyna. Umysł więc szybciej w ruch się wprawia niż jakakolwiek z tych rzeczy na świecie, których natura oczom jest przystępna. Jeśli coś jednak posiada tak wielką ruchliwość, to musi się składać z nader okrągłych i z nader drobnych zarodków, aby mogły się ruszać za lada trąceniem. Jakoż woda dlatego się rusza i dygota za lada trąceniem, że tworzą ją drobne i toczone kształty; miód ma natomiast stalszą naturę i spływ leniwszy, i ruch powolniejszy, ponieważ ściślej spaja się w sobie cały zasób materii, oczywiście z tego powodu, że nie składa się ani z tak gładkich ciałek, ani z tak drobnych i okrągłych. Niedostrzegalne na przykład i leciuchne tchnienie może ci łatwo okazały kopiec maku od góry rozsypać, żadną atoli miarą kopca z kamieni i zboża. A więc ciałka odznaczają się tym większą ruchliwością, im są mniejsze i gładsze: wszystkie natomiast, co okazują raczej większy

ciężar i chropowatość, są w miarę tego stalsze. Skoro zatem natura ducha okazała się osobliwie ruchliwa, to musi składać się z ciałek niezmiernie drobnych, gładkich i okrągłych. Znajomość tego odda ci, cny przyjacielu, w wielu wypadkach niejedną korzyść i dobrą usługę! Następująca jeszcze rzecz wskazuje, z jak delikatnej przędzy składa się jego natura i na jak małym miejscu mógłby się pomieścić w razie skupienia, a mianowicie: skoro człowieka dosięże spokój kojącej śmierci, a natura ducha i duszy precz ustąpi, żadnego wówczas ubytku nie dojrzysz w całej cielesnej postaci, żadnego uszczerbku w ciężarze. Śmierć zostawia wszystko prócz życiodajnego czucia i ciepła. Więc cała dusza musi być zadzierzgnięta z niesłychanie maleńkich zarodków po żyłach, mięsie, ścięgnach, skoro po jej ustąpieniu z całego ciała zewnętrzny zarys członków okazuje się nienaruszony i nic nie brakuje z ciężaru. Podobnie bukiet uleci z wina lub miły zapach z pachnidła rozprószy się w powietrzu, lub wreszcie smak z jakiegoś ciała ujdzie, a przecież rzecz sama zgoła oczom nie wydaje się mniejsza ani nic na ciężarze nie traci, oczywiście dlatego, że smaki i wonie wytwarzają w całym ciele rzeczy liczne i drobniutkie zarodki. Można więc przyjąć z największą pewnością, iż natura umysłu i duszy składa się z niezmiernie drobniutkich zarodków, ponieważ uchodząc nie unosi ni krzty ciężaru. (177–230)

Nie sądźmy jednak, jakoby owa natura była pojedyncza! Opuszcza bowiem umierających jakieś nikłe tchnienie, pomieszane z ciepłem, ciepło zaś ciągnie ze sobą powietrze. I nie ma żadnego ciepła bez przymieszki powietrza, rzadką ma bowiem naturę i dlatego musi w nim krążyć wiele powietrznych zarodków. Już więc potrójna okazała się natura ducha. Ale to wszystko jeszcze nie wystarcza,

by wytworzyć czucie, umysł bowiem żadnej z tych rzeczy, które ktoś uświadamia sobie w umyśle, nie przyznaje mocy, by wytwarzała ruchy czuciowe. A zatem trzeba jeszcze jakąś czwartą naturę dołączyć do tamtych. Ta w ogóle nie ma żadnej nazwy. A nie istnieje nic ruchliwszego, nic niklejszego od niej, nic, co by miało mniejsze i gładsze składniki. Ona pierwsza roznieca ruchy czuciowe po członkach. Z drobnych bowiem utworzona kształtów pierwsza do ruchu się budzi, a potem dopiero ruch przejmuje ciepło i niewidoczną moc tchnienia. Potem powietrze. Potem wszystko jest w ruchu. Krew doznaje wstrząsu, za czym po całym ciele rozchodzi się czucie, aż w końcu dochodzi do kości i szpiku, czy to jest rozkosz, czy też płomień bólu. I nie może aż tutaj ból dotrzeć bezkarnie ani ostry jad przesiąknąć, bo wszystko od razu popadnie w taki zamęt, iż miejsca zabraknie dla życia i cząstki duszy uciekną w popłochu wszystkimi szczelinami ciała. Najczęściej jednak ruchy kończą się jakby na powierzchni ciała i dlatego możemy życie zachować. (231–257)

A teraz, gdy chcę wytłumaczyć, w jaki sposób są one z sobą pomieszane i jak zespolone działają, udaremnia mą chęć ubóstwo mowy ojczystej. Ale i tak, ile zdołam dotknąć po wierzchu, dotknę tej sprawy. Oto zarodki skutkiem wzajemności ruchów tak pomiędzy sobą krążą, że nic nie może się wyszczególnić, żadna moc wyodrębnić przestrzennie, lecz stanowią jakby wiele sił jednego ciała. Tak na przykład w każdym bez wyjątku mięśniu każdego stworzenia jest zapach, jakaś barwa i smak, a przecież to wszystko razem składa się na jeden rozmiar cielesny. Tak ciepło, powietrze i niewidoczna moc tchnienia, zmieszane z sobą, tworzą jedną naturę wraz z ową ruchliwą siłą, która tamtym z siebie rozdziela zarzewie ruchu, i stąd dopiero rodzi

się czuciowy ruch po ciele. Albowiem ta natura przebywa na samym spodzie w najgłębszym ukryciu. Niczego już pod nią głębiej w naszym ciele nie ma i właściwie jest znowu całej duszy duszą. A jak na przykład kryje się pomieszana w naszych członkach i w całym ciele siła ducha i moc duszy, ponieważ tworzą ją drobne i nieliczne ciałka, tak ci się ukrywa ta bezimienna siła, urobiona z drobniutkich ciałek, i jest właściwie niby duszą całej znowu duszy i panią całego ciała. W podobny sposób musi polegać działalność tchnienia, powietrza i ciepła na pomieszaniu wzajemnym po członkach. Jedno musi znajdować się głębiej, a drugie górować nad innym, ażeby wszystko razem robiło wrażenie jakiejś całości i ażeby osobno ciepło i tchnienie, osobno zaś moc powietrza nie rozbiły i nie rozprzęgły czucia przez swój rozdział. Ma oto duch owo ciepło i robi zeń użytek, kiedy zakipi gniewem, a z oczu srożej łyska żar, ma także dużo zimnego tchnienia, co towarzyszy trwodze i ciało wstrząsa przejmującym dreszczem lęku, ma jeszcze i owo zrównoważone, spokojne powietrze, które zaznacza się piersią pełną pokoju i pogodą oblicza. Więcej znów ciepła mają ci, w których biją zapalczywe serca i których krewki umysł łatwo wybucha gniewem. Do tego rodzaju należą przede wszystkim sierdziste lwy, co tak często rozrywają pierś gwałtownym rykiem, nie mogąc w niej pomieścić rozszalałej burzy wściekłości. Atoli zimny umysł jeleni ma ogromną przewagę tchnienia, a zatem rychlej budzi w ciele mroźne wiewy, przyprawiające członki o drżenie. Wołów znowu natura żyje raczej spokojnym powietrzem. Nigdy jej zbytnio dymiąca żagiew gniewu nie przypala, omraczając mrokiem zaślepienia, nigdy też nie drętwieje, przeszyta mroźnym grotem strachu, lecz zajmuje pośrednie miejsce, pomiędzy jeleniami a srogimi lwami. Tak i ród

ludzki. A chociaż wykształcenie ogładzi pewnych ludzi jednako, to przecież pozostają owe zasadnicze ślady każdej natury duchowej. I nie należy sądzić, jakoby zło dało się wyrwać z korzeniem, żeby ten skorzej w gwałtowny gniew nie wpadał, a tamten nie ulegał coś prędzej obawie, ów zaś trzeci by nie brał niektórych rzeczy potulniej niż trzeba. I pod wielu jeszcze innymi względami muszą się różnić pomiędzy sobą rozmaite natury ludzi i wynikające z nich usposobienia, ale nie mogę teraz wyświetlać ich skrytych powodów ani też tylu wynaleźć imion, ile jest kształtów zaczątków, a na tym właśnie polega owa rozmaitość. Ale to, zdaje się, mogę tu twierdzić: tak nieznaczne są te ślady, które pozostają z natur i których rozum nie może z nas wywabić, iż nic nam nie wzbrania żyć życiem godnym bogów! (258–322)

Tę więc naturę dzierży w sobie całe ciało, ona zaś jest jego strażniczką i ostoją bytu. Tkwią bowiem w sobie wspólnymi korzeniami i jasną jest rzeczą, że nie można ich rozerwać bez zagłady. A jak na przykład trudno jest wyrwać zapach z gałek kadzidła nie niszcząc zarazem jego natury, tak niełatwo jest wydrzeć naturę ducha i duszy z całego ciała, nie rozprzęgając wszystkiego. Z tak zaplecionych zarodków powstają zaraz od początku, powstają z przeznaczeniem wspólnego udziału w żywocie. I nie może oczywiście osobno moc ducha, a osobno ciała czuć sama dla siebie bez siły drugiego, lecz owo zarzewie czuciowe rozdmuchują po naszym wnętrzu ich obopólne i obustronne ruchy. Ciało ponadto nigdy samo przez się nie rodzi się, nie rośnie, nie pozostaje też, jak widzimy, po śmierci. Albowiem nie tak, jak to często ciecz wodna, tracąc nabyte gorąco, żadnej stąd szkody sama nie ponosi, lecz pozostaje bez szwanku, nie tak, powiadam, mogą opuszczone członki przenieść rozdział z duszą, lecz giną w doszczętnej ruinie i gniją. Od począt-

ku istnienia, spoczywając jeszcze w ciele i w łonie matczynym, uczą się dusza i ciało we wzajemnym obcowaniu życiodajnych ruchów, tak iż rozłąka musi sprowadzić nieszczęście i zgubę. Widzisz więc, że ich natura musi być współdzielna, skoro ta wspólność wzajemna jest ostoją ich bytu. (323–349)

Co więcej: kto czucia ciału odmawia i wierzy, jakoby jedynie dusza, pomieszana w całym ciele, brała na się ów ruch, który nazywamy czuciem, ten walczy przeciw namacalnej rzeczywistości i prawdzie. Na cóż się bowiem ktoś powoła, objaśniając sprawę cielesnego czucia, jeśli nie na to, czego nas nauczyła sama rzecz swym oczywistym przykładem? „A jednak ciało, utraciwszy duszę, nie ma żadnego zgoła czucia". Tak, bo traci to, co nie było jego wyłączną własnością za życia, a nadto dusza, którą traci, zostaje wygnana z życia. (350–358)

Trudno też mówić, żeby oczy nie mogły widzieć żadnej rzeczy, lecz że duch patrzy przez nie, jak otwartą bramą, skoro ich czucie wiedzie w stronę wprost przeciwną. Czucie bowiem ciągnie i prze właśnie do źrenic. Błyszczących zwłaszcza przedmiotów nie możemy często widzieć wyraźnie, a to dlatego, że światło oślepia światło naszych oczu. Drzwi tego nie doznają. I nie podejmują zaiste otwarte wrota żadnego trudu, jako że tylko my sami patrzymy. Jeśli ponadto nasze oczy spełniają zadanie drzwi, to, zdaje się, duch po wyłupieniu oczu powinien by rzeczy widzieć wyraźniej – odrzwi się nawet wyzbywszy! (359–369)

I na to nie można się zgoła w tych rzeczach godzić, co zakłada czcigodna myśl wielkiego Demokryta[2], a mianowicie, jakoby poszczególne zarodki ciała i ducha, snując cielesną przędzę, przegradzały się po kolei. Albowiem zarodki duszy są nie tylko o wiele mniejsze od tych, z których składa się nasze ciało i mięśnie, ale ustępują im jeszcze co do liczby i z rzadka są jeno rozsiane po członkach. I można tylko tyle ręczyć, że zarodki duszy zachowują pomiędzy sobą tak wielkie odstępy, jak wielkie muszą być ciałka, by uderzywszy w nasze ciało mogły w nas wywołać czuciowe ruchy. Przecież często nie czujemy ni pyłu, jak czepia się ciała, ni kredy, jak prochem osiada na członkach, ni mgły po nocy. Nie czujemy przed sobą wątłych nici pająka, obierając je po drodze, ani że stara jego sukienka spadła na głowę, ani pierza ptaków, ani ulotnych puchów, co tak często spadają opornie z powodu nadmiernej lekkości. Nie czujemy wreszcie czołgań każdego stworzenia ni śladu, jaki na naszym ciele stawiają nóżki komarów i innych żyjątek. Aż tyle zaczątków trzeba w nas pobudzić, zanim ich wstrząśnienia odczują zarodki duszy, pomieszane po członkach z naszym ciałem w takich odstępach, iżby w nich mogły podczas swoich harców zbiegać się, stykać i odskakiwać od siebie wzajemnie. (370–395)

A u wrót życia duch mocniej straż trzyma i więcej ma nad nim władzy niż siła duszy. Albowiem bez ducha i umysłu nie może żadna cząstka duszy pozostać w członkach ni przez cząstkę chwili, lecz w jego ślady idzie bez oporu, niby towarzyszka, uchodzi na powietrzne wiewy i rzuca członki zastygłe lodowatej śmierci. Atoli zostaje przy życiu ten, komu duch i umysł pozostał. I choćby był tylko okaleczonym tułowiem z obciętymi dokoła członkami, choćby mu precz wzięto duszę z członkami dokoła, żyje jednakże i wdycha życiodajne eteryczne tchnienia. Jeżeli tylko nie całkiem, to mimo że wielką część duszy utracił, ociąga się

[2] *Demokryt z Abdery* (w Tracji), filozof grecki, żył w V i IV w. p.n.e.; p. Wstęp.

jeszcze i tkwi w życiu. Podobnie żywa jest wzrokowa siła, jeśli w okaleczonym dookoła oku pozostanie nietknięta źrenica, bylebyś tylko całej gałki ocznej nie zniszczył i naokoło źrenicy nie wyciął, i jej tylko samej nie pozostawił, to bowiem także sprowadzi zgubę, o ile da się wykonać. Jeżeli jednak ta środkowa, ta maleńka cząstka oka zastanie przeżarta, to natychmiast gaśnie światło i nadciągają ciemności, choćby nietknięty był zresztą lśniący okrąg. Takim układem związały się duch i dusza na zawsze z sobą. (396–416)

A teraz poczne ci – nuże – snuć pieśni godne twego życia, pieśni, których długo szukałem i które w słodkim wynalazłem trudzie, ażebyś poznał, że duchy i lekkie dusze stworzeń mają swe narodziny i skony! Ty postaraj się złączyć jedno i drugie pod jednym imieniem i, kiedy później będę na przykład dowodzić o śmiertelności duszy, wyobraź sobie, że mówię tak także o duchu, gdyż jest to jedność i rzecz wzajemnego związku. (417–424)

Przede wszystkim, skoro wykazałem, że w swej nikłości składa się ona z drobniutkich ciałek i że jest urobiona z daleko mniejszych zarodków niż przejrzysta ciecz wodna lub mgła albo dym – albowiem ogromnie góruje szybkością i rusza się za znacznie słabszym trąceniem, zwłaszcza kiedy się rusza trącona wizerunkami mgły i dymu, kiedy to na przykład pogrążeni w śnie widzimy ołtarze, ziejące słupem żaru i chmurą dymu, bo niechybnie od wizerunków pochodzą te nasze zwidzenia – to teraz, widząc, że z potłuczonych naczyń zewsząd płyn się rozlewa i ciecz wydobywa tudzież że mgła i dym uchodzi w powietrze, dajże wiarę, iż dusza rozwiewa się także, skoro raz z członków człowieka w dal uleci, oraz że wtedy daleko prędzej ginie i daleko rychlej rozprzęga się na pierwotne ciałka!

A zwłaszcza, skoro ciało, które jest jakby jej naczyniem, nie może duszy zadzierżyć, doznawszy z jakiegoś powodu stłuczenia i rozrzedzone upływem krwi z żył, to jakże można wierzyć, by ją zdołało zadzierżyć powietrze, które będąc rzadsze od ciała w nim się dzierży? (425–444)

Widzimy ponadto, iż umysł razem z ciałem się tworzy, razem rośnie i razem ulega starości. Albowiem u raczkujących dzieci słabemu i wątłemu ciału dotrzymuje kroku tak samo uboga myśl ducha. Potem, gdy wiek dojrzały mocy nabierze, większy jest także rozum i bardziej rozwinięta siła umysłu. Gdy wreszcie potężna moc czasu poszczerbi ciało i członki zwisną, straciwszy swą krzepkość, wtedy kuleją zdolności, język dziwaczy, umysł się słania, wszystko utyka i ustaje o tym samym czasie. Więc cała natura duszy musi się jak dym rozpraszać w górne powiewy powietrza, ponieważ widzimy, że dusza i ciało razem się tworzą, razem rosną i jednocześnie, jak powiedziałem, podupadają pod naciskiem wieku. (445–458)

Co więcej: widzimy, że jak ciało doznaje okropnych chorób i srogiego bólu, tak samo dusza podlega okrutnym strapieniom, smutkowi i trwodze. Musi więc, musi dzielić dolę śmierci! Oto nieraz podczas chorób ciała duch błądzi po bezdrożach, majaczy i gada od rzeczy, niekiedy zaś, w ślad za lecącą głową i lecącymi oczyma, zapada w ciężkim letargu w otchłań snu długiego jak wieczność. Stamtąd ni głosów dosłyszeć, ni twarzy znać nie może tych, co stoją dokoła, nawołują do życia i łzami skrapiają twarz i lica. Więc trzeba wyznać, że duch także ulega zagładzie, skoro doń przenika zaraza choroby. Albowiem ból i choroba pracują społem nad dziełem zniszczenia, jak to nas już przedtem dobrze pouczyła śmierć wielu ludzi. Dlaczegóż wreszcie, kiedy do człowieka wniknie upajająca moc wina

i kiedy żar się rozejdzie po żyłach, ogarnia członki ociężałość, zawodzą niezgrabne kolana, język kołczeje, umysł się mroczy, oczy ciekną, rośnie wrzask, szlochy, przekleństwa i wszelkie już w ogóle skutki tego rodzaju, dlaczegóż to wszystko zachodzi, jeśli nie z tego powodu, że gwałtowne działanie wina nawykło duszę, i to jeszcze w ciele, przyprawiać o zamęt? Wszystko jednak, co da się zmącić i zakłócić, daje tym samym do zrozumienia, że w razie nieco sroższego bodźca ulegnie zniszczeniu i utraci możność dalszego bytu. Oto często nagłą ktoś zmożon chorobą pada przed naszymi oczyma, jakby pod ciosem gromu. Pieni się, jęczy, drży na całym ciele, odchodzi od przytomności, pręży mięśnie, wykręca się, dyszy nierówno i członki zamęcza ciskaniem, oczywiście dlatego, że gwałtowna choroba, przyczyna zamętu, gna roztarganą po członkach duszę pieniącego się, jak to się pienią i kipią bałwany na słonej topieli pod naporem potężnych wichrów. Jęk się znowu wydziera, bo członki cierpią ból, oraz z tego w ogóle powodu, że zarodki głosu, wabione na zewnątrz, wylatują gromadnie przez usta, kędy mają zwyczajną niejako i zawarowaną drogę. Utratę przytomności powoduje zamęt, jakiemu ulega siła ducha i duszy, która wskutek tego samego jadu doznaje, jak powiedziałem, rozdarcia i, rozdzielona, osobno się miota. Następnie, skoro przyczyna choroby już nazad zawróci i złośliwa śluza zepsutego ciała powraca do swoich kryjówek, wówczas dopiero wstaje chory, jakby się słaniał, powoli odzyskuje wszystkie zmysły i z powrotem chwyta duszę. Skora więc duch i dusza, będąc jeszcze w ciele, stają się łupem tak groźnych chorób i doznawszy rozdarcia cierpią tak okrutnie, to dlaczego wierzysz, jakoby bez ciała mogły żyć na otwartym powietrzu z gwałtownymi wichrami pospołu? I skoro widzimy na własne oczy, że umysł daje

się leczyć tak jak chore ciało, i że lekarstwo może w nim sprowadzić zmianę, to i to także wróży śmiertelny żywot umysłu. Ktokolwiek bowiem zamierza i próbuje zmieniać ducha albo też jakąś inną naturę stara się przekształcić, ten musi albo dodać pewne cząstki, albo przestawić ich porządek, albo też ująć coś niecoś z całości. Lecz to, co jest nieśmiertelne, nie daje sobie ni cząstek przestawiać, ani przydawać, ani niczego nie roni. Cokolwiek bowiem, uległszy przemianie, ze swych wychodzi granic, zaraz to znaczy się śmiercią tego, co istniało przedtem. Więc duch, czy to choruje, czy to skutkiem lekarstwa doznaje przemiany, zdradza, jak wyłożyłem, swoją śmiertelność. Aż do tego stopnia zabiega, widzimy, prawda kłamstwu drogę, uciekającemu odcina odwrót i zwalczywszy je z obu stron wykazuje kłamstwu, że jest kłamstwem. (459–525)

Nieraz w końcu widzimy, jak człowiek gaśnie powoli, jak członek za członkiem traci żywotne czucie. Najpierw sinieją na stopach palce i paznokcie, potem zamierają stopy i golenie, a potem przenoszą się z wolna ślady zimnej śmierci na inne członki. Więc skoro ta natura daje się precz od ducha rwać po kawałku, a nie ulatuje od razu do czysta, to trzeba ją uważać za śmiertelną. A jeśli myślisz przypadkiem, że to ona sama może ściągać się po członkach do wnętrza i gromadzić swe cząstki na jedno miejsce i dlatego ze wszystkich członków wyciągać czucie, to przecież owo miejsce, gdzie się skupia taka obfitość duszy, powinno wykazywać czucie silniejsze. Ponieważ jednak nigdzie go nie ma, to oczywiście dusza, jak rzekliśmy przedtem, rozdarta na strzępy, precz się rozprasza, a zatem ginie. I choćby nawet była już ochota zgodzić się na nieprawdę i przyjąć, jakoby dusza mogła się skupiać w ciele tych, co tracą światło w powolnym konaniu, to i tak trzeba ją uznać

za śmiertelną, ponieważ zgoła nie czyni różnicy, czy dusza ginie, rozprószywszy się po powiewach powietrza, czy też kamienieje bez czucia wskutek zduszenia swych cząstek, skoro z całego człowieka coraz więcej czucia uchodzi i wszędzie coraz mniej i mniej pozostaje życia. (526–547)

I ponieważ umysł jest jedną z części człowieka, która na swoim miejscu tkwi tak samo silnie, jak uszy i oczy, i wszystkie inne zmysły kierujące życiem, to tak jak ręka i oko, i nos, i nozdrza nie mogą czuć bez nas ni istnieć osobno, lecz po niedługim czasie psują się i gniją, tak duch nie może istnieć sam przez się bez ciała i bez człowieka, co jest właśnie jego niejako naczyniem lub czym tylko zechcesz, bylebyś wymyślił coś jeszcze bliższego, albowiem ciało pozostaje z duchem w najściślejszym związku. (548–557)

Żywotną moc wreszcie i użycie życia daje duchowi i ciału wzajemna ich spójnia. Nie może bowiem ni natura ducha sama przez się wykonywać życiodajnych ruchów, ni też ciało, pozbawione duszy, trwać i zmysłów używać. I jak nie może oddzielnie od całego ciała samo oko rozeznać żadnej rzeczy, oko oderwane od swoich korzeni, tak samo jasną jest rzeczą, że duch i dusza nic same przez się nie mogą. Oczywiście! Albowiem całość cielesna trzyma w karbach po żyłach i mięśniach, po kościach i ścięgnach pomieszane zarodki, tak iż nie mogą swobodnie odskakiwać od siebie w wielkich odstępach, a więc w zamknięciu wykonują czuciowe ruchy, których to ruchów z powodu braku podobnych karbów nie mogą wykonywać poza ciałem, wygnane na powiewy powietrza po śmierci. Przecież ciałem i żywą istotą byłoby powietrze, gdyby potrafiło duszę w sobie uwięzić i do tych ruchów więzieniem zniewolić, jakie przedtem wykonywała w ścięgnach i w ogóle

w ciele. Więc koniecznie musisz przyznać, że po rozbiciu całej powłoki cielesnej i po wygnaniu życiodajnych tchów na zewnątrz zmysłowe czucie ducha i dusza doznają zagłady, ponieważ ostoją tak ciała, jak duszy jest ich spójnia. (558–579)

Gdy wreszcie ciało nie może przenieść rozłąki z duszą, lecz gnije i cuchnie szkaradnie, to jakże wątpić, iż siła duszy, zerwawszy się z najgłębszych zakątków, uleci i rozprószy się jako ten dym i że strupieszałe ciało dlatego legło w takich gruzach i takiej doznało przemiany, ponieważ runęły posady, gdy dusza torowała sobie drogę na zewnątrz przez członki, poprzez wszelkie kręte przewody i otwory w ciele. Tak można poznać, że rozdzielona na wiele sposobów po członkach natura duszy wyszła i że zanim się wydobyła i wypłynęła na powietrzne wiewy, doznała jeszcze w ciele rozdarcia. Oto często w naszych oczach dusza, przebywając jeszcze w granicach żywota, gdy dozna wstrząśnienia z jakowejś przyczyny, rusza w drogę. Za czym z ciała zwisają członki, wiotkie członki opadają z bezkrwistego ciała, a lica mdleją, jakby w chwili zgonu. Jest tak na przykład, kiedy mówimy, że komuś zrobiło się słabo albo że stracił przytomność, kiedy już zamęt powstaje i wszyscy mają to jedno pragnienie, żeby chwycić za ostatnie ogniwo uciekającego życia. Wtedy mianowicie umysł i cała moc duszy ulega wstrząśnieniu i wali się razem z ciałem. Rozerwaniem tedy grozi nieco sroższa przyczyna. Czegoż więc jeszcze wątpisz? Z pewnością ta dusza, precz wygnana z ciała, bezradna w przestworzach, bez swojej powłoki, nie tylko że trwać nie może przez całe wieki, lecz nawet przez najmniejszą chwilę nie potrafi istnieć. I nikt zaiste umierając nie ma tego wrażenia, ażeby dusza wychodziła z całego ciała nienaruszona ani żeby mu pierwej do krtani

i gardła w górę wyłaziła, lecz że ginie na swojej placówce, tak jak ma świadomość zamierania innych zmysłów, każdego na swoim miejscu. I gdyby zaiste nasz umysł był nieśmiertelny, to konając nie jęczałby tyle nad swoją zagładą, lecz raczej szedłby na zewnątrz i rzucał swą skórę na podobieństwo węża. (580–614)

Dlaczegoż wreszcie umysł i rozum ducha nigdy nie rodzi się w głowie lub w nogach, lub w rękach, lecz u wszystkich tkwi w tych samych siedzibach i ściśle oznaczonych okolicach, jeśli nie z tego powodu, że wszystko ma swoje oznaczone miejsca, gdzie może powstawać i trwać po powstaniu, tudzież że tak jest na wiele sposobów porozdzielane na członki, iż ich porządek nie odwraca się nigdy. Aż do tego stopnia idzie rzecz za rzeczą i ani płomień nie ma zwyczaju z rzek wybuchać, ani też w ogniu mróz się rodzić. (615–623)

Jeśli zresztą natura duszy jest nieśmiertelna i jeśli oddzielona od naszego ciała może czucie zachować, to pięcioma zmysłami, śmiem przypuszczać, trzeba ją wyposażyć. I nie możemy sobie w inny sposób wyobrazić dusz, błądzących w krainie żałości. Więc też malarze i piewcy zamierzchłych pokoleń przedstawiali dusze wyposażone zmysłami. Lecz ani sama dusza nie może być oczyma, ani nozdrzami, ani ręką, ani też znowu bez duszy nie może być języka, ni uszy nie mogą same przez się czuć tego, co posłyszą, ni istnieć. (624–633)

Skoro tedy czujemy, że żywotne czucie przenika całe ciało, i skoro widzimy, że dusza ożywia całe ciało, to niewątpliwie, jeśli jakaś siła tnie nagle szybkim ciosem przez środek i jedną część odłączy od drugiej, razem z ciałem rozpadnie się także rozdzielona i rozcięta siła duszy. Co jednak daje się rozrywać i dzielić na części, zaprzecza oczywiście,

jakoby miało niezniszczalną naturę. Opowiadają o wozach zbrojnych w kosy, że w zapale ślepej rzezi często tak sprawnie odcinają członki, iż widać, jak dygota na ziemi to, co z nich spadło ucięte. Równocześnie zaś umysł i moc człowieka nie może nawet odczuć bólu skutkiem nagłości nieszczęścia oraz dlatego, iż umysłem owładnął szał bojowy. Więc ów resztkami ciała rwie się do walki i rzezi i często sprawy sobie nie zdaje, że zgubioną lewicę razem z puklerzem uniosły koła i łapczywe kosy pod końskie kopyta, a drugi znowu, że prawicę uronił, gdy wspina się i naciera. Inny z kolei usiłuje stanąć na straconej nodze, a ona tymczasem obok na ziemi przebiera palcami i kona. Także z ciepłego i żywego tułowia ścięta głowa zachowuje swój wygląd żywotny na pobojowisku i wytrzeszcza oczy, póki nie odda wszystkich resztek duszy. Co więcej: gdy język śmiga, gdy się groźnie pręży ogon i smukłe cielsko węża, niechże ci przyjdzie ochota, by jedno i drugie rozsiekać żelazem na wiele części, a zobaczysz, że wszystkie już odrąbane kawałki wiją się od świeżej rany i posoką skrapiają ziemię, przednia zaś część sama chce się pyskiem w tyle chwycić, by piekącym ukąszeniem zagryźć dotkliwy ból z rany. Czyż więc powiemy, że w tych wszystkich kawałkach znajdują się całe dusze? Lecz w takim razie nie jedną duszę musiałoby posiadać w ciele jedno stworzenie. A zatem ta dusza, co była jedna, doznała podziału razem z ciałem. Przeto jedno i drugie trzeba uważać za śmiertelne, ponieważ dają się pociąć na wiele części jednako. (634–669)

Jeśli ponadto natura duszy jest nieśmiertelna i wstępuje do naszego ciała w chwili narodzin, to dlaczego nie możemy sięgnąć pamięcią do ubiegłego bytu i nie zachowujemy żadnych wspomnień z dokonanych czynów? Jeśli bo-

wiem tak wielkiej przemianie ulega moc duszy, iż zatraciła wszelką pamięć o spełnionych czynach, to śmiem przypuszczać, iż stąd jej już niezbyt daleko do śmierci. Zatem wyznać trzeba, że ta, co była przedtem, zginęła, a ta, co jest teraz, teraz się zrodziła. (670–678)

Jeśli ponadto żywotna moc duszy nawykła wchodzić do gotowego już ciała wówczas, gdy się rodzimy i przestępujemy próg życia, to w takim razie musiałaby żyć sama dla siebie samotnie jakby w jaskini, a nie robić tego wrażenia, że zrosła się aż do krwi razem z ciałem i z członkami. Musi jednak być tak, aby całe ciało falowało czuciem. Przeto na żaden sposób nie da się pomyśleć, żeby dusze nie miały swoich narodzin i żeby były wolne od wyroku śmierci. Albowiem nie mogłyby z pewnością ani tak ściśle z naszymi ciałami się spajać, gdyby z zewnątrz wnikały – temu zaś wręcz zaprzecza rzecz namacalna, albowiem dusza tak jest spojona po żyłach, mięśniach, ścięgnach i kościach, iż nawet zęby mają swoje czucie, jak tego dowodzi ich choroba i bolesne strzykanie z powodu zimnej wody i twardy kamyk, jeśli go nagle w chlebie nagryzą – ani też oczywiście, wobec tak ścisłego związku, nie mogą wyjść nienaruszone i wydostać się cało ze wszystkich ścięgien, kości i kosteczek. A jeśli może sądzisz, że dusza, żeby dostać się z zewnątrz, nawykła do nas przesiąkać przez członki, to tymże więcej musi się rozprószyć i ginąć razem z ciałem. Dzieli się bowiem, skoro przesiąka, więc ginie, bo przecież rozdziela się po wszystkich szczelinach ciała. I jak pokarm, rozpuszczając się po ciele i po wszystkich członkach, ginie i inną naturę z siebie wytwarza, tak duch i dusza, choćby w największej świeżości szły w świeże ciało, dzielą się jednak podczas przesiąkania, kiedy to jakby przez sito szczelin rozchodzą się po wszystkich członkach owe

cząsteczki, tworzące naturę tej duszy, która obecnie włada w naszym ciele, zrodziwszy się z tamtej, co wówczas, rozdzieliwszy się po członkach, uległa zniszczeniu. Widoczną więc jest rzeczą, że natura duszy nie jest pozbawiona ni dnia narodzin, ni swego pogrzebu. (679–712)

A zresztą – zostają w umarłym ciele zarodki duszy czy nie? Bo jeśli tam są i zostają, to chyba nie będzie można jej słusznie uważać za nieśmiertelną, gdyż odeszła z uszczerbkiem uronionych cząstek. Jeśli zaś tak się z członków wyzuła do czysta i pierzchła, iż żadnych z siebie cząstek w ciele nie pozostawiła, to skądże trupy, gdy już cuchnie ciało, wydają tyle robaków i skąd się rozlewa po rozdętych członkach ten rój bezkrwistych i bezkostnych stworzeń? A choćbyś nawet wierzył święcie, że dusze mogą włazić z zewnątrz do robaków i wchodzić do ciał po jednej, a nad tym się nie zastanawiał, dlaczego dusz tyle tysięcy ma się gromadzić tam, skąd jedna odeszła, to w każdym razie o to należy, zdaje się, zapytać i sprawę rozstrzygnąć, a mianowicie, czy polują dusze na każdy zarodek robaków i same sobie budują te mieszkania, czy też wchodzą jakby do ciał już gotowych. Nie da się jednak powiedzieć, dlaczego by miały same budować i ponosić trudy. Przecież nie mając ciała, nie latają w udręce chorób, zimna i głodu, bo z tymi cierpieniami sąsiaduje bliżej ułomne ciało, duch zaś z jego dopiero winy ponosi wiele udręczeń. Lecz dobrze! Niechże największe korzyści rokuje im budowa ciała, skoro podstawiają grzbiety, lecz – jak potrafią, nie widać sposobu! A więc nie budują sobie dusze ni ciał, ni członków. Nie mogą jednak także do gotowych ciał wstępować, albowiem nie mogłyby tak doskonałej spójni osiągnąć i nie byłoby tej wzajemności czucia. (713–740)

Dlaczego wreszcie gwałtowna wściekłość kroczy za

srogim szczepem lwów, za lisami chytrość, a jeleniom rodziciele przekazują skłonność do uciekania i rodzicielskie tchórzostwo nogi im uskrzydla, dlaczego wszystkie inne podobne znamiona gatunku tkwią od zarania życia w członkach i usposobieniu, jeśli nie z tego powodu, że siła ducha, uwarowana swoim zarodkiem i szczepem, rośnie pospołu z każdym ciałem? Gdyby bowiem była nieśmiertelna i miała zwyczaj zmieniać ciała, to stworzenia miałyby pstre obyczaje. Często zmykałby pies hyrkańskiej[3] rasy przed natarciem rogatego jelenia, w powiewach powietrza drżałby uciekający przed pościgiem gołębia jastrząb, a ludzie byliby obrani z rozumu, rozumne zaś pokolenia dzikich zwierząt. Błędne jest bowiem owo twierdzenie niektórych, jakoby nieśmiertelna dusza ulegała zmianie skutkiem zmiany ciała. Dzieli się bowiem, skoro doznaje przemiany, więc ginie, bo przecież cząstki zmieniają swe miejsca i wychodzą ze swego porządku. Dlatego ową możność rozdzielania się po członkach okupują także tym, iż w końcu muszą wszystkie ginąć razem z ciałem. Jeżeli zaś powiedzą, że dusze ludzkie wchodzą zawsze w ludzkie ciała, to i tak zapytam: dlaczego z mądrej może stać się głupia, dlaczego żaden dzieciak nie jest rozumny, dlaczego źrebię przy klaczy nie jest tak uczone jak dzielny, ścigły rumak? Oczywiście, użyją tego wybiegu, że w słabym ciele słaby umysł. Jeśli już jednak tak jest, to wyznać należy, że dusza jest śmiertelna, skoro w członkach zmienia się do tego stopnia,

[3] *Psy z Hyrkanii* (kraj na wschód i południe od Morza Kaspijskiego) były bardzo cenione z powodu swej siły, odwagi i wierności. Lukrecjusz zwalcza orficką i pitagorejską, a także platońską naukę o przechodzeniu nieśmiertelnych dusz ludzkich w śmiertelne ciała nie tylko ludzi, ale także zwierząt (i roślin), czyli tzw. palingenezę, metensomatozę lub metempsychozę.

iż traci zarazem swój żywot poprzedni i czucie. Lub jakim sposobem równo z każdym ciałem mogłaby moc ducha, zyskawszy na sile, osiągnąć upragniony kwiat żywota, gdyby zaraz od początku istnienia nie miała wspólnej z nim doli? Lub po cóż chce na dwór wychodzić ze zgrzybiałych członków? Zali się boi pozostać pod kluczem w strupieszałym ciele, żeby się nie zapadło stare, wiekiem nadwerężone mieszkanie? Atoli nieśmiertelnej żadne nie grożą niebezpieczeństwa! (741–775)

Śmieszne się wreszcie wydaje, by dusze były na zawołanie przy igrach Wenery i pomiotach dzikich zwierząt, żeby w niezliczonej liczbie, one nieśmiertelne, wyczekiwały na śmiertelne członki i na wyścigi goniły się wzajemnie, która też pierwsza i najgodniejsza wsunie się do środka. Chyba że może taki układ stanął pomiędzy duszami, iż ta, co pierwsza nadfrunie, wchodzi pierwsza i nie ma zgoła między nimi żadnej bijatyki. (776–783)

Ni drzewo wreszcie w eterze, ni chmury w głębi morza istnieć nie mogą, ni ryby żyć na polach, ni krew znajdować się w drewnie, ni sok w głazach. Jest rzeczą pewną i ustanowioną, gdzie wszystko ma róść i być. Tak samo nie może bez ciała natura ducha powstawać samotnie ni zbyt się oddalać od ścięgien i krwi. Gdyby bowiem miała tę możność, to daleko prędzej mogłaby moc ducha być jako taka w głowie albo w barkach lub w piętach na spodzie, albo się rodzić w jakiejkolwiek części ciała, a wreszcie zostawać w tym samym człowieku i w tym samym naczyniu. Skoro jednak najwidoczniej w naszym także ciele jest pewne i ustanowione, gdzie ma wyłącznie być i róść dusza i duch, to tym więcej należy zwalczać tę niedorzeczność, by mogły trwać i powstawać zgoła poza ciałem. Przeto wyznać trzeba, że po zgonie ciała dusza rozszarpana w ca-

łym ciele ponosi śmierć. Zwłaszcza że przecież szaleństwem jest łączyć wieczne ze znikomym i myśleć, że mogą czuć społem i wspólnej doli wzajemnie zażywać. Jakaż myśl bowiem może być w sobie sprzeczniejsza lub mniej mieć łączności wewnętrznej i zgody, jak żeby to, co jest śmiertelne, złączywszy się z nieśmiertelnym i wiecznym, padało w tym związku ofiarą okrutnych zaburzeń? Cokolwiek zresztą trwa wiecznie, musi albo dzięki swemu nieprzenikliwemu ciału odtrącać uderzenia i niczego nie puszczać do środka, co by mogło rozerwać ścisłą wewnętrzną spójnię cząstek, jak to są ciałka materii, których naturę przedtem wyjaśniliśmy, albo też dlatego może trwać po wsze czasy, iż nie jest narażane na uderzenia, jak to próżnia zostaje nietknięta i zgoła nie cierpi od ciosów, albo w końcu dlatego, iż na ogół nie ma żadnego miejsca, dokąd mogłyby niejako rzeczy ujść i ulec rozprószeniu, jak to wieczna jest całość wszystkiego i nie ma poza nią żadnego miejsca do ucieczki ni żadnych ciałek, co by swym natarciem i potężnym uderzeniem mogły sprowadzić rozbicie. Bo jeśli może duszę raczej dlatego należy uważać za nieśmiertelną, iż od takich rzeczy mocno jest uwarowana, ponieważ albo żadne w ogóle niebezpieczeństwa na jej byt nie godzą, albo godzą wprawdzie, ale z jakowejś przyczyny ustępują w popłochu, zanim zdołamy uczuć ich szkodliwość, to przecież oprócz tego, że choruje podczas chorób ciała, często trawi ją jeszcze, trapi i troskami gniecie obawa o przyszłość tudzież gryzą wyrzuty sumienia za winy przeszłości. Dorzuć właściwe duchowi szaleństwo i zanik pamięci, dorzuć, że tonie w czarnych odmętach letargu! (784–829)

Nic zatem śmierci do nas! Żadnej nie ma mocy, bo śmiertelna jest natura ducha. I jak w minionych czasach

żadnej nie czuliśmy trwogi, gdy Punijczycy[4] zewsząd szli do boju, gdy pod wyniosłym stropem eteru wszystko zadrżało dreszczem lęku i popadło w zamęt bitewnego zgiełku, gdy ważyły się losy, pod czyje królowanie ma wpaść wszystko, co ludzkie, na lądzie i morzu, tak oczywiście wówczas, gdy już nie będziemy, gdy nastąpi rozdział ciała i duszy, z których jesteśmy złożoną całością, nic nam w ogóle wtedy, gdy już nie będziemy, nie będzie mogło się wydarzyć ni czucia obudzić, choćby się i ziemia skłębiła z morzem, a morze z niebem! A jeśli nawet wydarta z naszego ciała natura ducha i moc duszy zachowuje czucie, to i tak nic śmierci do nas, co jesteśmy całością, utworzoną przez ślubny związek ciała i duszy. I choćby naszą materię zebrał czas po zgonie i znowu tak samo jak teraz ułożył i gdyby nam po raz wtóry było dane światło życia, to nawet i to nie miałoby dla nas żadnego znaczenia, skoro raz się przerwała nić naszego bytu. Przecież nic nas teraz nie obchodzimy my sami, kim przedtem byliśmy, ni żaden strach nas nie dławi o tamtych. A spoglądając zaiste na cały ogrom ubiegłego czasu tudzież na niezmierną rozmaitość w ruchach materii, łatwo w to także uwierzyć, że te same zarodki, z których my teraz jesteśmy, były często już przedtem ułożone w tym samym porządku, co teraz. Wszelako nie możemy tego pamięcią dosięgnąć, ponieważ w pośrodku padła przerwa życia, a wszystkie ruchy rozbiegły się obłędnie na wszystkie strony precz od zmysłów. I jeśli przyszłość ma być nędzna i przykra, to musi zaiste być także ten podówczas, kogo to zło ma spotkać. Ponieważ zaś śmierć do tego nie dopuszcza i ową ofiarę przyszłych niepowodzeń

[4] Lukrecjusz ma na myśli drugą wojnę Rzymian z Kartagińczykami (218–201 p.n.e.), kiedy Hannibal wkroczył do Italii.

pozbawia bytu, to jasną jest rzeczą, że nie mamy czego bać się zgonu, że nie może być nieszczęśliwy ten, kogo nie ma, i że zgoła nie stanowi żadnej różnicy, czy się kiedykolwiek był narodził, gdy śmiertelne życie zabierze śmierć nieśmiertelna. (830–869)

Widząc przeto człowieka, jak się na swój los oburza, iż po śmierci albo gnić będzie, gdy go pochowają, albo zginie w płomieniach lub pod kłami dzikich zwierząt, to mimo najuroczystszych zaklęć z jego strony, iż nie wierzy, jakoby miało mu pozostać jakiekolwiek czucie po śmierci, nietrudno zrozumieć, że to brzmi nieszczerze i że w sercu bruździ jakiś cierń ukryty. Nie daje bowiem, myślę, tego, co obiecuje i skąd obiecuje, ani też z życia doszczętnie się nie wyrywa i nie wyplenia, lecz nie zdając sobie sprawy pozostawia po sobie jakąś resztkę samego siebie. Bo gdy za życia ktoś sobie wystawia, że ciało po śmierci będą szarpać ptaki i dzikie zwierzęta, to sam się nad sobą lituje. Nie odłącza bowiem siebie od tamtego i nie oddala się dostatecznie od zwłok porzuconych, lecz wyobraża sobie, że jest tamtym, staje nad nim i wpiera weń swe czucie. Stąd oburzenie, że się śmiertelny urodził. Nie widzi zaś, że w razie rzeczywistej śmierci nie będzie żadnego sobowtóra, co by mógł żyć i płakać nad swym własnym zgonem i stając nad sobą boleć, że go leżącego szarpią na strzępy lub palą. Jeśli jest bowiem nieszczęściem zakosztować po śmierci paszczy i kłów dzikich zwierząt, to nie rozumiem, dlaczego nie jest srogą rzeczą leżeć na gorącym ogniu i smażyć się w płomieniach lub dusić się w miodzie[5], lub drętwieć od

[5] Starożytni przechowywali dość często zwłoki zmarłych (np. Aleksandra Wielkiego) w miodzie (i wosku), ażeby je zabezpieczyć od zepsucia. Taki sposób przechowywania zmarłych zalecał pono Demokryt.

zimna spoczywając na mroźnej powierzchni kamienia, lub czuć na sobie miażdżący ciężar nawalonej ziemi. (870–893)

„Nigdy już, nigdy dom radosny cię nie powita ni pełna cnót małżonka, ni słodkie dziatki nie będą naprzeciw wybiegać po pierwsze pocałunki, ni serca napawać cichą słodyczą. Nie będziesz mógł zbierać owoców ze swych czynów i być puklerzem dla swoich. Nędznie ci nędznemu" – powiadają – „tyle uciech życia doszczętnie zrabował jeden dzień nieszczęśliwy". Tego zaś tu nie dorzucą: „Ale tobie nie dokucza żadna już więcej tęsknota za tymi rzeczami!" Jeśliby jednak dobrze to sobie uprzytomnili w myśli i wyrazili w słowach, to zbyliby się z serca wielkiego niepokoju i strachu. „Ty przynajmniej, jak cię śmierć uśpiła, tak po wszystkie czasy będziesz wolen od wszelkich cierpień i boleści. Atoli myśmy morze łez wylali przy twoich popiołach na okropnych zgliszczach i żaden dzień nie zdejmie nam z serca wieczystej żałoby!" Tego więc znowu należy zapytać, jakaż w tym gorycz tak straszna i dlaczego ktoś miałby trawić życie w wiecznym smutku, jeśli wszystko kończy się na śnie, na spokoju! (894–911)

Często także lubią ludzie, rozłożywszy się przy stole, z pucharami w dłoni, z cieniem wieńców na licach, mówić z serca te słowa: „Krótko trwa radość człowieka na ziemi; za chwilę przeminie i nigdy już potem nie będzie jej można z powrotem przywołać". Tak jakby to było ich męką największą po śmierci, że suche pragnienie pali i piecze biedaków albo że im doskwierać będzie brak jakiejś innej rzeczy! Lecz nikt zaprawdę ni siebie, ni życia nie pożąda wówczas, gdy ciało i umysł zażywają społem błogiego spoczynku, bo co do nas, to ten sen mógłby tak trwać wiecznie i żadna nas za nami nie dręczy tęsknota. A przecież wówczas z pewnością nie błądzą owe zarodki daleko od

czuciowych ruchów po naszych członkach, skoro człowiek zrywa się ze snu i wraca do siebie. Sądzić więc należy, że śmierć o wiele mniej jeszcze ma dla nas znaczenia, jeśli mniej go może mieć od tego, co swoją nicością bije w oczy. Śmierć bowiem powoduje większą rozsypkę i zamęt materii i nikt się już więcej nie zrywa na nogi, kogo raz pochłonęła mroźna przerwa życia. (912–930)

Gdyby tak wreszcie natura w swej własnej osobie nagle dobyła głosu i kogoś spomiędzy nas tak za to wyłajała: „Na czymże ci, śmiertelniku, tak wielce zależy, iż zbyt popuszczasz wodze rozpaczliwym żalom? Czegoż to jęczysz nad swoją śmiercią i szlochasz? Wszak jeśli miłe było ci życie spędzone dotychczas i jeśli wszystkie jego dary nie przeciekły i nie poszły na marne, jak by były nagromadzone w dziurawym naczyniu, to czemuż nie odchodzisz jak syty życia biesiadnik, czemuż nie idziesz spokojnie, o głupcze, na błogi spoczynek? Jeśli zaś wszystko, czego użyłeś, sczezło daremnie i życie ci zbrzydło, to dlaczego chcesz jeszcze jakiegoś dodatku, co by znowu miał nędznie przepaść i zmarnieć niewdzięcznie, nie kończysz zaś raczej z życiem i jego mozołem? I nie ma zresztą żadnej iście rzeczy, którą bym mogła wymyślić i wynaleźć po twojej woli: wszystko jest zawsze to samo! Wprawdzie ci jeszcze wiek ciała nie stoczył i nie zwiędły członki! Wszelako wszystko tym samym zostaje, choćbyś długością życia miał zwyciężyć wszystkie pokolenia lub choćbyś nawet nigdy nie miał umrzeć!" (931–949)

Cóż odpowiemy? Chyba że natura słuszny spór wytacza i że prawdę głosi w swych słowach. Gdyby zaś kwilił ktoś starszy, bardziej posunięty w leciech, i nad swą śmiercią zawodził, biedaczysko, więcej, niż przystoi, zaliżby niesłusznie głośniej krzyknęła i ostrzej skarciła: „Precz stąd

ze łzami, wywłoko! Pohamuj swe jęki! Zażyłeś wszelkich uciech żywota, spróchnieć przyszło! Lecz że zawsze pragniesz, czego nie ma, gardzisz daną chwilą, wymknęło ci się zmarnowane i jałowe życie, a śmierć niespodzianie stanęła nad karkiem, zanimbyś syt i pełen mógł odejść ze świata. Teraz jednak rzuć wszystko, co nie licuje z twym wiekiem, i spokojnie zgódź się już, nuże, z losem starości! Taki mus!" Słusznej, mym zdaniem, broniłaby sprawy, słusznie by karciła i łajała, albowiem stęchła starzyzna zawsze ustępuje miejsca zwycięskiej nowości i musi się kosztem innych rzeczy tworzyć inna rzecz na świeżo. Nikogo nie strąca się do otchłani ni do czarnego piekła: potrzeba tworzywa, by rosły późniejsze pokolenia, a i one wszystkie podążą w twe ślady, dopełniwszy życia. Tak samo więc przedtem padały, jak ty, i padać będą. Tak nigdy jedno z drugiego nie zaprzestanie się rodzić, życia zaś nikt nie dostaje na własność, lecz wszyscy w dzierżawę. Spojrzyj również, jak nam była obca zgrzybiała przeszłość odwiecznego czasu aż do dnia narodzin! Takie to zwierciadło naszej pośmiertnej przyszłości stawia przed nami natura. Czy jawi się tam co okropnego, czy widać co smutnego, czyż nie ma tam więcej błogiego spokoju niż we śnie wszelakim? (950–977)

A wszystko to oczywiście, co ma być w głębi krainy żałości, my mamy w życiu. Nie nieszczęśliwy Tantal[6] lęka

[6] *Tantal* i *Syzyf* (p.n.) byli mitologicznymi królami. Pierwszy miał zabić swego syna (Pelopsa) i zaprosić bogów na ucztę z jego ciała, ażeby się przekonać, czy bogowie są rzeczywiście wszechwiedzący (są jeszcze inne podania o winie Tantala). Drugi starał się nie tylko dorównać, ale nawet przewyższyć bogów rozumem i nieraz zdołał ich przechytrzyć. Obydwaj zostali skazani na wieczne męki w krainie żałości, czyli w krainie zmarłych. Tantal widzi blisko siebie wodę i pokarm, ale nie

się skały, wiszącej w powietrzu, jak to głosi wieść, nie on drętwieje w urojonej trwodze, lecz śmiertelnych raczej przygniata za życia czczy strach przed bogami i oto boją się upadku, jakim każdemu grozi ślepy los. I nie w Tityosa[7], powalonego w krainie żałości, wżerają się ptaki! Z pewnością nie mogą mieć wiecznie czegoś do szarpania pod olbrzymią piersią, bo choćby nie wiedzieć jak wielkim ogromem ciała przerażał i swymi rozciągniętymi członkami zajmował nie tylko dziewięć morgów, lecz cały obszar ziemi, to i tak nie mógłby znosić wiecznego bólu ni ciągle dostarczać żeru ze swojego ciała. Lecz tu pośród nas jest Tityosem, kogo powaliła miłość! Jego szarpią sępy, wyjada trwożny niepokój lub rozdrapują troski jakąś inną żądzą. Syzyf staje nam w życiu także przed oczyma, a mianowicie, gdy kto z całej duszy pragnie uzyskać od ludu rózgi i srogie topory, a ciągle zawiedziony i smutny odchodzi. Dążyć bowiem do władzy, co jest złudną marą i nigdy nie daje się posiąść, tudzież z tego powodu ustawicznie znosić twarde znoje, oto co znaczy pchać z wysiłkiem kamień pod górę, który z samego już szczytu nazad się stacza i rwie w rozpędzie na płaskie pola niziny. Następnie: paść ciągle niewdzięczną naturę ducha, a nie móc jej ni-

może zaspokoić ani głodu, ani pragnienia, bądź z powodu trwogi przed skałą, która nad nim wisi i grozi mu zmiażdżeniem (wersja obrana przez Lukrecjusza), bądź też dlatego, że woda i pokarm uciekają przed nim, ilekroć próbuje ich dosięgnąć (wersja Homera); Syzyf znowu musi wciąż toczyć na próżno swój kamień pod górę, jak opowiada Lukrecjusz zgodnie z Homerem (p.n.).

[7] *Tityos*, olbrzymi syn bogini Gai (Ziemi), dopuścił się gwałtu na Latonie, matce Apollina i Artemidy. Zabity ich strzałami doznaje wiecznych katuszy w krainie umarłych, gdzie dwa sępy wyjadają mu wątrobę (por. karę Prometeusza). O karach Tityosa, Tantala i Syzyfa opowiada Homer w *Odysei* (XI 576 n.).

gdy zaspokoić dobrymi rzeczami i nasycić, jak to się dla nas darmo trudzą pory roku, wracające kołem ze swymi płodami i krasą uroków, my jednak nigdy nie mamy do syta darów żywota, to, moim zdaniem, oznacza owo podanie o dziewczętach kwitnących młodością, co zbierają wodę do dziurawego naczynia[8], ono zaś żadną miarą nie chce się napełnić. A Cerber[9] już iście i furie, i brak światłości, i piekło, straszliwe żary ziejące z gardzieli – tych nie ma nigdzie i być nie może, lecz strach za życia przed karami za zbrodnicze czyny jest tym okropniejszy, im okropniejsza jest zbrodnia i odwet, jako to więzienie i straszna chwila strąconego ze skały, chłosta, oprawcy, ciemnica, smoła, rozpalone żelazo, gorejące głownie. A choć ich nie ma na razie, ta przecież umysł, świadom swych przewinień, lęka się naprzód, gna i pali biczem, nie widząc zaś równocześnie ni możliwego kresu utrapień, ni ostatecznego końca kary, truchleje, by te męki nie stały się jeszcze cięższe po śmierci. Piekłem staje się jednym słowem życie głupców tu, na ziemi! (978–1023)

Mógłbyś także to sobie czasem od siebie powiedzieć: zamknął na światło swe oczy nawet dobry Ankus[10], który

[8] Grecy chcąc zaznaczyć, że ktoś trudzi się bezmyślnie i daremnie, mówili, że „czerpie wodę do dziurawego dzbanka" (przysłowie). Na takie trudy zostały – według (późniejszej) tradycji greckiej – skazane w krainie zmarłych córki Danaosa (Danaidy) za to, że zabiły swych mężów (synów Ajgiptosa) podczas nocy poślubnej. Jeżeli Lukrecjusz myślał o Danaidach, to alegoryczne tłumaczenie, jakie podaje, jest dziwnie sztuczne i w ogóle nie bardzo się godzi z samym mitem.

[9] Lukrecjusz uważa opowiadania o potwornym, wielogłowym psie Cerberze, który pilnuje bramy wiodącej do mrocznych „przybytków żałości", o eryniach (furiach), które dręczą zmarłych, i o „straszliwe żary siejącym" Tartarze (piekle!) za typowe fałsze w dziedzinie rzekomej wiedzy o życiu pośmiertnym (por. I 102 n.).

[10] *Ankus* (Ancus Marcius), czwarty po Romulusie mityczny król

pod wielu względami był lepszy od ciebie, nędzniku! Tylu następnie padło królów i mocarzy świata, przykazujących wielkim narodom, a i ów[11] nawet utracił światło życia i z konającego ciała wydał tchnienie, co niegdyś drogę rzucił przez ogromne morze, powiódł jego tonią swoje zastępy, nogami deptać nauczył słone otchłanie i kopytami końskimi tratował, nie dbając o głuche ryki bałwanów. Wielki Scypio[12], piorun wojny, postrach Kartaginy, złożył w ziemi tak samo swe kości, jak gdyby był najpodlejszym ciurą. Wspomnij twórców nauki i piękna, wspomnij muz towarzyszy, wśród których jeden, Homer, zdobywszy berło królewskie, tym samym snem usnął spokojnie, co inni. Gdy wreszcie późna starość napomniała Demokryta, że słabną pamięciowe ruchy umysłu, sam dobrowolnie wyciągnął swą głowę pod nóż śmierci. Gdy żywotne światło dobiegło kresu, umarł nawet Epikur, on, co ogromem swego ducha przewyższył ród ludzki i wszystkich zaćmił, jak wschód eterycznego słońca ćmi gwiazdy. A ty będziesz się drożył i oburzał na śmierć? Przecież w tobie życie już prawie umarło, choć niby żyjesz i patrzysz na światło, przecież większą część życia marnujesz na spaniu i chrapiesz na jawie, a sennych widziadeł nie przestajesz widzieć, w niespokojnym zaś sercu nosisz płonną trwogę i często dociec nie możesz, co ci to dolega, o zamroczony biedaku, gdy zewsząd na cię napierają mnogie troski i bujasz

rzymski słynął z dzielnych i sprawiedliwych rządów oraz z opieki, jaką roztaczał nad ludem.

[11] *Kserkses*, król perski, kazał zbudować most na Hellesponcie i przeprowadził w ten sposób swoje ogromne wojsko z Małej Azji do Europy podczas wyprawy na Grecję w 480 r. p.n.e.

[12] *Publiusz Korneliusz Scypio*, zwycięzca Hannibala w bitwie pod Zamą (202 r. p.n.e.).

obłędnie po błędnych drogach skołatanego umysłu. (1024–1052)

Gdyby ludzie czując nieznośny ciężar, co im serca tłoczy, mogli także poznać z tą samą jasnością, z jakich to dzieje się przyczyn i skąd się w piersi bierze owa góra niejako nieszczęścia, toby nie pędzili życia w ten sposób, jak to obecnie najczęściej się widzi. Nikt nie wie, czego chce właściwie, i ciągle marzy o zmianie miejsca, jak gdyby mógł zrzucić swe brzemię. Z wielkiego pałacu na dwór często ów wychodzi, komu zmierzł pobyt w domu, i nagle wraca, bo poza domem zgoła nie czuje się lepiej. Pędzi do wiejskiego dworu i gna swoje kucyki na złamanie karku, jakby spieszył z pomocą domostwu w płomieniach. Lecz ledwie dotknie wiejskich progów, zaraz ziewa i albo sennie idzie we śnie szukać zapomnienia, albo też czym prędzej zdąża z powrotem i odwiedza miasto. W ten sposób każdy ucieka przed sobą, przed którym oczywiście, jak to się dzieje, uciec nie może. Opornie dźwiga swoje jarzmo i dyszy nienawiścią, ponieważ cierpi i nie zna przyczyny cierpienia. Gdyby ją poznał, to poniechawszy wszystkiego, zapragnąłby każdy gorąco poznać najpierw naturę rzeczy, bo nie o jedną przelotną chwilkę idzie stawka, lecz o czas nieskończony, w którym przyjdzie śmiertelnym wiekować przez całą resztę bytu-niebytu po śmierci. (1053–1075)

Czemuż wreszcie tak głowę tracimy wśród niepewności i niebezpieczeństw? Czemuż ma taką moc nad nami ta przeklęta, ślepa żądza życia? Sterczy zaiste na drodze śmiertelnych kres życia i nie ma sposobu, żebyśmy mogli śmierci uniknąć. Kręcimy się nadto w kółko na tym samym miejscu i żadnej nowej rozkoszy nie krzesze długowieczność. Lecz póki nie ma tego, czego pragniemy, góruje ono nieja-

ko nad wszystkim: potem pragniemy czegoś innego, gdy tamto się ziści, i pali nas takie samo pragnienie życia wiecznie spragnionych. Niepewną jest także rzeczą, jaką dolę przyszłość przyniesie, co zrządzi przypadek lub jaki koniec nas czeka. I z pewnością nie odejmujemy przewlekaniem życia ni odrobiny z pozgonnego czasu i niczego nie uda się nam uszczknąć, żebyśmy też mniej długo mogli być zgładzeni. Do woli przeto można w swym życiu naliczyć pokoleń, a owa śmierć niemniej pozostanie wieczna i równie długo nie będzie już tego, komu dzisiejsze światło przy skonie świeciło, i tego, co zmarł wiele już temu lat i miesięcy. (1076–1094)

KSIĘGA CZWARTA

Wędruję po bezdrożnych ustroniach pieryd, po których niczyja stopa przedtem nie deptała. Miło jest przystępować do niepokalanych źródeł i poić się nimi, miło jest zrywać nowe kwiaty i żądać wspaniałego wieńca na swą głowę z takich wyżyn, z jakich nikomu pierwej muzy nie przybrały skroni. Po pierwsze z tego powodu, że uczę o wielkich rzeczach i z ciasnych więzów religii ducha wyzwalam niezłomnie, a potem dlatego, że o sprawie tak ciemnej składam tak przejrzyste pieśni, zaprawiając wszystko czarem muz. Bo i to także nie wydaje się całkiem pozbawione uzasadnienia. Oto jak lekarze, usiłując podać dzieciom gorzkie wywary z piołunu, kraszą wpierw brzegi dokoła pucharów słodką i żółtą cieczą miodu, aby niebaczna dziatwa dała się aż po wargi oszukać, a tymczasem przełknęła gorzki napój piołunowy i wzięta na lep nie tylko nie doznała szkody, lecz owszem, w ten sposób wróciła do zdrowia, tak ja teraz, ponieważ nasza nauka wydaje się bardzo często zbyt oschła tym, co jej nie zgłębili, i ponieważ tłum cofa się przed nią z odrazą, postanowiłem wyłożyć ci naszą naukę w słodkopłynnej, pieryjskiej pieśni i uroczym miodem muz okrasić niejako, zali też zdołam w ten sposób usidlić twego ducha naszymi wierszami, ty

zaś tymczasem zgłębisz całą rzeczy wartość i odczujesz błogie tego skutki. (1–25)

Skoro zaś wyłożyłem, na czym polega natura ducha i z jakich zestrojona rzeczy tworzy z ciałem żywą całość tudzież jakim sposobem obraca się na zarodki po rozszarpaniu, to teraz zacznę ci prawić o tym, co ma dla tych spraw niesłychane znaczenie, a mianowicie, że istnieją tak przez nas zwane wizerunki rzeczy. One niby błonki, zdarte z powierzchni rzeczy, latają to tu, to tam przez powiewy i straszą nasze umysły, zachodząc nam drogę tak samo na jawie, jak w sennych marzeniach, ilekroć oglądamy dziwne kształty i wizerunki ludzi pozbawionych światła. Nieraz nas rozbudziły straszliwie z sennego uśpienia. Ale nie sądźmy przypadkiem, że dusze uchodzą z krainy żałości i że mary latają pośród żywych lub że coś z nas może po śmierci pozostać, kiedy ciało i natura ducha po jednoczesnej zagładzie rozprószą się na swoje wszelakie zarodki. (26–41)

Powiadam zatem, że rzeczy wysyłają z powierzchni swego ciała podobizny i cieniuchne kształty. Stąd można to poznać nawet przy najtępszym sercu: przede wszystkim[1], skoro wiele rzeczy z widzialnego świata wysyła ciałka, częścią w wolnym rozprószeniu, jako to twarde pniaki dym, a ognie – gorąco, częścią zaś w stanie bardziej splecionym i gęstym, jak wtedy, gdy latem polne koniki składają swe powłóczyste koszulki i kiedy rodzące się cielaki zrzucają z powierzchni ciała swe błony i tak samo gdy wąż oślizgły zzuwa wśród cierni swą szatę, albowiem nieraz widzimy, jak kolczaste krzaki zwiększają się tymi lotnymi łupami,

[1] Munro czyta w. 44 po w. 51–53, a w. 45–50 uważa za interpolację. W w. 45–53 stanowią jednak zwartą całość i pochodzą zapewne z dawniejszego opracowania. W późniejszym opracowaniu zastąpiły je w. 26–32 n. Dlatego ww. 45–53 są opuszczone w przekładzie; patrz Wstęp.

skoro więc tak się dzieje, to także rzeczy muszą wysyłać cieniuchną podobiznę ze swej powierzchni. Dlaczego bowiem tamte odpadki miałyby się raczej od rzeczy odrywać niż te cieniusieńkie – nie da się ani pisnąć, zwłaszcza że na powierzchni rzeczy jest wiele maleńkich ciałek, które mogą się łuszczyć w tym samym porządku, w jakim były, i zachowywać kształt postaci, a przy tym wylatywać daleko prędzej, jako że daleko mniej są wystawione na przeszkody z powodu swojej niewielkiej ilości i z powodu swego umiejscowienia zaraz na czele. Albowiem widzimy w każdym razie, że wiele rzeczy szczodrze wydziela, i to nie tylko ze swej głębi wewnętrznej, jak rzekliśmy przedtem, lecz także z powierzchni, jak to wydzielają one szczególnie często barwę. Robią to żółte, czerwone i sine zasłony, kiedy rozpięte w rozległych teatrach marszczą się i falują na swoich masztach i rusztowaniu. Bo wtedy zespół widowni i cały wygląd sceniczny rodzica i rodzicielki bogów[2] zabarwiają góry i przymuszają mienić się swą tęczą. I im są lepiej dokoła zamknięte mury teatru, tym więcej to wszystko wewnątrz igra w zalewie uroczych uśmiechów, po odcięciu dziennego światła. Skoro więc płótna wysyłają barwę z powierzchni ciała, to muszą wszelkie także rzeczy wysyłać cieniuchne podobizny, ponieważ w obu razach rzucają pociski ze swej powierzchni. Są więc już wyraźne poszlaki postaci, co wszędzie latają w swych nikłych rozmiarach i nie dają się dostrzec w pojedynczym odosobnieniu. Wszelka woń zresztą, dym, gorąco i inne podobne rzeczy dlate-

[2] Zdaje się, że Lukrecjusz miał na myśli podobizny Nieba (Caelus, Uranos) i Ziemi (Terra, Gaia), czyli podobizny „rodzica i rodzicielki bogów" (*patrum matrumque deorum = patris matrisque deorum*; por. Katullus III 1, XIII 12... *Veneres Cupidinesque*), które się znajdowały na kurtynie teatralnej.

go wypływają z rzeczy w stanie rozprószenia, ponieważ powstały we wnętrzu i dobywając się z głębi doznają rozdarcia po zakrętach drogi. Nie mają również ich szlaki prostych otworów, którędy mogłyby dążyć gromadnie do wyjścia. Nic nie może natomiast roztargać cieniuchnej błonki zwierzchniego barwidła, kiedy bywa rzucana, ponieważ czeka gotowa i umieszczona zaraz na czele. Wszystkie w końcu wizerunki, jawiące się przed nami w zwierciadłach, w wodzie i w każdym błyszczącym przedmiocie, skoro są obdarzone wyglądem podobnym do rzeczy, to muszą się składać z ich podobizn, przez nie właśnie wysłanych. Są więc cieniuchne i niepodobne do siebie podobizny postaci, których nikt wprawdzie nie może rozróżnić pojedynczo, które jednak odbijając się gęstym szeregiem dają po odrzuceniu dostrzegalny obraz za tarczą zwierciadeł. I nie zdaje się, by kształty w inny sposób mogły się zachowywać i być tak bardzo podobne do każdej poszczególnej rzeczy. (42–109)

A teraz się dowiedz, jak cieniuchną naturę ma podobizna. Skoro zaś przede wszystkim zarodki są tak daleko pod naszymi zmysłami, są o tyle drobniejsze od tych przedmiotów, które dopiero poczynają być niedostrzegalne dla naszych oczu, to dowiedz się zaraz w kilku słowach, ażebym także tamto mógł uzasadnić, o nikłości zarodków wszelkich rzeczy. Są, po pierwsze, pewne żyjątka tak maleńkie, iż ich trzeciej części nie można żadną miarą zobaczyć. Jakże maluśkie musi się wydawać ich jelito! A krążek serca lub oczka? A członki? A nóżki? Jakież to drobiazgi! A cóż dopiero wszelakie zarodki, z których musi się składać dusza i natura ducha? Zali nie widzisz, jak nikłe są i malutkie? Wszystkie następnie rzeczy, wyziewające z ciała ostrą woń, leki na wszelką chorobę, obmierzłe piołuny, ciężkie

bylice i gorzkie centurie, których każda szczypta lekko we dwa (palce ujęta?)[3] . . . . . .
lecz raczej poznał, że wiele wizerunków rzeczy błądzi na wiele sposobów bez żadnej siły, by czucie pobudzić. (110–128)

Żebyś jednak nie myślał przypadkiem, że w ogóle błądzą tylko te wizerunki rzeczy, które z rzeczy uchodzą, to są jeszcze takie, co samorzutnie powstają i same się tworzą w tej części nieba, która zwie się powietrzem. One kształtują się rozmaicie i mkną na wysokościach. Nieustannie zmieniają swój wygląd będąc w płynnym stanie i przeobrażają się w zarysy wszelakich postaci. Z taką łatwością zrastają się niekiedy w naszych oczach chmury w górze i szpecą pogodny wygląd świata, pieszcząc swym ruchem powietrze. Widzi się bowiem raz twarze gigantów[4], jak lecą i szeroko cień zaciągają, a innym razem, jak wielkie góry i od gór oderwane skały idą przodem i mijają słońce, a potem jakiś olbrzymi potwór wlecze i sprowadza inne chmury. (129–142)

A teraz, jak one szybko i łatwo się rodzą, jak płyną bez przerwy i odpadają od rzeczy[5] . . . . . .
albowiem zawsze coś zbywa na powierzchni rzeczy, co mogą wysyłać. Ono przychodząc do innych rzeczy przechodzi jak, dajmy na to, przez przejrzystą szatę. Lecz sko-

[3] W tekście przekazanym przez kodeksy została opuszczona prawdopodobnie większa ilość wierszy.

[4] *Giganci*, synowie Gai, posiadali ogromne ciała, podobne do ciał ludzkich, ale zakończone zamiast nóg ogonami węży (wyobrażenie z okresu hellenistycznego). Walczyli oni z bogami olimpijskimi o władzę i zostali zwyciężeni. Tę walkę przedstawiał słynny fryz na Ołtarzu Pergamońskim (II w. p.n.e.).

[5] „Lukę" po w. 144 zauważył Lachmann, a po nim uznali ją także inni wydawcy.

ro przybędzie do chropowatych głazów lub drzewnej materii, zaraz doznaje rozdarcia i nie może dać żadnego wizerunku. Kiedy znów w drodze staną błyszczące i gęste przedmioty, jak przede wszystkim zwierciadło, dzieje się coś zupełnie innego. Nie może bowiem przejść jak przez szatę ani też doznać rozdarcia. Gładkość nie zapomina od tego uchronić. Więc stąd odpływają ku nam wizerunki. A o każdym czasie, choćbyś nie wiedzieć jak nagle jakąś rzecz przed zwierciadłem położył, jawi się podobizna. Więc możesz poznać, że z powierzchni ciała spływają ustawicznie cieniuchne tkanki rzeczy i cieniuchne kształciki. Skoro więc w krótkiej chwili rodzi się wiele wizerunków, to słusznie można nazwać szybkim powstawanie tych rzeczy. I jak w krótkiej chwili musi słońce wysyłać wiele świateł, aby wszystko było zawsze pełne światła, tak samo z rzeczy muszą w jednej chwili wylatywać na wiele sposobów na wszystkie zewsząd strony mnogie wizerunki. Oto, gdziekolwiek zwrócimy zwierciadło ku brzegom rzeczy, zaraz powstają odbicia o podobnej postaci i barwie. A zresztą, choć dopiero co była cudna pogoda na niebie, od razu nastaje szkaradny zamęt i oto mógłbyś mniemać, że wszystkie mroki wyległy zewsząd z krainy żałości i wypełniły ogromne sklepienia niebieskie. Bo takie zieją z góry paszcze czarnej trwogi pośród wstrętnej nocy z chmur. A nie ma nikogo, kto by mógł powiedzieć, jak maleńką ich cząstkę stanowi podobizna, i ten stosunek wyrazić słowami. (143–175)

A teraz, jak szybkim ruchem mkną wizerunki i jaka ruchliwość została im dana, im, co przepływają przez powiewy w ten sposób, iż na jakiekolwiek miejsce każdy z nich w rozbieżnym pędzie dąży, długa przestrzeń zabiera mu króciutką chwilkę – słodkodźwięcznymi raczej niż dłu-

gimi wypowiem wierszami, jako że lepsza jest cicha pieśń łabędzia niż ów wrzask żurawi, rozbrzmiewający wśród eterycznych chmur południowych. Po pierwsze, można nader często widzieć, że rzeczy lekkie i urobione z małych ciałek są szybkie. Jest nim na przykład światło słońca wraz z jego gorącem dlatego, ponieważ są urobione z maleńkich ciałek pierwotnych, które doznają jakby chłosty i bez żadnej zwłoki pędzą przez przestwór powietrza pod biczem ścigającego ciosu. Albowiem światło nadąża natychmiast po świetle i błysk w jednym jakby ciągu błysk popędza. Z tego samego względu muszą przeto wizerunki mieć zdolność przebiegania niesłychanej przestrzeni w jednej chwili, ponieważ, po pierwsze, maleńka przyczyna pędzi je z tyłu i ponosi daleko, zwłaszcza że gnają z tak skrzydlatą lekkością, a następnie ponieważ te pociski mają tak rzadką przędzę, iż łatwo mogą przenikać wszelakie rzeczy i przesiąkać niejako przez przestwór powietrza. Jeśli nadto te ciałka, co z wnętrza i z głębi rzeczy wylatują na zewnątrz, jako to światło i gorąco słońca, w naszych oczach spadają w jednej dziennej chwilce i rozlewają się po całej przestrzeni niebieskiej, przelatują morze, ziemie i zraszają niebo, to cóż dopiero te, co w chwili rzutu stoją w gotowości zaraz na czele, a ich wysłania nic nie opóźnia? Zali nie widzisz, że o tyle prędzej i dalej iść muszą oraz wielokrotną przestrzeń przebiegać o tym samym czasie, w którym światło słoneczne rozwidnia niebo? A także to wydaje się szczególnie jasnym i pewnym dowodem szybkości, z jaką pędzą wizerunki rzeczy, że skoro pod niebem ustawić błyszczące zwierciadło wody, „to bezzwłocznie odbijają się – przy gwiaździstym niebie – promienne i pogodne światła świata w tej wodzie. Zali więc już widzisz, w jak krótkiej chwili spada podobizna z krańców eteru na krańce ziemi? Więc,

powtarzam raz jeszcze, musisz wyznać, że wysyłane są ciałka, co uderzają oczy i wzrok drażnią. Od pewnych znów rzeczy płyną ustawicznie wonie, tak jak chłód od strumieni, gorąco od słońca, a od fal morskich jad, wygryzający mury dokoła wybrzeży. Nieustannie latają przez powiewy rozmaite głosy. Nieraz w końcu w usta wnika wilgotny, słony posmak, gdy przebywamy w pobliżu morza, a kiedy patrzymy na mieszany rozczyn z piołunu, razi nas gorycz. Aż do tego stopnia od wszystkich rzeczy wszystko upływa strumieniem i rozlewa się na wszystkie zewsząd strony. I nie zna żadnej zwłoki ni żadnego spoczynku ten strumień, ponieważ ciągle czujemy i wszystko można zawsze widzieć, wąchać tudzież czuć, jak dźwięczy. (176–229)

Ponieważ zresztą jakiś kształt, dotykany rękoma w ciemności, daje się poznać jako ten sam, co daje się widzieć w jasnym blasku światła, to dotyk i wzrok musi w ruch wprawiać podobna przyczyna. Jeśli więc teraz mamy do czynienia z czymś kwadratowym i to nam się uświadamia w ciemności, to cóż kwadratowego może na świetle przypadać do wzroku, jeśli nie podobizna tej rzeczy? W podobiznach tkwi zatem widocznie przyczyna widzenia i żadnej rzeczy nie można bez nich zobaczyć. Teraz zaś zewsząd uchodzą te wizerunki, jak je nazywam, i wydzielają się na wszystkie strony dookoła, my jednak możemy patrzeć jedynie oczyma i dlatego, gdzie tylko wzrok zwrócimy, wszystkie rzeczy zaraz weń biją z przeciwka swoją postacią i barwą. Podobizna sprawia również i uskutecznia, iż widzimy i rozeznajemy, jak daleko od nas jakaś rzecz się znajduje. Pędzi mianowicie i gna przed sobą to całe powietrze, jakie się mieści pomiędzy nią a naszymi oczyma. Ono zatem przez nasze źrenice w całości przeciąga, przeciera je niejako w ten sposób i przechodzi, a więc wi-

dzimy, jak daleko jest każda rzecz. I im więcej powietrza pędzi przodem i im dłuższy wiew nasze oczy przeczyszcza, tym odleglejsza wydaje się rzecz każda. Dzieje się to oczywiście w sposób niesłychanie szybki, tak iż równocześnie widzimy, jaka jest i jak jest daleko. A o to przy tych rzeczach nie należy bynajmniej pytać się z podziwem, dlaczego widzimy rzeczy, chociaż niewidzialne są ich poszczególne wizerunki, uderzające oczy. Albowiem także wówczas wiatr wolno chłosta i gdy płynie ostre zimno, nie czujemy zazwyczaj każdej poszczególnej cząstki wiatru i jego zimna, lecz raczej wszystko razem, a widzimy wówczas, że ciosy padają na nasze ciało w zupełnie podobny sposób, jak gdyby jakaś rzecz je chłostała i dawała czuć swe ciało z zewnątrz. Uderzając nadto palcem po kamieniu dotykamy bezpośrednio tylko skalnej powierzchni i zwierzchniej barwy, a jednak nie ją wyczuwamy dotykiem, lecz czujemy raczej twardość skały w jej wewnętrznej głębi. (230–268)

A teraz się dowiedz, dlaczego za zwierciadłem jawi się podobizna! W każdym bowiem razie wydaje się w głąb odsunięta podobnie jak te rzeczy, co rzeczywiście widnieją poza drzwiami, gdy brama użycza widoku przez siebie na przestrzał i sprawia, że wiele przedmiotów w domu wydaje się nam poza drzwiami. Zaprawdę, także to wrażenie wzrokowe polega na podwójnym i dwojakim powietrzu. Widzi się bowiem najpierw powietrze aż do drzwi, potem nadchodzą same skrzydła, prawe i lewe, a wreszcie zewnętrzne światło oczy przeciera i drugie powietrze, i owe przedmioty, co rzeczywiście widnieją poza drzwiami. Tak, skoro tylko podobizna zwierciadła rzuci się naprzód, pcha i pędzi przed sobą podczas drogi do naszych źrenic całe powietrze, jakie się znajduje pomiędzy nią a oczyma, i spra-

wia przez to, że odczuwamy je całe pierwej, a potem dopiero zwierciadło. Lecz skoro samo już także zoczymy zwierciadło, zaraz nadchodzi od nas do niego zdążająca podobizna i po odbiciu do naszych oczu z powrotem zagląda, a tocząc i pędząc przed sobą inne powietrze, sprawia, że pierwej je niż ją widzimy, i dlatego wydaje się tak daleko odsunięta od zwierciadła. Dlatego, powtarzam raz jeszcze, bynajmniej dziwić się nie należy[6] . . . . . za sprawą owych (?), co dają dostrzegalny obraz z tarczy zwierciadeł, ponieważ w obu razach rzecz dokonuje się skutkiem dwóch prądów powietrznych. A teraz tę część naszego ciała, która jest z prawej strony, dlatego widzimy w zwierciadłach po lewej, ponieważ podobizna, uderzywszy w swym biegu o płaszczyznę zwierciadła, nie wraca nie naruszona, lecz tak się spłaszcza i w tył wybija, jakby ktoś przybił maskę gipsową, nim wyschnie, na słupie lub desce, a ona, zachowując płaski kształt na przodzie, z tyłu zaraz się odtworzyła wiernym odbiciem. Tak więc to samo oko, które było prawe, staje się lewym, a lewe prawym na odwrót. Podobizna daje się także przenosić ze zwierciadła do zwierciadła, skutkiem czego często powstaje pięć lub sześć wizerunków. Da się na przykład z tylnych zakamarków wszelkie tam się kryjące przedmioty mimo nie wiedzieć jak krętych i głębokich odległości wyprowadzić na światło poprzez ich poplątane dostępy za pomocą większej liczby zwierciadeł i pokazać w środku domu. Aż do tego stopnia prześwieca podobizna od zwierciadła do zwierciadła. Lewa odbija się prawą, potem znowu tyłem powraca i tak samo się zmienia. Co więcej: wszystkie zagłębienia

[6] W tekście przekazanym przez kodeksy został opuszczony jeden lub może większa ilość wierszy.

zwierciadeł[7], posiadające krzywiznę podobną do naszego boku, odsyłają nam prawe wizerunki, a to dlatego, że albo podobizna przebiega od zwierciadła do zwierciadła i potem do nas przylatuje dwukrotnie odbita, albo też podobizna okręca się dookoła nadchodząc, ponieważ krzywy kształt zwierciadła uczy ją ku nam się zwracać. A dlatego dalej kroczą wizerunki razem z nami jakby żywe i stawiają stopy, i ruchy naśladują, ponieważ z tej części zwierciadła, z której ustąpisz, żadne już odtąd wizerunki nie mogą powracać. Albowiem natura sprawia, że wszystko musi wracać i odskakiwać od rzeczy pod tymi samymi kątami. (269–323)

Błyszczących dalej przedmiotów oczy unikają i strzegą się ich oglądać. Słońce oślepia nawet, jeśli uparcie w nie patrzeć, a to dlatego, że wielka jest jego siła, tudzież że wizerunki ciężko spadają z wysoka przez czyste powietrze i rażą oczy, burząc ich spojenia. Każdy zresztą jaskrawy odblask piecze, i to często, oczy, ponieważ posiada wiele zarodków ognia, które dostając się do oczu wywołują ból. Chorzy na żółtaczkę widzą nadto wszystko w barwie żółtawej, ponieważ z ich ciała wypływa wiele ziaren żółtawej barwy i wizerunkom rzeczy zabiega drogę. Jest ich wreszcie wiele pomieszanych w ich oczach, a więc wszystko zarażają swą bladą barwą. Dlatego zaś z ciemności widzimy to, co jest na świetle, ponieważ po bliższym, czarnym powietrzu mroku, które pierwej weszło i obsadziło otwarte

[7] Lukrecjusz usiłuje wyjaśnić, dlaczego zwierciadła o nierównej powierzchni (starożytni używali nie tylko płaskich, ale także wklęsłych i wypukłych zwierciadeł, przy czym trzeba pamiętać, że metalowe zwierciadła zagłębiały się często w pośrodku z powodu wielokrotnego czyszczenia) mogą odbijać prawą stronę danego przedmiotu jako prawą, lewą zaś jako lewą, a nie odwrotnie (por. Seneka, *Nat. quaest.* I 5).

oczy, nadciąga bezzwłocznie, jasne, świetlane powietrze, które je oczyszcza niejako i rozprasza czarne cienie tamtego powietrza. Jest bowiem daleko ruchliwsze, daleko drobniejsze i sprawniejsze. A skoro napełni światłem i otworzy oczne drogi, które przedtem obsiadło czarne powietrze, zaraz nadchodzą wizerunki rzeczy, znajdujące się na świetle, i pobudzają nas do widzenia. Nie możemy natomiast widzieć ze światła w ciemnościach, ponieważ nadciąga później gęstsze powietrze mroku, które zapełnia wszystkie otwory i obsadza oczne drogi, tak że nie mogą wizerunki żadnych rzeczy wpaść i poruszyć naszych oczu. A kiedy patrzymy z dali na czworokątne wieże miasta, to często wydają się okrągłe dlatego, że z odległości każdy kąt przedstawia się tępo lub raczej nie przedstawia się wcale, lecz jego uderzenie ginie i cios nie dociera do naszych źrenic, albowiem podczas drogi wizerunków przez przestwór powietrzny musi on tępieć z powodu częstych uderzeń powietrza. Skoro w ten sposób wszystkie kąty ujdą zmysłowej uwagi, kamienne budowle robią wrażenie toczonych, nie tak jednak, jak te, które są z bliska i są naprawdę okrągłe, lecz jak gdyby miały do nich trochę podobne zarysy. Wydaje się nam również, że cień się porusza na słońcu i idzie za nami, i naśladuje ruchy, o ile przyjmujesz, że powietrze, pozbawione światła, może stąpać, naśladując ruchy i odruchy ludzkie. Albowiem to, co zwyczajnie nazywamy cieniem, nie może być niczym innym niż tylko powietrzem pozbawionym światła. Ziemia traci oczywiście na pewnych miejscach po kolei światło słoneczne, gdzie ją przesłaniamy w drodze, a tak samo napełnia się nim każde miejsce, które opuściliśmy, i dlatego zdaje się, jakoby ten sam dawny cień naszego ciała szedł ciągle za nami w prostym kierunku. Ciągle bowiem płyną nowe światła promieni, a pierwotne giną, jak gdyby wełnę zgarniać w ogień. Dlatego ziemia łatwo daje się pozbawiać światła. Napełnia się znowu tak samo i obmywa czarne cienie. (324–378)

Nie przyznajemy tu jednak zgoła, by oczy padały ofiarą pomyłki. Albowiem ich zadaniem jest tylko widzieć, gdzie jest światło, a gdzie cień. Czy to zaś są te same światła, czy nie i czy ten sam cień, co był tutaj, teraz tam przechodzi lub czy jest raczej tak, jak nieco wyżej powiedzieliśmy, o tym dopiero rozum ducha ma wyrokować. Oczy nie mogą poznawać natury. Strzeż się zatem tę winę umysłu przypisywać oczom. W ruchu jest okręt, na którym jedziemy, choć niby stoi, a ten, co zostaje w przystani, łudzi pewnością, że mija. Wzgórza i pola, wzdłuż których pędzimy na okręcie i lecimy na skrzydłach żagli, uciekają, zda się, wstecz. Wszystkie gwiazdy robią takie wrażenie, jakby znieruchomiały, przytwierdzone do eterycznych sklepień, a przecież wszystkie pozostają w ustawicznym ruchu, ponieważ po wschodzie odwiedzają odległe miejsca zachodu, skoro przemierzą niebo swoim jasnym ciałem. Słońce i księżyc tak samo. Zda się, że stoją w miejscu, a przecież ich pędu dowodzi sama rzeczywistość. Sterczą daleko góry w pośrodku odmętu. Pośród nich wolne przejście dla setek okrętów zieje ogromnym otworem, a jednak robią wrażenie złączonych w jednolitą wyspę. Skoro dzieci przestaną wirować, tak im w oczach kołują komnaty i tak dokoła gonią słupy, iż ledwie mogą dać wiarę, że strop nie grozi im przywaleniem pod swymi gruzami. A kiedy natura poczyna czerwoną tarczę o drżących ogniach wysuwać wysoko i ponad góry unosić, te góry – ponad którymi widzisz wówczas rozpalone słońce, dotykające ich z bliska swym ogniem – leżą od nas w odległości ledwie że dwóch tysięcy lotów strzały, a często nawet ledwie że pięciuset rzutów

krótkiego oszczepu. Lecz między nimi a słońcem rozciągają się olbrzymie morskie płaszczyzny pod ogromnymi krańcami eteru, leży wiele tysięcy ziem, które zamieszkują rozmaite ludy i pokolenia zwierzęce. A znowu nie głębsza od palca kałuża wody, która się zbiera pośród kamieni na brukowanych gościńcach, pozwala zajrzeć pod ziemię z takim rozmachem, z jakim się otwiera od ziemi w górę otchłań nieba, i oto ci się zdaje, iż widzisz w dole chmury i patrzysz na ciała niebieskie, dziwnym sposobem z nieba zaklęte pod ziemię. Skoro nam wreszcie utknie ścigły rumak w pośrodku nurtu i spojrzymy na wartkie fale rzeki, to zdaje się, że pęd ponosi bokiem ciało stojącego konia i chyżo pcha w kierunku przeciwnym prądowi. I gdzie tylko rzucimy okiem, wszystko, zda się, pędzi i płynie w podobny sposób. Ma wreszcie portyk doskonale wyrównany kierunek, ciągnie się i wspiera do końca na równych słupach. Kiedy się jednak nań patrzy przez całą długość od góry, powoli zacieśnia się w boki ostrosłupa, łączy powałę z podłogą i wszystko, co na prawo, z tym, co na lewo, aż wszystko stłoczy w ciemnej i kończystej głębi. Żeglarzom wydaje się na morzu, że słońce po wschodzie z fal zachodzi i składa swe światło w falach, ponieważ prócz wody i nieba nie widzą niczego innego. Lecz nie wierz lekkomyślnie, że zmysły ponoszą tu zupełną klęskę! Oto nie znającym morza wydaje się w przystani, jakoby połamane statki potrzaskanymi rufami dawały odpór fali. Oto proste są także wszystkie części wioseł, wystające z morskiej rosy, i proste są w górze stery wszędzie jednak, gdzie się spotykają zanurzone z wodą, robią wrażenie złamanych, jakby zmieniały kierunek, wypływały na górę ze spodu i – po odchyleniu – prawie że się unosiły na powierzchni wody. I kiedy wichry niosą w nocnej porze rzadkie chmury po niebie, wówczas powstaje złudzenie, jakoby lśniące znaki mknęły przeciw chmurom i pędziły na swej wysokości w zupełnie inną stronę, niż pędzą w istocie. Jeśli zaś przypadkiem przyłożona ręka naciśnie jedno oko z dołu, to wówczas skutkiem jakiegoś zmysłowego czucia wszystko, na co patrzymy, dwoi się w oczach: dwoją się światła świec wykwitające płomieniem, dwoją się podwójne sprzęty w całym domu, ludzie mają podwójne twarze i dwa ciała. Gdy wreszcie sen spęta członki słodkim ukojeniem, a całe ciało leży w najgłębszym spoczynku, zdaje się nam jednak i wówczas, jak byśmy czuwali i poruszali naszymi członkami: w ślepych ciemnościach nocy roi się nam widok słońca i dziennego światła, w zamkniętym miejscu zmieniamy niebo, morze, rzeki, góry i wędrujemy pieszo przez pola, słyszymy jakby dźwięki, choć dokoła panuje surowa cisza nocy, i dajemy jakby odpowiedź w milczeniu. I wiele widzimy innych dziwów tego rodzaju. One wszystkie pragną niejako podkopać zaufanie do zmysłów, ale daremnie, ponieważ w ogromnej większości tych wypadków błąd polega na urojeniach ducha, które dodajemy my sami. I za widziane uchodzi to, czego zmysły nie widziały. I nie ma zaiste większej trudności, jak odróżniać rzeczy jawne od wątpliwych, które umysł od siebie w mig dorzuca. (379–468)

Jeśli wreszcie ktoś sądzi, że niczego się nie wie, to nie wie także, czy to można wiedzieć, ponieważ wyznaje, że nic nie wie. Nie będę więc prowadzić sporu z tym, kto staje głową na swych własnych śladach. A zresztą, choćby mu nawet zostawić tę wiedzę, to o to się tylko zapytam, skąd wie, skoro żadnej prawdy przedtem w rzeczach nie dostrzegł, co to jest „wiedzieć" i na odwrót „nie wiedzieć", co stworzyło znajomość prawdy i kłamstwa i co wykazało różnicę pomiędzy tym, co jest pewne, a tym, co jest wątpliwe. Doj-

dziesz do tego, że znajomość prawdy wywodzi się w pierwszym rzędzie od zmysłów i że zmysłów nie można zbijać. Większą bowiem wiarę powinno budzić to, co może żywiołową mocą prawdy przezwyciężać kłamstwo. A jak myślisz, cóż zasługuje na większą wiarę od zmysłów? Albo czyż rozumowanie, osnute na kłamliwym zmyśle, będzie miało dość siły, by zmysłom zaprzeczać, skoro w całości na nich jest oparte? Przecież jeśli nie są prawdziwe, to błędne jest także całe rozumowanie! Albo czy potrafią uszy oczom kłam zadać lub uszom dotyk? Czy temu dotykowi będzie dalej przyganiać smak ust, czy będą zaprzeczać nozdrza lub oczy błąd wykazywać? Inaczej jest, jak myślę! Albowiem każdy z osobna ma oddzielną zdolność, każdy ma własny zakres. Przeto jest rzeczą konieczną, by czuć odrębnie to, co jest miękkie i zimne lub wrzące, a odrębnie znowu czuć rozmaite barwy rzeczy i widzieć to wszystko, co z barwami pozostaje w związku. Smak ust ma również swój osobny zakres. Osobno powstają zapachy, osobno dźwięki. Przeto jest rzeczą konieczną, by jedne zmysły nie mogły drugich zbijać. Nie będą mogły dalej same siebie ganić, ponieważ wiara będzie musiała zawsze pozostać jednaka. Co im się tedy zwidzi w jakimkolwiek czasie, jest prawdą. I jeśli rozum nie zdoła odgadnąć przyczyny, dlaczego rzeczy czworokątne z bliska wydały się okrągłe z daleka, to lepiej jest w braku wyjaśnienia podawać nawet błędne przyczyny obu kształtów niż pod jakim bądź pozorem z rąk wypuszczać rzeczy namacalne, gwałcić podstawową wiarę i burzyć do szczętu całe podwaliny, na których wspiera się życie i wszelkie zbawienie. Nie tylko bowiem zwali się cały rozum, lecz także życie runie natychmiast, jeśli się nie odważysz zawierzyć zmysłom, unikać przepaści i innych rzeczy tego rodzaju, których unikać należy, lecz będziesz iść

za rzeczami wprost przeciwnymi. Puste jest, wierzaj, całe to gadanie, co przeciw zmysłom stoi w pogotowiu! A jak wreszcie przy budowie, jeśli zła jest zasadnicza miara, jeśli kłamliwy pion zbacza z prostej drogi, a poziom cokolwiek ma niedokładności, to wadliwie i opacznie musi wypaść całość, to krzywe, ciężkie, pochylone naprzód, pochylone w tył, koślawe domostwa częścią chcą niejako padać, a częścią istotnie padają, gdyż wszystkie padły zaraz z początku ofiarą mylnej rachuby, tak tedy zły ci być musi i błędny każdy pogląd na rzeczy, jaki się wylągł z kłamliwych zmysłów. (469–521)

A teraz już nie ma żadnych trudności w tłumaczeniu, jakim sposobem każdy z pozostałych zmysłów czuje swój przedmiot. Słyszymy, po pierwsze, wszelki dźwięk i głos wówczas, gdy wniknie do uszu i pobudzi zmysł swoim ciałem. Bo trzeba zaiste wyznać, że głos jak i dźwięk są także cielesne, ponieważ mogą pobudzać zmysły. Często zresztą głos drapie gardło, a krzyk, dobywając się na zewnątrz, robi krtań chropowatą. Skoro bowiem zarodki głosu poczną w większej ciżbie przeć wąskim przesmykiem na zewnątrz, to oczywiście ociera się także brama ust zatłoczonych. Nie można tedy wątpić, że głosy i sława składają się z cielesnych zaczątków, skoro mogą kaleczyć. Doskonale wiesz również, ile ciała zabiera i ile ujmuje z ludzkich mięśni i sił po prostu ciągłe mówienie od świtu jasnej jutrzenki aż do zmroku czarnej nocy, zwłaszcza jeśli się mówiło z wielkim natężeniem. Więc głos musi być cielesny, ponieważ ten, co wiele mówi, traci część swego ciała. Szorstkość zaś głosu pochodzi od szorstkości zaczątków i tak samo gładkość rodzi się z gładkości. I nie przenikają zaczątki w podobnej postaci do uszu, gdy trąba grzmi głucho przyduszonym rykiem, a barbarzyńska okolica odbrzmiewa echem

chrapliwej pobudki, i gdy łabędzie znad obfitych wodospadów Helikonu podnoszą smętnym głosem dźwięczny śpiew żałoby. (522–548)

Gdy więc te głosy wyciskamy z głębi naszego ciała i wypuszczamy z ust na zewnątrz, głoskuje je ruchliwy, słowotwórczy język i kształtuje po części postawa warg. Z tego powodu, gdy jest niewielka odległość, skąd wychodzi i przychodzi każda poszczególna głoska, to zachowuje swą postać i zachowuje swój kształt, a zatem musi się słyszeć wyraźnie także same słowa i rozróżniać każdą głoskę. Jeżeli jednak odstęp jest nazbyt znaczny, to słowa muszą się zacierać w powietrznym przestworze i głoska musi doznać zatarcia podczas lotu przez powiewy. Zdarza się tedy, że możesz dźwięk usłyszeć, ale nie możesz rozeznać tej myśli, co się kryje w słowach. Głos nadbiega aż do tego stopnia zatarty i zagłuszony. Nadto jedno nieraz słowo, wysłane z ust herolda, wszystkim w narodzie uszy pobudza. Na wiele zatem głosów rozprasza się głos jeden, ponieważ rozdziela się do wielu poszczególnych uszu, zachowując postać i wyraźny dźwięk wyrazu. Ta jednak część głosów, co nie wpadła właśnie do uszu, przemyka się bokiem i rozprószywszy się w powiewach ginie na próżno. Część, uderzywszy o miejsca nieprzenikliwe, odbija się nazad dźwiękiem i czasem przyprawia o złudę podobizną słowa. Zrozumiawszy to dobrze, będziesz mógł wytłumaczyć sobie samemu i innym, jakim sposobem skały na pustkowiu odbrzmiewają jednakowymi postaciami słów po porządku, kiedy szukamy wśród mrocznych gór snujących się towarzyszy i rozprószonych zwołujemy wielkim głosem. Widziałem miejsca, co oddawały nawet sześć lub siedem głosów, gdy jeden rzuciłeś. Tak górom same góry odrzucały i powtarzały słowa, przyuczone do powrotu. O tych miej-

scach bają sąsiedzi, jakoby były w posiadaniu nimf i kozionogich satyrów, i prawią o faunach[8]. Ich nocne hałasy i płoche zabawy, jak zapewniają powszechnie, zakłócają niemą ciszę. Słychać dźwięki strun i słodkie skargi, jakie flet wypłakuje, drżący pod palcami grajków. Lud wiejski ma słyszeć szeroko, ilekroć Pan, potrząsając sosnowym okryciem półzwierzęcej głowy, przebiega krzywą wargą po pustych trzcinach, żeby fujarka nie przestawała wygrywać leśnej pieśni. O innych jeszcze gwarzą dziwach i stworach tego rodzaju, aby przypadkiem nie sądzić, że mieszkają na pustkowiach, od których stronią nawet bogowie. Dlatego puszczają się na nadzwyczajne powieści albo też mają jakiś inny powód, jako że cały ród ludzki nadmiernie łaknie bajeczek. (549–594)

Nie należy się dalej dziwić, jakim sposobem przez te miejsca, przez które oczy nie mogą widzieć jawnych rzeczy, przechodzą głosy i drażnią uszy. Jesteśmy często świadkami rozmowy mimo drzwi zamkniętych, ma się rozumieć z tego powodu, że głos może przechodzić bez szkody przez krzywe otwory rzeczy, a wizerunki nie chcą, albowiem doznają rozdarcia, jeśli nie płyną przez proste otwory, jak to

[8] *Nimfy i satyrowie*, pomniejsze bóstwa greckie, uosabiają żywiołową swobodę i na ogół radosną (i dobrotliwą) siłę płodnej przyrody w pewnej opozycji do „kultury". Występują często w orszaku Dionizosa (Bakchusa). Pan odwieczny bóg arkadyjski, uchodził w czasach Lukrecjusza za boskiego opiekuna pasterzy i mistrza w grze na flecie (w późniejszych czasach doczekał się mistycznej czci jako bóstwo uniwersalne; wyraz grecki „pan" znaczy „wszystko"). Faunus był rzymskim bogiem płodności, opiekunem bydła i polnych plonów (łaciński wyraz „favere" znaczy „sprzyjać"). Rzymianie utożsamiali go z Panem. Faunami nazywano Faunusa i jego potomstwo, podobnie jak paniskami (lub panami) nazywano czasem Pana i podobnych do niego z wyglądu koziorogich i kozionogich satyrów.

szkła na przykład, którymi każdy obraz w lot przechodzi. Głos rozdziela się nadto na wszystkie strony, ponieważ z jednych głosów rodzą się drugie, gdy raz jeden powstał i rozdzielił się na wiele w podobny sposób, jak to często rozpryskuje się ognista iskra na swoje ogniki. Więc zapełniają się głosami wszystkie miejsca, co były ukryte dokoła na tyłach, i rozbrzmiewają dźwiękiem. Wizerunki natomiast dążą tylko prostą drogą, jak raz zostały wysłane. Dlatego nikt nie może patrzeć poza ścianę, ale może chwytać głosy z zewnątrz. A jednak i ten głos nawet, przechodząc przez ściany domów, doznaje przygłuszenia, wchodzi w uszy w niewyraźnym kształcie i mamy wrażenie, że słyszymy raczej dźwięk niż wyrazy. (595–614)

Narządy smaku, język i podniebienie, nie nastręczają dłuższych tłumaczeń ni większych trudności. Smak czujemy przede wszystkim w ustach, kiedy pokarm wyciskamy żuciem, jak gdyby ktoś począł ręką ściskać i wysuszać gąbkę pełną wody. Potem to wszystko, co wyciskamy, rozchodzi się po przewodach podniebienia i po krętych otworach rzadkiego języka. Za czym, gdy ciałka cieknącego soku są gładkie, miło tykają i wszędzie miło głaszczą mokre, dokoła ociekające przybytki języka. Kłują zmysł swoją gromadą natomiast i kaleczą, im więcej zawierają w sobie chropowatości. Następnie wraz z podniebieniem kończy się rozkosz ze smacznego soku, bo skoro wpadnie w głąb przez gardła, to nie ma już żadnej rozkoszy, gdy się rozchodzi po wszystkich członkach. I zgoła nie ma znaczenia, jakim pokarmem ciało odżywiać, bylebyś tylko mógł strawić jedzenie i rozdzielić je po członkach tudzież utrzymać żołądek w stanie ciągłej wilgoci. (615–632)

A teraz wyjaśnię, dlaczego to inny pokarm, co innym smakuje i służy, lub z jakiego powodu to, co dla jednych

jest przykre i gorzkie, może się innym mimo to wydawać przesłodkie. Taka zaś panuje w tych rzeczach rozbieżność i rozmaitość, iż to, co dla jednego jest pożywieniem, dla innych staje się srogą trucizną. Jest tedy także wąż, co rażony ludzką śliną ginie i sam się na śmierć zagryza. Ciemierzyca jest nadto dla nas srogą trucizną, atoli kozom i przepiórkom przydaje sadła. Ażebyś więc mógł poznać, jakim sposobem to się dzieje, to po pierwsze pamiętać należy o tym, co rzekliśmy przedtem, a mianowicie, że rzeczy zawierają w sobie różne pomieszane ziarna. Wszystkie dalej stworzenia, przyjmujące pokarm, stosownie do swych zewnętrznych różnic oraz rodzajowych karbów w zarysie cielesnej powłoki składają się także z ziaren różnego kształtu. Skoro zaś różnią się ziarna, to muszą się także różnić odstępy i przewody, które zowiemy otworami, we wszystkich członkach, w ustach i w samymże podniebieniu. Jedne więc muszą być mniejsze, inne większe, u jednych muszą być trójkątne, u innych kwadratowe, wiele jest okrągłych, a jeszcze inne są w rozmaity sposób wieloboczne. Albowiem, jak tego żąda wzgląd na kształty i ich ruchy, kształty muszą się różnić stosownie do otworów, a przewody muszą się zmieniać stosownie do karbów przędzy. Przeto gdy coś dla jednych jest słodkie, a innym wydaje się gorzkie, to muszą temu, dla którego jest słodkie, wchodzić do przewodów podniebienia ciałka nader gładko przylegające, a tym natomiast, którym ta sama rzecz sprawia wewnątrz przykrość, wchodzą do przewodów chropawe i haczykowate. Łatwo jest teraz po tych wyjaśnieniach zdać sobie sprawę ze wszystkiego. Oto gdy kogoś ogarnie gorączka skutkiem zbytku żółci lub gdy jakiś inny powód wywoła ciężką chorobę, wówczas całe ciało doznaje zakłócenia i wszystkie wówczas układy zaczątków doznają prze-

miany. A zatem ciałka, przypadające przedtem do smaku, teraz nie przypadają, wszystkie zaś inne nadają się lepiej, co po wniknięciu mogą wywoływać przykre uczucie. Jedne i drugie są na przykład pomieszane w smaku miodu, jak ci to już nieraz wyżej wykazaliśmy. (633–672)

A teraz opowiem, jakim sposobem woń o nos uderza. Wiele, po pierwsze, musi być rzeczy, z których wypływa i toczy się różny prąd zapachów. Bo trzeba przyjąć, że płyną, uchodzą i rozpraszają się we wszystkich kierunkach. Lecz jeden odpowiada lepiej niż drugi innym stworzeniom z powodu odmiennych postaci. Dlatego za zapachem miodu lecą przez powiewy pszczoły, jak chcesz, daleko, a za padliną sępy. Następnie psy poszczute wiodą, gdzie stąpi racica dzikich zwierząt, a biała gęś, zbawicielka zamku Romulidów[9], z daleka czuje ludzki zapach. Tak każde stworzenie wiedzie każdemu właściwy zapach do swoistej paszy i zmusza do uciekania od wrażej trucizny. Tym więc sposobem zachowują się pokolenia dzikich zwierząt. (673–687)

Z tych więc wszystkich zapachów poszczególnych, co drażnią nozdrza, może jeden zalatywać dalej niż drugi. Lecz żaden z nich nie pędzi tak daleko jak dźwięk, jak głos, nie wspominam zaś już o tych rzeczach, co rażą źrenice oczu i drażnią wzrok. Nadchodzi bowiem późno po długim błądzeniu i gaśnie przedwcześnie, rozprószywszy się z wolna w lekkich powiewach powietrza. Po pierwsze, ponieważ wyłania się z trudem z głębokości wysyłającej go rzeczy. Bo ze środka rzeczy wypływają i uchodzą zapachy, jak wskazuje to, że wszystko, co przełamane, co jest starte na proch, co ogień rozprzęgnie, wydziela najwyraźniej woń mocniejszą.

[9] Gęsi miały ostrzec Rzymian przed nocnym wtargnięciem Gallów na Kapitol w 387 r. p.n.e., jak opowiada np. Liwiusz (V 47).

Jasną jest następnie rzeczą, że składa się z większych zaczątków niż głos, ponieważ nie przenika ścian kamiennych, którędy głos i dźwięk w lot przebiegają. Dlatego też, jak sam zobaczysz, nie jest tak łatwo wytropić, w jakiej stronie znajduje się to, co woń wydaje. Cios bowiem ziębnie skutkiem mitręgi w powiewach i zwiastuny rzeczy nie dobiegają w gorącym stanie do zmysłów. Często więc psy popełniają omyłki i węszą ślady. (688–705)

Nie ogranicza się to jednak tylko do zapachów i do rodzaju smaków, lecz również obrazy rzeczy i barwy nie odpowiadają zmysłom jednako u wszystkich. Niektóre są dla niektórych przykrzejsze do widzenia. Oto kogutowi, mającemu zwyczaj przepłaszać noc skrzydłami i wzywać donośnym głosem jutrzenkę, nie mogą dotrzymać pola sierdziste lwy ni znieść jego widoku[10]. Więc pamiętają, by zmykać natychmiast, oczywiście dlatego, że w ciele kogutów są pewne ziarna, co wpuszczone w oczy lwów wiercą źrenice i ból im zadają tak srogi, iż mimo swojej srogości nie mogą opierać się długo. Naszych wszelako źrenic nie mogą one uszkodzić, ponieważ albo nie wnikają do środka, albo wnikają, ale zyskują zaraz swobodne wyjście, żeby nie mogły dłuższym pobytem oczu nigdzie uszkodzić. (706–721)

A teraz się dowiedz, jakie rzeczy umysł poruszają, i posłuchaj krótkiego wyjaśnienia, skąd pochodzą te, co na myśl przychodzą. Twierdzę po pierwsze, że wiele cieniuchnych wizerunków rzeczy błądzi na wiele sposobów na wszystkie strony. One, spotykając się ze sobą, łączą się łatwo

[10] O lęku lwa przed kogutem pisze także Pliniusz (*Nat. hist.* VIII 19,52; X 21,47) i inni autorzy starożytni. Ten przesąd został pono obalony ostatecznie dopiero w XVIII czy nawet XIX w., kiedy ktoś (Cuvier?) wpuścił żywego koguta do klatki lwa i lew zjadł bez obawy groźnego ptaka.

w powiewach, niby pajęczyna lub pozłótka. A przędzę mają o wiele cieńszą zaiste niżeli te, co uszy biorą w posiadanie i drażnią wzrok, ponieważ przechodzą przez szczeliny ciała, pobudzają wewnątrz cieniuchną naturę ducha i drażnią czucie. Widzimy więc postacie centaurów[11] i cielska scyll[12], i cerberyjskie psie pyski, i widma tych, których kości po śmierci tuli ziemia. Wszędzie bowiem krążą wizerunki wszelkiego rodzaju, częścią te, które powstają same przez się w samym powietrzu, częścią te, co uchodzą z najrozmaitszych rzeczy, a wreszcie te, co się tworzą z ich złączonych kształtów. Z pewnością bowiem nie pochodzi od żywego centaura jego podobizna, ponieważ nigdy nie było takowej natury stworzenia. Lecz skoro przypadkiem zejdzie się podobizna człowieka z podobizną konia, od razu spaja się łatwo, jak rzekliśmy wyżej, z powodu delikatnej natury i cieniuchnych tkanek. W ten sam sposób tworzy się reszta z tego rodzaju. Ponieważ zaś przy swej niezmiernej lekkości pędzą chyżo, jak przedtem wykazałem, to łatwo nam umysł porusza jaka bądź delikatna podobizna jednym uderzeniem, cieniuchny jest bowiem i dziwnie ruchliwy także sam umysł. (722–748)

Że jest tak, jak mówię, można stąd łatwo poznać: o ile

[11] Ciało centaurów składało się z ludzkiego tułowia i z końskiego kadłuba (patrz V 878 n.), niemniej jednak artyści greccy potrafili nadać mu charakter organicznej całości, tak iż wypracowany przez nich typ centaura (podobnie jak typ satyra) należy do triumfów sztuki starożytnej.

[12] Opisany w *Odysei* (XII 85 n.) potwór morski, zwany Scyllą, posiadał sześć (psich) głów tudzież dwanaście nóg i czatował na swoje ofiary w grocie na wybrzeżu italskim (naprzeciw Charybdy). Później przedstawiano scylle w postaci pięknych kobiet aż do podbrzusza, gdzie się znajdowały także tradycyjne psie głowy oraz nogi czy płetwy i gdzie się zaczynał ogon lub ogony rybie.

widzenie umysłem jest podobne do widzenia oczyma, o tyle jedno i drugie musi w podobny sposób dochodzić do skutku. Skoro więc teraz wykazałem, że lwa na przykład widzę przez wizerunki, drażniące oczy, to można być pewnym, że w podobny sposób rusza się i umysł, który również przez wizerunki widzi lwa i wszystkie inne rzeczy, zupełnie tak samo, jak oczy, chyba że rozróżnia jeszcze niklejsze. I kiedy sen rozciągnie członki, czuwa umysł ducha nie z innej przyczyny niż tej, że nasze duchy drażnią te same wizerunki, co na jawie, i to do tego stopnia, iż widzimy z wszelką niby pewnością tego, kogo śmierć już oddała z życia, a przejęła ziemia. Dzieje się to pod przymusem natury, a dzieje dlatego, ponieważ wszystkie cielesne zmysły wypoczywają po członkach spętane i nie mogą złudy zbić prawdą rzeczywistą. Nadto pamięć leży bezczynnie w sennym odurzeniu i nie wytacza sporu o to, że ten już dawno padł łupem śmierci i zgonu, kogo sobie umysł z taką wiarą żywym przed oczyma roi. Nie jest wreszcie dziwne, iż wizerunki pozostają w ruchu, iż miarowo rzucają ramionami oraz resztą członków – zdarza się bowiem i widzi się we śnie, jak czyni to podobizna – ponieważ gdy pierwsza zniknie, a potem nadejdzie druga w innej postawie, to zdaje się wówczas, że poprzednia zmieniła ruch. Trzeba oczywiście mniemać, że to dzieje się szybko. Tak wielka jest ruchliwość i tak wielka mnogość rzeczy, a także tak wielka mnogość cząstek jest w każdej wyczuwalnej chwili, iż może wystarczyć. (749–776)

I wiele w tych sprawach pytań się nasuwa, i wiele musimy wyjaśnić, jeżeli chcemy rzecz wyłożyć dokładnie. Jest przede wszystkim pytanie, dlaczego czyjś umysł myśli zaraz o tym właśnie, na co komu przyjdzie ochota. Czy może śledzą naszą wolę wizerunki i, kiedy tylko chcemy, wybie-

ga naprzeciw nas podobizna, czy to morze leży na sercu, czy ziemia, czy wreszcie niebo? Zali ludzkie rzesze, pochody, biesiady i walki, zali to wszystko natura na rozkaz tworzy i przygotowuje? Zwłaszcza gdy w tej samej okolicy i miejscu umysł różnych ludzi myśli o zupełnie niepodobnych rzeczach? A cóż, kiedy we śnie oglądamy miarowe kroki wizerunków i ruchy miękkich członków? Gdy miękkie ramiona żwawo unoszą na przemian i zgrabną stopą ponawiają oczom ruch wykonany? Od sztuki kapią oczywiście wizerunki i wyuczone się włóczą, by w nocnej parze mogły wyprawiać swe harce! A może prawdą będzie raczej to: ponieważ w jednej chwili czujemy zespołem, to znaczy na przykład, że w tej chwili, kiedy jeden głos bywa wysłany, kryje się wiele chwilek, z których istnienia rozum zdaje sobie sprawę, przeto w każdej chwili są na każdym miejscu gotowe wszelakie wizerunki. Tak wielka jest ruchliwość i tak wielka mnogość podobizn i rzeczy. Dlatego gdy pierwsza zniknie, a potem nadejdzie druga w innej postawie, to zdaje się wówczas, że poprzednia zmieniła ruch. Ponieważ zaś są cieniuchne, umysł ich widzieć wyraźnie nie może, chyba że jakich pragnie. Więc wszystkie giną mimo prócz tych, na które sam się przygotował. Sam się zaś dalej przygotowuje oczekiwaniem przyszłości, by widzieć, co nastaje po każdej rzeczy. A więc to się uskutecznia. Zali nie widzisz, że także oczy zacząwszy rozróżniać drobne przedmioty natężają się i przygotowują i że bez tego nie możemy widzieć wyraźnie? Przecież i na widzialnym świecie możesz się przekonać, że jeśli na coś nie zwracasz uwagi, to jest tak, jak by było ono przez cały czas oddalone i daleko odsunięte. Cóż więc dziwnego, że umysł traci całą resztę z wyjątkiem tych rzeczy, którym poświęca szczególną uwagę? Domyślamy się następnie po małych śladach bardzo

wielkich rzeczy i sami się wikłamy w daremne złudzenia. (777–817)

Zdarza się czasem, że nastręcza się podobizna nie z tego samego rodzaju, lecz ta, co przedtem była kobietą, zda się być przerobiona w palcach na doraźnego mężczyznę, albo też inny wygląd i wiek następuje po innym. Sen jednak i zanik pamięci zapobiegają zdziwieniu. (818–822)

Tego błędu chciej się szczególnie wystrzegać w tych rzeczach i tej pomyłki unikaj z największą obawą! Nie myśl, jakoby jasne światła oczu zostały stworzone w tym celu, żebyśmy mogli widzieć daleko, i jakoby dlatego mogły się zginać kabłąki ud i łydek, osadzone na stopach, żebyśmy mogli stawiać dalekie kroki, a następnie, jakoby przednie kończyny, zawieszone na mocnych ramionach, tudzież obustronne ręce-służebnice były nam po to dane, żebyśmy mogli czynić to, co jest potrzebne do życia. I wszystkie inne opaczne tłumaczenia tego rodzaju, wszystkie bez wyjątku, polegają na przekręconym rozumowaniu, ponieważ nic się nie zrodziło w naszym ciele w tym celu, żebyśmy tego mogli używać, lecz to, co się zrodziło, stwarza swój użytek. I nie było widzenia, zanim światło ócz powstało, ani też nie było żadnego mówienia, zanim powstał język, lecz raczej język wyprzedził na długo mowę swoim początkiem. I o wiele wcześniej zrodziły się uszy, nim głos usłyszano, i wszystkie po prostu członki były pierwej, jak mniemam, niźli ich użycie. Nie mogły więc powstać gwoli ich używania. Lecz z drugiej strony boje i bójki, staczane na pięści, rozrywanie członków i plugawienie ciał posoką, wszystko to było daleko wcześniej, niż jasne latały pociski. I pierwej zniewoliła natura, aby ran unikać, niż lewica użyczyła sztucznej zasłony tarczą. I było oczywiście rzeczą o wiele dawniejszą kłaść na spoczynek uznojone ciało, niż ścielić mięk-

kie łoże, a także gaszenie pragnienia zrodziło się przed pucharami. Można więc wierzyć, że rzeczy, które odkryto zgodnie z potrzebą życiową, poznano gwoli używania. Lecz osobno idą te wszystkie, które najpierw powstały, a potem dopiero objawiły swój pożytek. Do nich należą w pierwszym rzędzie, jak widzimy, zmysły i członki. A zatem, powtarzam raz jeszcze, nie ma ani źdźbła prawdopodobieństwa, by mogły się zrodzić dla swego pożytku. (823–857)

Nie należy się również dziwić, że cielesna natura każdego stworzenia szuka sama pokarmu. Oto wykazałem, że wiele ciałek upływa i uchodzi z rzeczy na wiele sposobów. Najwięcej jednak musi uchodzić z żywych stworzeń. Ciałka są w ciągłym ruchu, więc wiele ich wydechują przez usta, kiedy dyszą ze zmęczenia, a także razem z potem wypływa ich wiele wyciśniętych z głębi. Z tych tedy przyczyn ciało rzednie i cała natura traci swą ostoję, za tym zaś idzie ból. Przeto chłonie się pokarm, by podpierał członki, orzeźwiał siły po rozdzieleniu i swą zawartością zatykał otwory, żądne jedzenia, po członkach i żyłach. Napój rozlewa się również po wszystkich miejscach pożądających napoju. I liczne skupienia ciałek gorąca, które w naszym gardle rozniecają pożar, rozpędza nadpływająca ciecz i je gasi, jak ogień, tak iż suchy żar nie może dłużej palić członków. Tak ci się więc zmywa dyszące pragnienie z naszego ciała, tak się daje uśmierzyć głodna żądza. (858–876)

A teraz powiem, jak się to dzieje, że możemy stawiać kroki, kiedy chcemy, i że wolno jest rozmaicie poruszać członkami, oraz jaka rzecz ten tak wielki ciężar naszego ciała nawykła popychać. Ty słów mych posłuchaj z uwagą! Powiadam, po pierwsze, że wizerunki chodzenia nadarzają się naszemu duchowi i potrącają ducha, jak przedtem rzekliśmy. Za czym powstaje wola. Nikt bowiem nie poczyna żadnej rzeczy, zanim umysł naprzód nie zobaczy, czego chce. Tym, co widzi naprzód, jest właśnie podobizna tej rzeczy. Gdy więc duch wzrusza się w ten sposób, iż chce iść i wystąpić, uderza natychmiast o moc duszy, która jest rozmieszczona w całym ciele po członkach i stawach. Zrobić to łatwo, ponieważ pozostaje w ścisłym związku. Następnie ona z kolei uderza o ciało i tak z wolna daje się pchnąć i poruszyć cała bryła. Ponadto rzednie wówczas także ciało, a powietrze, jak oczywiście musi, skoro jest w ciągłym ruchu, wchodzi obficie przez rozwarte otwory i wnika do środka. W ten sposób rozprasza się po każdej najdrobniejszej cząstce ciała. Zatem skutkiem tych dwóch przyczyn działających obustronnie płynie ciało, jak okręt na żaglach i wietrze. I nie trzeba w tych rzeczach dziwić się temu, że tak maleńkie ciałka mogą tak wielkim ciałem kierować i cały ciężar obracać. Wszak oto wiatr o ciele cienkim i delikatnym pcha swoim pędem wielki okręt o wielkich rozmiarach, a jedna dłoń nim kieruje, choćby nie wiedzieć jak pędził, i jeden ster go skręca, gdzie wola. Wiele wielkich ciężarów porusza także i łatwym wysiłkiem unosi w górę dźwignia za pomocą wyciągów i kołowrotów. (877–906)

A teraz jakim sposobem ów sen rozlewa po członkach spoczynek i troski ducha precz usuwa z piersi, słodkodźwięcznymi raczej niż długimi wypowiem wierszami, jako że lepsza jest cicha pieśń łabędzia niż ów wrzask żurawi, rozbrzmiewający wśród eterycznych chmur południowych. A ty mi użycz cienkich uszu i bystrej uwagi, żeby nie zaprzeczać zaraz możliwości tego, co powiem, i żebyś nie odszedł z piersią odpychającą słowa prawdy, sam ponosząc winę swojej niemocy widzenia! Sen nadchodzi, po pierwsze, kiedy siła duszy rozprzęgnie się po członkach i czę-

ścią ustąpi na zewnątrz wyparta, a częścią zepchnięta głębiej zstąpi do wnętrza. Bo dopiero wówczas rozprężają się członki i mdleją. Niewątpliwą bowiem jest rzeczą, że za sprawą duszy jest w nas nasze czucie. Skoro więc sen mu byt odejmuje, to sądzić należy, że nasza dusza została zakłócona i wyparta na zewnątrz. Nie cała! Albowiem ciało leżałoby zmrożone wiecznym chłodem śmierci. I gdyby zaiste żadna część duszy nie pozostała w członkach w ukryciu na podobieństwo iskry, ukrytej pod obfitą warstwą popiołu, to skąd mogłoby czucie rozdmuchiwać się nagle po członkach na podobieństwo płomienia, co wybucha z niewidocznego ogniska? (907–928)

Lecz wytłumaczę, z jakich przyczyn ten nowy stan powstaje i skąd może dusza popadać w zamęt, a ciało w omdlenie, ty zaś zrób tak, żebym słów na wiatr nie rzucał! Po pierwsze, ciało sąsiadujące z wiewami powietrza musi od zewnętrznej strony doznawać odeń uderzeń i znosić grad ciosów. Z tego powodu prawie wszystkie rzeczy są pokryte albo twardą skórą, albo skorupą, albo rogową powłoką, albo korą. U oddychających to samo powietrze chłosta także wewnętrzną stronę podczas wdechu i wydechu. Dlatego, skoro ciało z obydwóch stron doznaje bicia i skoro uderzenia wnikają nam przez małe otworki aż do pierwszych cząstek ciała i do pierwszych drobin, następuje jakby powolny upadek po członkach. Doznają bowiem zakłócenia układy cielesnych i duchowych zaczątków. Za czym część duszy zostaje wygnana, część uchodzi do wewnętrznej kryjówki, a część jeszcze inna, rozdzielona po członkach, nie może mieć łączności pomiędzy sobą ni wzajemnego wykonywać ruchu, albowiem natura zagradza drogi do zrzeszeń. Więc czucie skutkiem zmiany ruchów odchodzi do głębi. I ponieważ nie ma tego czegoś, co podpiera członki, ciało słabnie i mdleją wszystkie członki. Opadają ramiona i powieki, a nawet słaniają się często kolana mimo leżenia i tracą swą siłę. Nadchodzi dalej sen po posiłku, ponieważ posiłek, rozchodząc się po wszystkich członkach, sprawia to samo, co powietrze. I ten sen jest najcięższy, jakiego zaznajesz syty lub strudzony, ponieważ wówczas popada w zamęt najwięcej ciałek z powodu silnych ciosów i wielkiego trudu. Z tej samej przyczyny dusza pogrąża się częścią głębiej, częścią obficiej wydala się na zewnątrz, a w pośrodku jest bardziej pomiędzy sobą rozdzielona i rozdarta. (929–961)

I jakim pragnieniem ktoś pała na ogół lub na jakich rzeczach dużo przedtem strawiliśmy czasu i w tym kierunku umysł więcej się wytężył, tymi samymi rzeczami zajmujemy się najczęściej w sennych przywidzeniach. Wydaje się rzecznikom, że prowadzą spory i zawierają prawne układy, wodzom, że walczą i staczają bitwy, żeglarzom, że wiodą swój bój dobrowolny z wichrami, nam zaś się wydaje, że pełnimy nasze dzieło i wciąż dociekamy rzeczywistości i nasze zdobycze ogłaszamy na ojczystych kartach. W ten sposób, jak widzimy, także wszystkie inne pragnienia i zajęcia łudzą daremnie ludzi bardzo często we śnie. I bardzo często widzimy, że tym, co wiele dni po kolei poświęcali pilnie widowiskom, mimo że już przestali ujmować je zmysłami, pozostają jednak otwarte drogi w umyśle, którędy mogą przybywać te same wizerunki rzeczy. A więc krążą bez zmiany przez wiele dni przed oczyma, tak iż tym ludziom nawet na jawie się wydaje, że widzą tancerzy, jak miękko ruszają członkami, że słyszą na własne uszy dźwięczną pieśń lutni i gadające struny oraz patrzą na to samo koło widzów i równocześnie na uroczy przepych barwnej sceny. Aż tak wielką wagę ma zamiłowanie i wola tudzież to, jakimi rzeczami ktoś się przywykł zaj-

mować, i to nie tylko ludzie, lecz nawet wszelakie zwierzęta. Zobaczysz oto, że we śnie dzielne rumaki, choć członki leżą spokojnie, będą się jednak pocić i dyszeć bez końca i jakby ostatkiem sił dobywać palmy lub jakby po otwarciu szranek...[13] Psy myśliwskie często rzucą nagle łapami mimo miękkiego spoczynku i naraz dobywają głosu i pilnie wciągają nozdrzami powiewy, jakby znalazły tropy dzikich zwierząt. A kiedy się zbudzą, pędzą nieraz za płonnymi wizerunkami jeleni, jak gdyby je widziały w gwałtownej ucieczce, aż w końcu przyjdą do siebie, rozprószywszy złudę. Obłaskawiony zaś chów wiernych psów domowych spiesznie się otrząsa i z ziemi zrywa, jakby na widok nieznanych lic i twarzy. I im są które sierdzistsze spomiędzy pomiotów, tym bardziej muszą się srożyć we śnie. Uciekają natomiast rozmaite ptaki i w nocnej porze nagle niepokoją gaje bogów łomotem swych skrzydeł, jeśli we śnie błogim widzą się im walki i boje nadlatujących w pościgu jastrzębi. A dalej umysły ludzi, które wielkimi ruchami wydają wielkie czyny, często tak samo czynią i działają we śnie. Królowie zdobywają miasta, dostają się do niewoli, staczają bitwy, podnoszą krzyk, jakby ich zarzynano na miejscu. Wielu walczy ostatkiem sił, jęczy z bólu, wszystko napełnia okropnym krzykiem, jakby ich miażdżyły kły pantery lub srogiego lwa. Wielu rozpowiada we śnie o ważnych sprawach i – byli już bardzo często zdrajcy swojej własnej zbrodni. Wielu ponosi męki konania. Wielu, jakby spadając całym ciałem na ziemię z gór wysokich, doznaje przestrachu i jakby poszaleli ledwie że ze snu wracają do siebie, na wskroś przejęci wstrząsem ciała. Siada również spra-

[13] W wierszu 990 dwa ostatnie wyrazy *saepe quiete*, przekazane przez kodeksy, są niewątpliwie błędne, ale błędu nie udało się dotąd poprawić.

gniony koło strumienia lub koło uroczej krynicy i chłonie gardłem bodaj całą rzekę. Często dzieci wierzą w sennym omamieniu, że unoszą sukienki, jakby obok gnojówki lub niskich kubłów, i wypuszczają wszystek mocz z całego ciała, a tymczasem mokną babilońskie kobierce[14] o przepysznym blasku. A tych następnie, w których przełomowy okres wnika po raz pierwszy nasienie, skoro je w ciele utworzy sam wiek dojrzały, nawiedzają z zewnątrz wizerunki z jakiego bądź ciała, kusząc cudnym obliczem i prześlicznym rumieńcem, co drażni swą podnietą miejsca, napęczniałe obfitością nasienia, aż jakby już po dopełnieniu wszystkiego, tryskają ogromnymi strugami i krwawią odzienie. (962–1036)

Skoro tylko wiek ukrzepi członki, zaraz się w nas niepokoi to nasienie, o którym przedtem rzekliśmy. Oto jak różna przyczyna wzrusza i drażni różne rzeczy, tak z człowieka ludzka siła jedynie wywabia nasienie. Skoro więc wychodzi, wyparte ze swych siedzib, zaraz wylega z całego ciała przez członki i stawy, gromadzi się w służących do tego ośrodkach mięśniowych i podnieca natychmiast właściwe, rodne części ciała. Pęcznieją nasieniem podrażnione miejsca i powstaje wola, by nim trysnąć tam, gdzie się pręży okrutna chuć, a także ciało godzi tam, skąd umysł odebrał miłosną ranę. Przecież wszyscy padają najczęściej na ranę i krew w tę stronę bryzga, skąd cios nas uderzy, i czerwony strumień broczy wroga, jeśli jest blisko. Kto więc zbiera rany od pocisków Wenery, czy to kusi go chłopak kobiecymi kształtami, czy też kobieta z całego ciała zionąca miłością, ten dąży tam, skąd odbiera razy, pragnie

[14] Prastare miasto Babilon, położone nad rzeką Eufratem, słynęło z wyrobu wzorzystych, kosztownych tkanin, szczególnie kobierców.

się zespolić i zebraną z ciała cieczą trysnąć do ciała, albowiem oniemiała żądza wróży rozkosz. (1037–1057)

Oto jest nasza Wenus! Stąd zaś pochodzi imię miłości, stąd po raz pierwszy spłynęła do serca owa kropla słodyczy Wenery i nastał mroźny niepokój. Bo choć nieobecny jest przedmiot twoich zapałów, to jednak jego wizerunki nie dają ci spokoju i słodkie imię dzwoni ci w uszach. Lecz trzeba unikać wizerunków i obrzydzać sobie żery miłości, i umysł zwracać gdzie indziej, i rzucać zebraną ciecz w jakiekolwiek ciała, a nie zatrzymywać, zadurzywszy się w stałej miłości, i sobie samemu hodować zgryzotę i ból niezawodny. Jątrzy się bowiem i zadawnia wrzód, gdy go żywić. Z dnia na dzień wzmaga się szaleństwo i ciężkie strapienie, jeśli zaraz z początku ran nie znieczulasz nowymi ciosami i, póki świeże, nie leczysz ich zawczasu przygodnie przy pomocy przygodnej Wenery i jeśli nie zdołasz skierować ruchów ducha gdzie indziej. (1058–1072)

I nie pozbawia się ten owocu Wenery, kto unika miłości, lecz raczej zbiera róże bez kolców, albowiem z pewnością czystszą mają z niej rozkosz zdrowi na umyśle niźli szaleńcy. Oto w samejże nawet chwili posiadania błądzi po niepewnych manowcach żar kochanków. Nie wiedzą, czym mają najpierw oczy i ręce nasycić. Cel swoich pragnień cisną z całej mocy i ciału ból zadają. Często wbijają zęby w biedne wargi i miażdżą usta w pocałunkach, bo nie jest to czysta rozkosz, lecz ukryte żądła każą bez żadnego względu ranić to właśnie, skąd pochodzą owe rozsadniki wściekłego szaleństwa. Lecz pośród miłosnych zabiegów łatwo Wenus uśmierza katusze i błoga domieszka rozkoszy powściąga kąsanie, albowiem przyświeca nadzieja, że z tego samego ciała, skąd żar pochodzi, da się także płomień ugasić. Lecz temu rzeczywistość zadaje kłam całkowicie. I jest to rzecz jedyna, którą im więcej się sycimy, tym potężniej gore pierś okrutną żądzą. Oto pokarm i napój przyjmuje się do wnętrza ciała, a ponieważ mogą zapełnić pewne części, przeto łatwo jest zaspokoić żądzę napoju i jadła. Lecz z ludzkiej twarzy i ślicznych rumieńców nic nie zyskuje ciało prócz cieniuchnych wizerunków, a jeszcze tę opłakaną nadzieję porywa często wicher. I jak kiedy ktoś we śnie spragniony pić pragnie i nie dostaje napoju, którym by zdołał ugasić żar w ciele, lecz łowiąc wizerunki wód daremnie się trudzi i ginie z pragnienia w pośrodku wartkiej rzeki, pomimo że pije, tak Wenus w miłości łudzi zakochanych wizerunkami. Nie mogą się nasycić patrzeniem na siebie z bliska ani też, błądząc niepewnie rękoma po całym ciele, nie mogą niczego uszczknąć z delikatnych członków. Gdy wreszcie zespoliwszy członki zażywają kwiatu młodości, kiedy już ciało drży w oczekiwaniu rozkoszy, a Wenus za chwilę ma zasiać kobiecą rolę, duszą się w żądnym uścisku, ślinią sobie usta i dyszą wzajemnie, wpijając zęby w wargi. Daremnie! Albowiem niczego stąd nie mogą uszczknąć ni się wedrzeć i całym ciałem w ciele się pogrążyć. Bo nieraz się zdaje, jakby chcieli to zrobić koniecznie. Z taką zajadłością tkwią w pętach Wenery, a tymczasem członki, zmożone mocą rozkoszy, tracą sok i prężność. Skoro się wreszcie wysili żądza, nagromadzona w mięśniach, następuje na chwilę krótka przerwa w gwałtownym zapale. Potem ta sama wściekłość powraca i ów szał znowu nawiedza, kiedy sami nie wiedzą, czym zaspokoić swą żądzę, i nie mogą wynaleźć sposobu, by to zło zwyciężyć. Aż do tego stopnia krwawią bezradni z niewidzialnej rany. (1073–1120)

Dodaj, że trawią swe siły i giną z umęczenia, dodaj, że pod cudzym jarzmem mija żywot. Tymczasem puszcza się

majątek na babilońskie makaty, w kąt idą obowiązki, a dobra sława chwieje się i cierpi. Maści, na nogach zaś śliczne ciżmy sykiońskie[15] błyszczą oczywiście, wielkie szmaragdy o zielonym blasku oprawia się w złoto, a suknię morskiego koloru nosi się na codzień i nasiąka, biedna, znojem Wenery. Zacnie zdobyta ojcowizna idzie na diademy i przepaski, a niekiedy zmienia się w zbytkowną szatę i w stroje z Kos i z Alindy[16]. Uczty, przepych zastawy i potraw, rozrywki, liczne puchary, maści, wieńce, girlandy są przygotowane, ale daremnie, bo oto ze środka krynicy uciech wyłania się jakaś gorycz, co dusi pośród kwiecia, czy to kiedy umysł, świadom swojej winy, sam się może gryzie, że pędzi gnuśne życie i gnije w rozpuście, czy też dlatego, że ukochana rzuciła jakieś niebaczne i niejasne słówko, które czepia się rozgorzałego serca i pali żywym ogniem, albo ponieważ na myśl mu przychodzi, że zbytnio strzela oczyma i patrzy na innego, dostrzega na jej twarzy ślady zalotnego uśmiechu. (1121–1140)

A te utrapienia znajdują się we wzajemnej i nad wyraz szczęśliwej miłości! W nieszczęśliwej zaś i jałowej jest ich bez liku, i to takich, iż możesz je namacać z zamkniętymi oczyma. Więc lepiej jest czuwać zawczasu w sposób, jaki podałem, i strzec się przynęty. Nie tak bowiem jest trudno zważać, byśmy nie popadli w matnię miłosną, jak wyjść złapanemu z sieci i stargać potężne węzły Wenery. A jednak i uwikłany, i omotany, możesz jeszcze uniknąć zguby,

[15] W Sykionie (na Peloponezie) wyrabiano luksusowe obuwie. Lukrecjusz porównuje (złośliwie) błysk tego obuwia z błyskiem pachnących maści na nogach i na głowie.

[16] Na wyspie Kos wyrabiano drogocenne, przejrzyste tkaniny jedwabne. Prawdopodobnie wyrabiano je także w nieznanym nam bliżej mieście Alinda w Karii.

jeśli sam sobie w drodze nie staniesz i jeśli nie będziesz patrzeć przez palce na wszelkie wady przede wszystkim ducha, a także ciała tej, której pragniesz i pożądasz. Albowiem mężczyzn zaślepia najczęściej namiętność i upatrują w kochankach zalety, jakich te nie posiadają naprawdę. Widzimy więc, jak różne okazy zniekształceń i brzydoty znajdują zagorzałych wielbicieli i zażywają niezmiernej czci. I jedni podrwiwają z drugich, dając im radę, by przebłagali Wenerę, ponieważ trapi ich haniebna miłość, a sami nie widzą swoich, często największych nieszczęść, nieboracy! Czarne straszydło zowie się pierniczkiem[17], kopciuszkiem brudna i śmierdząca, kociooka boskim koteczkiem, sucha i twarda jak drewno – sarenką, mały karzeł uosobieniem wdzięku, czystą iskierką dowcipu, wielki zaś potwór cudem przyrody i podziwem świata. Sepleni, nie wykrztusi słowa, tedy świergota, niemowa pełna jest skromności, a znowu pusta, naprzykrzona, kłapiąca bez przerwy staje się sroczką. Umiłowanym niebożątkiem staje się wówczas, gdy jest chudą marą, a smukłą trzcinką ta, co już prawie wykaszlała duszę. Opasła i piersista znowu to istna Ceres od Iakcha[18], ta, co nos ma spłaszczony, jest córeczką Sylena[19], siostrzyczką satyrów, a ta, której wargi wiszą, całuje się słodko. Zbyt długo by trwało, gdybym chciał wyliczać resztę podobnych omamień. Niechże już zresztą będzie

[17] Lukrecjusz korzysta z greckich źródeł (prawdopodobnie z komedii), bo pieszczotliwe nazwy, jakich używa, są greckie (w przekładzie zostały spolszczone).

[18] *Iakchos*, bóstwo występujące w eleuzyńskich misteriach Demetry (Cerery) i jej córki, Kory. Lukrecjusz uważa Iakchosa za syna (karmiącej go) Demetry.

[19] *Sylen*, pomniejszy bóg, popularny towarzysz i wychowawca Dionizosa, pozostaje w ścisłym związku z satyrami. Sylena wyobrażano sobie w postaci łysego i grubego starca ze spłaszczonym nosem.

sobie panią najcudniejszego oblicza, niechaj czar Wenery promienieje ze wszystkich jej członków, to przecież są jeszcze inne, to przecież bez niej przedtem żyliśmy, to przecież robi wszystko tak samo, jak wiemy, że robią brzydule, i podkadza się wstrętnymi zapachami biedna pani, której z daleka schodzą z drogi służebnice, chichocząc ukradkiem. Lecz zapłakany kochanek często za drzwiami wystaje, wieńczy kwiatami i wieńcami progi, namaszcza dumne odrzwia majerankiem i na podwojach wyciska, biedny, pocałunki. Gdyby go już wpuszczono i gdyby tak nadchodzącego jeden tylko wiaterek uderzył, to szukałby przyzwoitych pozorów odejścia i wypadłaby mu z pamięci długo ćwiczona i z głębi dobyta skarga miłosna i przeklinałby swą własną głupotę widząc, że ubóstwiał ją więcej, niźli przystoi ziemiance. I dobrze o tym wiedzą nasze piękne zwodnice, a więc tym usilniej starają się zataić owe zakamarki życia przed tymi, których pragną utrzymać i przykuć do siebie miłością. Daremnie! Bo możesz przecie duchem wszystko wyciągnąć na światło i wszystkie wybadać śmieszności, z drugiej zaś strony, jeżeli ma piękną duszę i nie budzi wstrętu, darować i zniżyć się do ludzkiego poziomu. (1141–1191)

I nie zawsze wzdycha kobieta udaną miłością, kiedy tuli i ciśnie do łona ciało mężczyzny i ssie mokrymi wargami długie pocałunki. Albowiem często robi to szczerze i w poszukiwaniu wspólnej rozkoszy zależy jej na tym, by dobiec do kresu miłosnych zabiegów. Inaczej ni ptaki, ni stada, ni dzikie zwierzęta, ni trzody, ni klacze nie dałyby się samcom nakrywać, gdyby nie ten powód, że korci je ich własna, jurna, ognista natura i wdzięcznie podejmuje chuć wyskakujących samców. Czy nie widzisz także, jakich często katuszy doznają jeńcy wzajemnej rozkoszy we wspólnych więzach? Jakże często na rozstajnych drogach

prą psy w przeciwne strony ze wszystkich sił, pragnąc się gwałtem rozerwać, a tymczasem tkwią w potężnych pętach Wenery! Nigdy by tego nie robiły, gdyby nie były zaznały wzajemnych uciech, tak silnych, iż pchają je w sidła i dzierżą w więzach. A zatem powtarzam raz jeszcze i twierdzę stanowczo, że rozkosz jest obopólna. (1192–1208)

I jeśli kobieta w chwili mieszania nasienia nagłą siłą zwycięży męską siłę i porwie za sobą, wówczas z matczynego nasienia rodzą się dzieci, podobne do matek, jak z ojcowskiego do ojców. A te znowu dzieci, w których widać podwójne podobieństwo i które w sobie mieszają na równi oblicza rodziców, powstają z krwi i ciała tak ojca, jak matki, kiedy nasiona, dobyte z członków bodźcami Wenery, zderzy ze sobą żar zgodny i wzajemny, a żadne z nich ani nie zwyciężyło, ani też nie zostało zwyciężone. Niekiedy mogą rodzić się dzieci podobne do dziadów, nieraz zaś odtwarzają kształty pradziadów, a to dlatego, iż rodzice kryją często w swym ciele wiele na wiele sposobów pomieszanych zarodków, które ojcowie przekazują ojcom jako wspólne dziedzictwo rodu. Z nich to urabia twórcza Wenus rozmaite kształty, odtwarza rysy przodków, ich mowę i włosy, bo te rzeczy pochodzą tak samo z danego nasienia, jak nasze twarze i ciała, i członki. A jak z ojcowskiego nasienia powstaje żeńskie plemię, tak rodzą się chłopcy z matczynego ciała, albowiem każdy płód polega na dwoistości nasienia i do kogo jest bardziej podobne, cokolwiek się rodzi, z tego ma więcej niźli połowę. I można rozeznać, czy to jest męskie potomstwo, czy też kobieca spuścizna. (1209–1232)

Nikomu jednak straszne moce bogów nie grabią płodności, żeby go słodkie dziatki nigdy nie mogły nazwać ojcem i żeby w jałowej Wenerze pędził żywot. A myśli tak bardzo wielu i w swym przygnębieniu zlewa strumieniami

krwi ołtarze i pali czesne dary na ofiarnych stołach, by zapłodnić swe żony obficie tryskającym nasieniem. Daremnie się naprzykrzają możnym bogom i wyroczniom. Albowiem są niepłodni częścią z powodu zbyt tęgiego nasienia, a częścią z powodu nadmiernie płynnego i nikłego. Nikłe, nie mogąc się uczepić miejsc przeznaczonych, spływa natychmiast i poronione wycieka z powrotem. Tęższe zaś znowu nasienie tryska u tamtych w zbyt gęstym skupieniu i albo nie wylatuje z tak dalekonośnym uderzeniem, albo do miejsc przeznaczonych wniknąć nie może, albo wnikło wprawdzie, ale z nasieniem kobiecym trudno się miesza. Skojarzenia Wenery okazują się bowiem bardzo różne. I łatwiej zapładniają inni inne tudzież inne od innych łatwiej zastępują i zachodzą w ciążę. I wiele kobiet przeszło przez kilka bezpłodnych małżeństw, aż im się w końcu takie skojarzyło, w którym mogły mieć dzieci i wzbogacić się słodkim potomstwem. A i ci, którym często płodne w poprzednim stadle małżonki rodzić nie mogły, znaleźli sobie pokrewną przyrodę i mogli w końcu starość uwarować dziatwą. Aż tak ważną jest rzeczą, żeby z nasionami mogły się mieszać nasiona, zdatne do rodnego związku. Z ciekłymi zaś schodzą się tęgie, a z tęgimi ciekłe. A wielkie ma tu także znaczenie, jakim pokarmem życie krzepić. Albowiem od jednych rzeczy zagęszczają się w ciele nasiona, a od innych znowu rzedną i ulegają rozcieńczeniu. I to ma także ogromną wagę, w jaki sposób docierać do lubej rozkoszy. Przecież myśli się bardzo często, że żony obyczajem dzikich zwierząt i na modłę czworonogów łatwiej zastępują, ponieważ w ten sposób, gdy piersi są na dole, a pośladki sterczą do góry, mogą nasiona łatwo trafiać na właściwe miejsca. Lecz wyuzdanych ruchów żonom nie potrzeba zgoła. Albowiem przeszkadza sobie nawet w zapłodnieniu kobieta i stawia opór, jeśli pośladkami przejmuje lubieżnie skurcze mężczyzny i całą bezkostną piersią ssie tryskające nasienie, ponieważ wytrąca swą bruzdę z prostego kierunku i drogi pługa, tudzież odwraca od właściwych miejsc uderzenie nasienia. I przez wzgląd na siebie korzystają z tych ruchów zwykle nierządnice, aby nie zachodziły zbytnio w ciążę i nie leżały brzemienne oraz by sama rozkosz była sposobniejsza dla mężczyzn. Lecz zdaje się, że tego naszym małżonkom nie potrzeba zgoła. (1233–1277)

Zdarza się czasem, ale nie z bożego zrządzenia ani przez strzały Wenery, że bywa kochana kobiecina mniej pięknej postaci. Sama bowiem niewiasta sprawia nieraz swym postępowaniem, jako też grzecznym obejściem i schludnością ciała, że łatwo się przyzwyczajasz dzielić z nią życie. A zresztą przyzwyczajenie kojarzy miłość. Bo co często doznaje ciosów, choćby bardzo lekko zadawanych, daje się po długim czasie pokonać i w końcu ulega. Zali nie widzisz tych kropli wodnych, co kapią na głazy i po czasie długim wiercą je na wskroś? (1278–1287).

KSIĘGA PIĄTA

Któż jest zdolen wznieść z potężnej piersi pieśń godną wzniosłości rzeczy i tych odkryć lub któż ma tyle nad słowami mocy, by godnie sławić zasługi onego męża[1], co nam pozostawił tak wspaniałe zdobycze swego natchnienia i swych poszukiwań? Nie będzie to, sądzę, nikt ulepiony ze śmiertelnego ciała! Bo jeśli trzeba rzec słowo, jakiego żąda sama prawd dostojność, to był on bogiem, bogiem był, o przesławny Memmiuszu, on, co pierwszy wynalazł ten sposób żywota, który się teraz nazywa mądrością, i co swoją sztuką z takich odmętów i z takich ciemności wydobył życie na toń tak spokojną i na taką jasność! Porównaj bowiem dawne, boskie wynalazki innych: oto miała Ceres sprawić ludziom zboża, a Liber[2] zdrój winnego soku, ale bez tych rzeczy życie mogłoby się obyć, tak jak to jeszcze teraz żyją – wedle wieści – pewne narody. Bez czystej piersi nie można jednak żyć godziwie. A zatem z większą słusznością widzimy boga w tym, za którego sprawą aż po dzień dzisiejszy koją umysł słodkie pociechy żywota, rozpowszechnione po wielkich narodach. Jeśli zaś myślisz, że wyżej stoją czyny Herkulesa[3], to jeszcze dalej odbiegasz od prawdy. Cóż by nam bowiem wadził teraz ów lew nemejski[4] i jego potworna paszczęka lub szczeciniasty dzik arkadyjski? Cóż by zdziałał byk kreteński lub wraża hydra lernejska ze swym wałem jadowitych węży? Cóż trójpiersna moc troistego Gerionesa[5]. . . . . .
tak wielce szkodziłyby nam stymfalijskie mieszkanki i konie trackiego Diomedesa, ziejące z nozdrzy ogniem gdzieś koło szlaków bistońskich i koło Ismaru? A stróż złotych, błyszczących jabłek hesperyd, srogi, groźnie spozierający gad, cóż by nam wadził, otoczywszy swym olbrzymim cielskiem pień drzewa, gdzieś koło Atlasowego Wybrzeża i rozgłośnych mórz, dokąd ani nikt nie zapędza się z naszych,

[1] Mianowicie Epikura (por. III 1 n.).

[2] *Liber*, prastare bóstwo italskie, utożsamione później z greckim Dionizosem (Bakchusem).

[3] Lukrecjusz, stawiając wyżej Epikura niż mitycznego dobroczyńcę ludzkości, Herkulesa (Heraklesa), którego wielbili stoicy (i cynicy), występuje przeciwko stoikom i ich nauce, rywalizującej z nauką jego mistrza.

[4] Zabicie lwa nemejskiego było pierwszą pracą z tzw. dwunastu prac Heraklesa. Lukrecjusz mówi o nich w taki sposób, iż ich prawdopodobieństwo stale maleje. Więc po lwie, odyńcu i byku kreteńskim następuje wielogłowa hydra lernejska, po niej olbrzymi, zrośnięty z trzech ciał ludzkich Geriones, po nim drapieżne ptaki, które posiadały dzioby, szpony i pióra ze spiżu i które miały przebywać w okolicy Stymfalijskiego Jeziora w Arkadii, po nich ziejące ogniem (i żywiące się mięsem ludzkim) klacze króla Diomedesa w kraju Bistonów (gdzie znajdowała się góra Ismarus), a wreszcie czytamy o złotych jabłkach na drzewie (życia), strzeżonym przez potwornego węża (Ladona) i przez hesperydy (mieszkanki „dalekiego zachodu"). Jest rzeczą znamienną, że Lukrecjusz nie przeciąga struny i nie wymienia ostatniej i najbardziej nieprawdopodobnej pracy Heraklesa, a mianowicie sprowadzenia na ziemię Cerbera (por. III 1011 n.).

[5] Przekazane w kodeksach wiersze 29–31 sprawiają trudności. Munro przyjmuje słusznie, jak sądzę, „lukę" po w. 28 i zamieszcza w. 29 po w. 30.

ani żaden barbarzyńca zapędzać się nie śmie? I reszta tych wytępionych potworów gdyby nie doznała klęski, to cóż by, no cóż by nam żywa szkodziła? Nic, jak mniemam! Przecież jeszcze i teraz roi się do syta ziemia od dzikich zwierząt i pełno jest trwożnego popłochu po lasach, wyniosłych górach i przepastnych kniejach. Możemy jednak najczęściej tych miejsc unikać! Atoli, jeśli pierś nie jest oczyszczona, w jakie wtedy walki i niebezpieczeństwa musimy popaść po niewoli! Jakie wtedy troski przeraźliwej żądzy rozdzierają zrozpaczonego człowieka i jakie również strachy! A cóż pycha, brud i wyuzdanie? Jakie sprowadzają klęski! Cóż zbytki i próżniactwo? Zali więc jego, co zmógł to wszystko i wypędził z ducha nie bronią, lecz słowami, nie przystoi uznać godnym rzędu bogów? Przecież o nieśmiertelnych właśnie bogach miał zwyczaj wydawać wiele znakomitych i boskich orzeczeń tudzież całą rzeczywistość wyjawiać słowami. (1–54)

W jego ja ślady wstąpiłem i idąc szlakiem wywodów uczę w mych słowach, jak konieczną jest rzeczą, by wszystko, co się zrodziło, trwało według tego układu, pod którym zostało zrodzone, i jak nic nie może zrywać potężnych wyroków swego doczesnego bytu. Taka okazała się przede wszystkim natura ducha. Poczęta, składa się, po pierwsze, z ciała zrodzonego tudzież nie może trwać przez długie wieki bez naruszenia. Lecz zwyczajnie łudzą umysł w snach wizerunki, kiedy się nam zdaje, że patrzymy na tego, kogo opuściło życie. A teraz tu mnie z kolei przywiódł tok rozumowania, gdzie czas wytłumaczyć, że świat składa się z ciała śmiertelnego oraz że jest zrodzony. A dalej, jakim sposobem ów zbiór materii utwierdził ziemię, niebo, morze, gwiazdy, słońce i krąg księżyca. Następnie, jakie stworzenia z ziemi powstały i jakie nie narodziły się nigdy tudzież

jakim sposobem począł ród ludzki krzepić i posługiwać się pomiędzy sobą rozmaitą gwarą przez imiona rzeczy i w jaki sposób wśliznął się do piersi ów strach przed bogami, co na ziemskim kręgu otacza opieką chramy, jeziora, gaje, ołtarze i wizerunki bogów. Wyjaśnię nadto, jaką mocą natura kieruje i skręca biegi słońca i drogi księżyca, abyśmy nie sądzili przypadkiem, że one bujając swobodnie pomiędzy niebem a ziemią z własnej chęci dokonują swych rokrocznych biegów gwoli wzrostu zbóż i stworzeń, lub żebyśmy nie myśleli, jakoby toczyły się skutkiem jakiegoś wyroku bogów. Albowiem nawet ci, co dobrze pojęli naukę o beztroskim bycie bogów – dziwiąc się czasem, w jaki sposób wszystko może dochodzić do skutku, zwłaszcza w tych rzeczach, które widnieją ponad głową w eterycznych kresach, popadają z powrotem w dawne zabobony i biorą na się okrutnych ciemięzców, w których wszechmoc wierzą nieszczęśliwi, nie zdając sobie sprawy, co może być, a co nie może, z jakiej po prostu przyczyny każda rzecz ma moc ograniczoną i kres głęboko tkwiący. (55–90)

Żeby cię zatem dłużej nie mitrężyć zapowiedziami, to pojrzyj najpierw na morze i ziemię, i niebo! Ich naturę trojaką, trzy ciała, trzy tak niepodobne do siebie postaci, trzy takowe przędze jeden dzień, o Memmiuszu, porazi zagłada! I oto padnie przez długie podtrzymywan lata ten świat ogromny ze swym urządzeniem. I wiem ja dobrze, jak dziwna i nowa wyda się umysłowi ta przyszła zagłada nieba i ziemi, i jak mi trudno będzie wykazać to w słowach. Tak zawsze bywa, gdy rzecz niezwyczajną przynosisz uszom, a nie możesz jej poddać pod badanie oczu ni włożyć do ręki, którędy wiedzie najpewniejsza i najbliższa droga do ludzkiej piersi i do przybytków umysłu. Ale i tak obwieszczę! Słowa może sama rzecz potwierdzi i ujrzysz, jak za

małą chwilę, po nastaniu ciężkich trzęsień ziemi, wszystko zostanie strzaskane. Lecz oby to od nas daleko odwrócił los sterujący i niechaj nas raczej rzeczność niźli rzecz przekona, że wszystko może ulec i rozpaść się w gruzy ze straszliwym łoskotem. (91–109)

A zanim poczne w tej sprawie wydawać wyroki o wiele świętsze i pewniejsze od tych, jakie Pytia wieszczy z trójnogu i lauru Febusa, wiele ci dodam pociechy uczonymi słowy, żebyś przypadkiem nie sądził w religijnym zaślepieniu, jakoby ziemia, słońce, niebo, morze, gwiazdy i księżyc musiały trwać wiecznie ze swym boskim ciałem, i żebyś z tego powodu nie myślał, iż wzorem gigantów powinni ponieść karę za straszliwą zbrodnię ci wszyscy, co swym rozumem burzą wały świata i chcieliby zagasić przejasne słońce na niebie, śmiertelnym językiem bluźniąc nieśmiertelnym tworom. Im zaś tak jest daleko do boskiej potęgi i tak są niegodne zaliczania w poczet bogów, że mogłyby raczej uchodzić za przykład wyjaśniający, co to znaczy być pozbawionym żywotnego ruchu i czucia. Bo oto nie da się pomyśleć, by z każdym ciałem mogła być natura ducha i rozsądek. Podobnie ni drzewo w eterze, ni chmury w słonej topieli istnieć nie mogą, ni ryby żyć na polach, ni krew znajdować się w drewnie, ni sak w głazach. Jest rzeczą pewną i ustanowioną, gdzie wszystko ma róść i być. Tak samo nie może bez ciała natura ducha powstawać samotnie ni zbyt się oddalać od ścięgien i krwi. Gdyby bowiem miała tę możność, to daleko prędzej mogłaby moc ducha być jako taka w głowie albo w barkach lub w piętach na spodzie, albo często się rodzić w jakiejkolwiek części ciała, a wreszcie zostawać w tym samym człowieku i w tym samym naczyniu. Skoro jednak najwidoczniej w naszym także ciele jest pewne i ustanowione, gdzie ma być i róść

dusza i duch wyłącznie, to tym więcej należy zwalczać tę niedorzeczność, by mogły trwać zupełnie poza ciałem i żywą postacią stworzenia w zgniłych grudach ziemi albo w ogniu słońca, albo w wodzie, albo na wyniosłych kresach eteru. A więc nie mają bożego czucia, ponieważ nie mogą być uduchowione żywotnie. (110–145)

I temu również nie można dać wiary, jakoby święte siedziby bogów mieściły się w jakiejkolwiek części świata. Delikatna bowiem i daleko od naszych zmysłów odsunięta natura bogów zaledwie umysłem daje się dostrzegać. Skoro zaś uchodzi przed dotknięciem i przed uderzeniem dłoni, to nic mieć nie może wspólnego z tym, co dotykalne jest dla nas. Albowiem nie może dotykać to, co nie pozwala tknąć się ze swej strony. Za czym także ich siedziby muszą być i niepodobne do naszych siedzib, i delikatne wedle ich ciała, jak ci to później szeroko wywiodę. Mówić zaś dalej, że im się zachciało tworzyć wspaniałą naturę świata dla ludzi i że z tego powodu należy wielbić uwielbienia godne dzieło bogów, uważać je za wieczne i za niezniszczalne po wsze czasy, tudzież że co swoim odwiecznym wyrokiem zatwierdzili bogowie raz na zawsze dla ludzkich pokoleń, tego nigdy nie wolno wyrywać ze swych posad żadnym gwałtem ni szarpać słowami i górę wywracać na spód – wszystkie brednie tego rodzaju i inne dodatki są, o Memmiuszu, szaleństwem! Cóż bowiem im, nieśmiertelnym i szczęśliwym, mogłaby jeszcze przydać nasza wielka wdzięczność, iżby ze względu na nas coś poczynali czynić? Lub cóż by nowego mogło tak późno po uprzednim spokoju znęcić i wzbudzić w nich żądzę do zmiany poprzedniego życia? Nowymi bowiem rzeczami ten, zdaje się, cieszyć się winien, komu stare wadzą. Lecz kogo nie spotkało w ubiegłym czasie nic przykrego, kiedy pędził słodki ży-

wot, to cóż mogło w kimś takim rozpalić pragnienie nowości? Lub jakaż była nam krzywda nie być zrodzonymi? Może mam wierzyć, że w ciemnościach i smutku leżało życie, aż zabłysnął rodny świt świata? Zaprawdę każdy, kto tylko się zrodził, musi mieć żądzę pozostania w życiu, póki go będzie pętać błoga rozkosz. Lecz kto nigdy nie zaznał miłości żywota ni był pośród żywych, cóż mu wadzi, że zrodzony nie został? A skądże dalej wzór dla rzeczy, mających się tworzyć, skądże wzięła się po raz pierwszy owa znajomość ludzi u bogów, iżby wiedzieli i przewidywali duchem, co chcą czynić? Lub jakim sposobem i kiedy poznali moc zaczątków tudzież co one mogą działać, zmieniwszy pomiędzy sobą porządek, jeśli sama natura nie dała pierwowzoru tworzenia? Albowiem zarodki rzeczy od nieskończonego już czasu w tak wielkich ilościach i na tak wiele sposobów nawykły pędzić pod działaniem gnających je uderzeń i ciężarów, tworzyć skupienia wszelkiego rodzaju i wszystkiego próbować, co tylko mogą stworzyć, zrzeszywszy się z sobą, iż nic w tym dziwnego, jeżeli także w takowe popadły układy i na takie wstąpiły drogi, na jakich nasz świat dzisiejszy odnawia się i tworzy. (146–194)

I choćbym już nic nie wiedział o zarodkach, to jednak na mocy samych urządzeń niebieskich odważyłbym się twierdzić i uzasadniać z wielu innych względów jeszcze, że cud boży na żaden sposób nam nie stworzył natury świata. Taką stoi obarczona winą! Po pierwsze, z tego, co nakrywa potężny rozmach nieba, część zagarnęły zachłanne góry i knieje dzikich zwierząt, zajmują skały, rozległe bagna i morze, które szeroko rozdziela ziemskie wybrzeża. Potem prawie dwie części wydziera śmiertelnym skwarny upał i nieustanna śnieżyca. Niewiele roli zostaje, a jeszcze tę resztkę natura zachwaściłaby swą mocą cierniami, gdyby

moc ludzka nie stawiała oporu, nawykła w obronie życia jęczeć nad tęgą motyką i krajać ziemię wpartym w nią lemieszem. Jeśli pługiem żyznych skib nie wywracamy i gwałcąc łono ziemi nie zdobywamy plonów, to same z siebie nie mogą się dobyć na przezrocze tchnienia. A przecież czasem, kiedy już wszystko dzięki naszej ciężkiej pracy zieleni się na zagonach i kwitnie, wysusza je zbytnim gorącem eteryczne słońce albo niszczą nagle deszcze i zimne śniegi lub pustoszą swym gwałtownym wirem podmuchy wichrów. Dlaczego dalej natura na lądzie i morzu żywi i mnoży straszliwy i człowiekowi wrogi ród dzikich zwierząt? Dlaczego pory roku przynoszą choroby? Dlaczego przedwczesna śmierć się skrada? A potem dziecię, jak rozbitek wyrzucony przez okrutne fale, leży nagie na ziemi, bez mowy, bez żadnych środków do życia, jak je natura z łona matki precz wyrzuci w męce porodu na brzegi światłości. I żałosnym kwileniem napełnia miejsce, jak przystoi temu, co tyle nieszczęść ma przebyć w żywocie. Lecz różne bydlęta, stada i dzikie drapieżce rosną i nie potrzebują żadnych grzechotek, nie trzeba żadnemu pieszczotliwej i zdrobniałej mowy słodkiej karmicielki, nie trzeba im rozmaitych sukien stosownie do pory roku, nie potrzebują wreszcie broni ni wysokich wałów, by strzec swego mienia, ponieważ wszystko wszystkim rodzi obficie sama ziemia i przemyślna natura. (195–234)

Ponieważ, po pierwsze, ciało ziemi, ciecz, lekkie tchy powiewów i gorące żary, z których to rzeczy składa się ten świat widoczny, składają się wszystkie pospołu ze zrodzonego i śmiertelnego ciała, to sądzić należy, iż takie samo ciało ma cała natura świata. Bo widzimy przecież, że jeśli czyjeś części i członki są ze zrodzonego ciała i ze śmiertelnych kształtów, to zawsze te twory są, jak się przekonujemy naocznie, śmiertelne i zrodzone zarazem. Widząc za-

tem, jak najważniejsze członki i części świata odradzają się po zniszczeniu, mogę wywnioskować, że tak samo był także jakiś początek nieba i ziemi i że nastąpi zagłada. (235–246)

Żebyś zaś przy tych rzeczach nie sądził, że umyślnie sobie uprościłem sprawę, kiedy przyjąłem od razu śmiertelność nieba i ognia i bez wahania skazałem na zgubę ciecz i powiewy tudzież rzekłem o nich wszystkich, że znowu się rodzą i powiększają, to po pierwsze niemała część ziemi, spalona ciągłym żarem słońca, skopana mrowiem nóg, wyłania z siebie tuman kurzu i lotne obłoki, które potężne wichry rozpraszają po całym powietrzu. Część skib rozpuszczają także deszcze, a rzeki szczerbią i ścierają brzegi. Wszystko ponadto, co żywi i wzmaga, bywa zwracane stosownie do swego działu. A skoro widać niewątpliwie, że ta sama wszechrodzicielka jest wspólnym grobem tworów, więc ci się ziemia wyczerpuje i znowu narasta przybytkiem. (247–260)

Że z kolei morze, rzeki i źródła ustawicznie wzbierają nową wodą i że ciekną wieczne zdroje, na to słów nie trzeba zgoła. Ogromny zlew wód ze wszystkich stron jasno to wykazuje. Lecz ulatuje co przednia kropelka i woda w całości nie wzbiera, ponieważ częścią potężne wichry, zamiatając po płaszczyznach, tudzież eteryczne słońce rozkładowym działaniem swoich promieni sprowadzają jej ubytek, a częścią rozchodzi się spodem po wszystkich ziemiach. Albowiem jad się odcedza, a materia cieczy ścieka z powrotem i zbiera się cała u źródła rzek, potem zaś płynie po ziemi słodkim nurtem, kędy raz wyżłobiona droga poniesie fale o przeźroczystych stopach. (261–272)

A teraz powiem o powietrzu, które w całym swoim ciele przemienia się z godziny na godzinę niezliczoną ilość razy. Zawsze bowiem to wszystko, co upływa z rzeczy, uchodzi

do wielkiego morza powietrza. Gdyby zaś ono ze swej strony nie zwracało rzeczom ciałek i nie krzepiło mdlejących, to by już wszystko było uległo rozkładowi i przeobrażeniu na powietrze. Nieustannie więc z rzeczy powstaje i do rzeczy wpada, ponieważ wszystko, jak wiadomo, płynie ustawicznie. (273–280)

Również szczodre źródło przejrzystego światła, eteryczne słońce, zalewa niebo ustawicznie świeżą jasnością i nowe światło natychmiast wysyła za światłem. Co pierwszy bowiem błysk, to mu ginie, gdziekolwiek padnie. Możesz to poznać stąd: skoro tylko chmury poczną podsuwać się pod słońce i przerywać niejako promienie światłości, zaraz ich dolna część zupełnie ginie, a ziemię pokrywa cień, gdziekolwiek unoszą się chmury. Tak można poznać, że rzeczy potrzebują ciągle nowego blasku i że ginie każdy kolejny rzut świetlany oraz że rzeczy nie mogą inaczej widnieć, jak tylko jeśli ustawicznie tryska sama krynica światłości. Oto w podobny sposób nocne, ziemskie światła, wiszące lampy i smolne łuczywa, jarzące się w ciemnej chmurze jasnymi błyskami, spiesznie tryskają nowym światłem przy pomocy żaru, drżą płomykami prędko, prędko i światło nie opuszcza miejsc, jak by się przerywało. Z taką chyżością kryją mu wszystkie ogniki zagładę pospiesznym porodem płomienia. Należy więc sądzić, że także słońce i księżyc, i gwiazdy rzucają jasność coraz to innym porodem i zawsze tracą co przedni płomień. Nie wierz przypadkiem, żeby zażywały niespożytej mocy! (281–305)

Czyż nie widzisz wreszcie, że czas kruszy również kamienie, że walą się wyniosłe wieże i wietrzeją głazy, że pękają przybytki bogów i zgrzybiałe posągi, a święta moc nie może przesunąć granic przeznaczenia ni walczyć przeciwko wyrokom natury? Czyż nie widzimy, że pomniki

mężów legły w gruzach jakby z tym pytaniem, zali wierzysz w ich zgrzybiałą starość, że lecą z gór wysokich oderwane skały, nie mogąc znieść ni ścierpieć potężnych zębów, i to skończonego czasu? Nie obrywałyby się bowiem w nagłym upadku, przeniósłszy od nieskończoności wszelkie pociski czasu bez żadnego huku. (306–317)

Spojrzyj już wreszcie na to, co wokół i w górze całą ziemię trzyma w uścisku! Jeśli z siebie wszystko rodzi, jak mówią niektórzy, i chłonie z powrotem po zniszczeniu, to całe składa się ze zrodzonego i śmiertelnego ciała. Cokolwiek bowiem inne rzeczy z siebie powiększa i żywi, musi wątleć, a znowu się skrzepiać, gdy rzeczy chłonie z powrotem. (318–323)

Jeżeli zresztą ziemia i niebo nie miały żadnego rodnego początku, lecz zawsze wiekowały wiecznie, to dlaczego innych wydarzeń, przed wojną tebańską[6] i trojańskimi zgliszczami, jeszcze inni nie opiewali poeci? Gdzież tyle razy przepadło tyle bohaterskich czynów? Dlaczego nigdzie nie kwitną posiane na wiecznych pomnikach sławy? Lecz świat jest młody, jak myślę. Świeża jest jego natura i niedawno się począł. Przeto jeszcze teraz niektóre umiejętności doznają udoskonalenia, jeszcze teraz się rozwijają. Teraz dodano wiele rzeczy na okrętach. Niedawno wydobyli muzycy śpiewne dźwięki. Świeżo znaleziono wreszcie tę naukę o rzeczywistości i oto ja dopiero pierwszy znalazłem się teraz, co ją mogę przekładać na ojczyste słowa. A jeśli może wierzysz, że to wszystko już kiedyś istniało tak samo, ale ludzkie pokolenia zginęły od piekącego żaru albo za-

[6] W poezji greckiej istniał oprócz trojańskiego cyklu jeszcze drugi wielki cykl pieśni epicznych, poświęcony bohaterom tebańskim, z którego czerpali bardzo wydatnie późniejsi tragicy ateńscy i który niestety zaginął.

padły się miasta skutkiem ogromnego wstrząsu świata, albo z powodu ciągłych deszczy wystąpiły na pola zaborcze rzeki i zatopiły grody[7], to tym ci więcej musisz się poddać i przyznać, że także niebo i ziemię oczekuje zagłada. Skoro bowiem świat ulegał tak ciężkim i tak niebezpiecznym cierpieniom, to doznałby zupełnego pogromu i w gruzach legł szeroko, gdyby nań natarła jakaś zgubniejsza przyczyna. I nie w inny sposób rozpoznajemy naszą śmiertelność, niż że zapadamy na te same choroby co ci, których natura z życia już usunęła. (324–350)

Cokolwiek zresztą trwa wiecznie, musi albo dzięki swemu nieprzenikliwemu ciału odtrącać uderzenia i niczego nie puszczać do środka, co by mogło rozerwać ścisłą, wewnętrzną spójnię cząstek, jak to są ciałka materii, których naturę przedtem wyjaśniliśmy, albo też dlatego może trwać po wsze czasy, iż nie jest narażone na uderzenia, jak to próżnia zostaje nietknięta i zgoła nie cierpi od ciosów, albo w końcu dlatego, iż naokół nie ma żadnego miejsca, dokąd mogłyby niejako rzeczy ujść i ulec rozprószeniu, jak to wieczna jest całość wszystkiego i nie ma poza nią żadnego miejsca do ucieczki ni żadnych ciałek, co by swoim natarciem i potężnym uderzeniem mogły sprowadzić rozbicie. Atoli natura świata nie ma, jak pouczyłem, ani nieprzenikliwego ciała, ponieważ do rzeczy jest domieszana próżnia, ani nie jest taka jak próżnia, ani też nie brakuje ciałek, co mogą wezbrać przygodnie z nieskończoności i zburzyć w gwałtownym wirze tę całość rzeczy lub sprowadzić ja-

[7] O katastrofie świata z powodu ognia opowiadali Grecy w znanym micie o Faetoncie, a o katastrofie z powodu potopu w nie mniej znanym micie o Deukalionie (por V 396 n.; por. Owidiusz, *Met.* I 253 n., 748 n.); o katastrofie z powodu trzęsienia ziemi mówi znowu Platon w *Prawach* (677a n.) i w *Kritiaszu* (111a n.).

kąś inną klęskę i niebezpieczeństwo. Nie brak dalej miejsca i bezdennej przepaści, gdzie mogą się rozprysnąć wały świata. Może też pchnąć je do zguby jakaś inna siła. A zatem brama zgonu nie jest zamknięta dla nieba ani dla słońca, ani dla ziemi, ani dla głębokich fal morskich, lecz zieje i czeka ze straszną, rozwartą paszczęką. Przeto wyznać trzeba, że są one także zrodzone. Albowiem rzeczy o śmiertelnym ciele nie mogłyby chyba od nieskończoności aż dotąd urągać potężnym siłom niezmierzonego czasu. (351–379)

Gdy wreszcie najważniejsze człony świata walczą ze sobą w tak zaciekłym rozpętaniu wojny niepobożnej zgoła, to czyż nie widzisz, że kiedyś mogą dobiec końca ich długie zapasy? Kiedy na przykład słońce i wszystek żar weźmie górę, wypiwszy wszystkie wody! Ciągle do tego dążą, ale dotąd usiłowania zostają bez skutku. Tak szczodrze zasilają rzeki i ze swej strony grożą zalewem wszystkiego z głębi morskiego odmętu. Daremnie! Oto zamiatające po płaszczyznach wichry i eteryczne słońce rozkładowym działaniem swoich promieni sprowadzają ubytek i dufają sobie, że one pierwej zdążą wszystko wysuszyć, niżeli ciecz zdoła dosięgnąć zamierzonego celu. Taką dysząc wojną, z jednakim zapałem zmagają się pomiędzy sobą, by o wielkich rzeczach rozstrzygnąć. A raz tymczasem miał ogień przewagę i raz, jak wieść głosi, woda zapanowała na polach. Ogień bowiem wziął górę i swym językiem spalił wiele, kiedy ogniste, rozhukane rumaki słońca poniosły Faetonta i rwały po bezdrożach na całym eterze i po wszystkich ziemiach. Jednakże rodzic wszechmocny, srogim wówczas zdjęty gniewem, nagłym ciosem gromu strącił z koni na ziemię zuchwałego Faetonta, a bóg słoneczny, spotkawszy go w chwili upadku, podjął wieczną pochodnię świata,

zawrócił rozpierzchłe rumaki, sprzągł je drżące i potem, kierując po zwyczajnej drodze, wszystko powołał na nowo do życia. Tak oczywiście śpiewali starzy greccy pieśniarze. Zbyt daleko odbiegło to jednak od prawdy. Ogień bowiem może przeważać, kiedy z nieskończoności zbiorą się w większej liczbie ciałka materii. Następnie opadają siły, zmożone z jakiejś przyczyny, lub też giną rzeczy, spalone żarami powiewów. Woda niegdyś tak samo zaczęła wzbierać i brać górę, kiedy – jak wieść głosi – zatopiła wiele ludnych miast. Następnie, skoro jej moc, ile jej się zebrało z nieskończoności, ustąpiła, zmieniwszy z jakiejś przyczyny kierunek, deszcze ustały, a rzeki poskromiły swą wściekłość. (380–415)

Teraz zaś wyłożę po porządku, jakim sposobem ów zbiór materii utwierdził ziemię, niebo, morskie głębiny, biegi słońca i księżyca. Bo na pewno nie wedle planu zajęły bystre i zmyślne zarodki rzeczy swe poszczególne miejsca i z pewnością nie ustaliły, jakie ruchy ma każdy z nich świadczyć, lecz ponieważ wiele zarodków rzeczy od nieskończonego już czasu pędzi swoim zwyczajem na wiele sposobów skutkiem uderzeń i własnych ciężarów, tworzy skupienia wszelkiego rodzaju i wszystkiego próbuje, co tylko mogą zrodzić zrzeszywszy się pomiędzy sobą, przeto doświadczając ciągle wszelkiego rodzaju skupień i ruchów podczas niezmiernego okresu istnienia, schodzą się wreszcie te, które skupiwszy się nagle, stają się odtąd raz po raz zawiązkami wielkich rzeczy, ziemi, nieba, morza i rodu stworzeń. (416–431)

Wtedy nie można tu było jeszcze oglądać słonecznego koła, mknącego w górze ze swą obfitością światła, ni morza, ni nieba, nie można było widzieć ziemi ni powietrza, ni żadnej rzeczy podobnej do naszych, lecz wszczęła się

jakaś niebywała zawierucha i ogrom z zarodków wszelkiego rodzaju. Niezgoda zamiecią walk mąciła ich odstępy, drogi, związki, ciężary, uderzenia, zbiegi i ruchy, bo z powodu niepodobnych postaci i różnych kształtów nie mogły w tym połączeniu wszystkie pozostać ni zamieniać pomiędzy sobą właściwych ruchów. Za czym części zaczęły uciekać od siebie i jednakowe rzeczy łączyć się z jednakowymi, zaczęły świat rozgraniczać, człony rozdzielać i wielkie części wytyczać, to znaczy od ziemi odgraniczać wyniosłe niebiosa, osobno zaś rozlewało się morze oddzielną cieczą i tak samo osobno gorzały czyste i oddzielne ognie eteru. (432–448)

Bo oto najpierw wszystkie poszczególne ciałka ziemi, jako że były ciężkie i poplątane, schodziły się w środku i zajmowały siedziby na spodzie. A im więcej się poplątane pomiędzy sobą schodziły, tym więcej wyciskały te ciałka, które miały tworzyć morze, gwiazdy, słońce, księżyc i wały wielkiego świata. Albowiem to wszystko składa się z ziaren bardziej gładkich i okrągłych i z drobin o wiele mniejszych niż ziemia. Dlatego buchając swymi cząstkami przez rzadkie otwory ziemi pierwszy wzniósł się ognisty eter i wiele lekkich ogni z sobą uprowadził w zupełnie podobny sposób, jak to często w naszych oczach jeziora i całoroczne rzeki wydzielają opary, skoro tylko złote, ranne światło promiennego słońca zabłyśnie czerwono na ziołach uperlonych rosą i jak dymi w oczach sama niekiedy ziemia. To wszystko gromadzi się w górze, a wtedy chmury gęstym ciałem zasnuwają niebo na wysokościach. Tak się więc wówczas lekki i rozlewny eter, gęstym ciałem otoczon, zewsząd odgrodził i tak, roztoczywszy się szeroko na wszystkie zewsząd strony, wszystko inne ogrodził żądnym uściskiem. Za nim podążyły zawiązki słońca i księżyca, których kręgi krążą w powiewach w pośrodku i których nie przywłaszczyła sobie ni ziemia, ni ogromny eter, ponieważ ani tak ciężkie nie były, by osiąść na dole, ani tak lekkie, by mogły mknąć po najwyższych kresach. Niemniej jednak mogą toczyć swoje jakby żywe ciała w tym ośrodku i być częściami całego świata. Podobnie mogą w nas niektóre członki zażywać spoczynku, choć inne są w ruchu. Utraciwszy więc te rzeczy, ziemia nagle w głąb się zapadła, gdzie teraz rozciąga się ogromna, błękitna toń morza, i słonym odmętem zalała otchłanie. I z dnia na dzień, im więcej zewsząd żar eteru i promienie słońca zaciskały dokoła ziemię gradem swoich uderzeń po zewnętrznej stronie, a ona musiała ściskać się gęsto w środku pod tym parciem, tym obficiej ciekł słony pot, wyciśnięty z ciała, powiększał morze i płynące pola i tym liczniej owe ciałka ognia i powietrza ulatywały, wymknąwszy się na zewnątrz, i przydawały gęstości wyniosłym, daleko od ziemi błyszczącym przybytkom niebios. Osiadały niziny, rosły stoki gór wysokich. Albowiem skały nie mogły klęsnąć, ani też wszystkie części ziemi opadać równomiernie. (449–494)

Tak więc powstało ciężkie, gęste ciało ziemi, spłynęło na spód, niby ciężki namuł całego świata, i osiadło na dnie, jak osad. Potem morze, potem powietrze, potem sam ognisty eter – wszystkie stały się czyste o płynnych ciałach. Jedno jest lżejsze od drugiego, a najpłynniejszy i najlżejszy eter płynie ponad wiewami powietrza i swego płynnego ciała nie miesza z wichrzącymi wiewami powietrza. Dozwala temu wszystkiemu kłębić się w gwałtownych wirach, dozwala wichrzyć w niepewnych burzach, lecz sam mknie niezmiennym pędem unosząc swe ognie. Bo że eter może płynąć spokojnie i z jednakowym wysiłkiem, tego

dowodzi Czarne Morze[8], które płynie niezmiennym prądem, zachowując stale jeden ciąg dążenia. (495–508)

A teraz śpiewajmy o przyczynie ruchów gwiazd! Musimy powiedzieć po pierwsze, że jeśli się obraca wielki krąg nieba, to z jednej i z drugiej strony oś naciska powietrze, trzyma z zewnątrz i zamyka z obu stron, a następnie, że jedno powietrze płynie górą i dąży w tym samym kierunku, w jakim się toczą migotliwe gwiazdy wiecznego świata, drugie zaś znowu pod spodem unosi okrąg w przeciwnym kierunku, jak to w naszych oczach rzeki obracają koła i czerpaki. Możliwe jest także, że całe niebo trwa w spoczynku, chociaż pędzą jasne gwiazdy, czy to że żartkie prądy eteru, szukając drogi w zamknięciu, obracają się dookoła i wszędzie toczą ognie po nocnych przybytkach nieba, czy to że skądeś nadpływa inne powietrze z jakiegoś zewnętrznego źródła i obraca ognie swym pędem, czy to że one same mogą zmierzać, dokąd je wzywa właściwy pokarm i zaprasza w drodze, i oto karmią wszędzie po niebie swe ogniste ciała. I trudno zaiste stanowić na pewno, co z tego jest w tym świecie. Lecz uczę o tym, co może być i bywa we wszechświecie, w różnych i w różny sposób potworzonych światach, a zatem podaję większą ilość przyczyn, które mogą wprawiać w ruch gwiazdy po wszechświecie. Jedna z nich jednak musi także w naszym budzić do życia ruch gwiazd, lecz która z nich jest tą przyczyną, tego nikt, postępując ostrożnie, nie może na żaden sposób przesądzać. (509–533)

Ziemia spoczywa w środkowej okolicy świata, a zatem

[8] Autorzy starożytni zwracają często uwagę, że Czarne Morze nie „przypływa" i nie „odpływa" na podobieństwo innych mórz, lecz płynie stale w kierunku Bosforu i Hellespontu (por. np. Seneka, *Nat. quaest.* IV 2,29).

prawdopodobnie jej ciężar powoli znika i maleje. Prawdopodobnie ma także inną naturę pod spodem, złączoną od początku istnienia i zespoloną w całość z powietrznymi częściami świata, w jakich osiadła i żyje. Z tego powodu nie ciąży i nie ugniata powiewów. A jak członki każdego człowieka nie mają dlań żadnego ciężaru, jak głowa nie uciska szyi i jak całej po prostu wagi ciała nie czujemy w nogach, cisną natomiast wszystkie ciężary, jakie tylko z zewnątrz przychodzą i jakie na nas zostały nałożone, często bez porównania mniejsze, bo wielkie ma znaczenie, co każda rzecz posiada, tak więc i ziemia nie przybyła nagle, jako obca, i nie została narzucona obcym niejako powiewom skądinąd, lecz powstała równocześnie od pierwszego brzasku świata i jest jego częścią istotną, jak to my myślimy o swoich członkach. Wstrząsa zresztą ziemia, potężnym grzmotem nagle wstrząśnięta, wszystko swym ruchem, co jest na niej. Nie mogłaby zaś tego robić żadnym sposobem, gdyby nie była spętana z powietrznymi częściami świata i z niebem. Zaprawdę, tkwią we wspólnych korzeniach złączone pomiędzy sobą i zespolone w jedną całość od początku istnienia. Zali nie widzisz, jak oto ogromny ciężar naszego ciała podtrzymuje nikła moc duszy właśnie z tego powodu, że jest tak z nim połączona i zespolona w jedną całość? Cóż, no cóż zdoła wreszcie unieść ciało w żwawym skoku, jeśli nie moc duszy, która kieruje członkami? Zali już widzisz, ile może znaczyć nikła natura, jeśli złączy się z ciężkim ciałem, jak to powietrze złączyło się z ziemią, a z nami moc ducha? (534–563)

I nie może być o wiele większe koło słońca lub mniejsze gorąco, niż się przedstawia naszym zmysłom. Albowiem z jakich tylko odległości mogą ognie dorzucać światło i członki owiewać gorącym żarem, to te odległe przestrze-

nie niczego nie ujmują z ciała płomieni i ogień zgoła nie przedstawia się w mniejszej postaci. Przeto skoro gorąco słońca i strumień światła dochodzi do naszych zmysłów i miejsca te pieści, to także postać i wielkość słońca musi się stąd przedstawiać prawdziwie, tak iż nie można niczego dodawać, ni więcej, ni mniej. I księżyc, czy to pożyczanym światłem oświeca miejsca podczas swego pędu, czy to sam własne światło z ciała rzuca, o to zresztą mniejsza, nie wędruje zgoła w większym kształcie, niż się przedstawia ten, w jakim go rozróżniamy wyraźnie oczyma. Albowiem wszystko, co oglądamy z wielkiej odległości przez przestwór powietrzny, pierwej swój obraz zaciera, a potem dopiero wielkość się pomniejsza, jak widzimy. Przeto księżyc, jawiąc jasny i wyraźny obraz, musi się nam na wysokości taki stąd przedstawiać, jaki jest istotnie w zewnętrznym zarysie brzegów i jaką ma właśnie wielkość. Można w końcu poznać, że wszystkie ognie eteru, jakie stąd dostrzegasz, mogą być tylko bardzo nieznacznie mniejsze lub odrobinę, troszeczkę większe: oto widać na przykładzie wszystkich ogni, jakie widzimy na ziemi, że gdy drganie jest jasne, gdy żar daje się rozeznać, to ich wielkość, im są dalej, zmienia się czasem na jedną lub na drugą stronę, ale tylko coś bardzo niewiele. (564–591)

I to również nie powinno budzić zadziwienia, jakim sposobem owo tak maleńkie słońce może wysyłać takie możne światło, co zalewa i zapełnia morza, wszystkie ziemie i niebo i wszystko rozgrzewa upalnym żarem. Albowiem z tego miejsca bije, być może, jedno otwarte i obfite źródło całego świata buchającym światłem, ponieważ z całego świata tak się zewsząd gromadzą drobiny gorąca i taką spływają powodzią, iż ten żar tryska z jednego źródła. Zali nie widzisz, jak oto czasem małe źródło wody nawadnia łąki na

szerokiej przestrzeni i wylewa na pola? Jest jeszcze i to możliwe, że od niewielkiego ognia słońca żar chwyta gorącym płomieniem powietrze, o ile tak jest zapalne i tak podatne, iż może się zająć od słabych razów żaru, jak to na przykład widzimy nieraz morze płomieni, ogarniające z jednej iskry dojrzałe łany i słomę. A może słońce, świecące wysoko różaną pochodnią, posiada wokoło siebie dużo ognia z niewidocznymi płomieniami, który nie zdradza się żadnym blaskiem, a tylko wzmacnia swym żarem uderzenie promieni. (592–613)

I nie jest ze względu na słońce proste ani pewne wyjaśnienie, jakim sposobem z letnich stron zachodzi do zimowych zakrętów Koziorożca i stąd zawracając zwraca się do długodziennych krańców Raka, przy czym księżyc robi, jak widzimy, w miesiącach tę drogę, na którą słońce zużywa bieg całego roku. Nie jest prosta, powiadam, tych rzeczy przyczyna. Wydaje się bowiem przede wszystkim to możliwe, co waruje święta myśl czcigodnego Demokryta, że im bliżej ziemi są jakieś ciała niebieskie, tym mniej mogą pędzić z wirem nieba. Mają mianowicie niknąć i maleć jego rwące i porywcze siły ku dołowi. Z tego powodu słońce zostaje powoli w tyle wraz z późniejszymi znakami[9]. Albowiem znajduje się o wiele niżej niż żartkie znaki. A tym więcej księżyc! Im niżej oddala się jego bieg od nieba, a zbliża do ziemi, tym mniej może znakom dotrzymywać biegu. I oto z im leniwszym wirem pędzi niżej słońca, tym

[9] Przez „znaki" (*signa*) należy prawdopodobnie rozumieć tutaj planety, a przez „żartkie znaki" (*fervida signa*) tzw. gwiazdy stałe. Wywody Lukrecjusza nie są jasne. Różni uczeni pojmują i tłumaczą je rozmaicie. Epikur, jak świadczy *List do Pitoklesa*, nie posiadał głębszych zainteresowań astronomicznych. Nie posiadali ich również późniejsi epikurejczycy.

prędzej go okrążają wszystkie znaki i mijają. Z tego powodu, że znaki do niego zachodzą, powstaje wrażenie, jakoby szybciej do każdego znaku powracał. Możliwe jest także, że z poprzecznych stron świata płynie powietrze na przemian w stałym okresie czasu. Jedno może słońce odepchnąć od letnich znaków aż do zimowych zakrętów i zakrzepłego lodu, a drugie odrzucić od mroźnych mroków zimy aż do skwarnych stron i do żartkich znaków. Trzeba sądzić, że w ten sam sposób księżyc i gwiazdy, zataczające wielkie lata wielkimi kołami, mogłyby nadciągać z przeciwnych stron skutkiem przemiennych prądów powietrza. Zali nie widzisz, jak oto chmury wskutek przeciwnych wichrów ciągną w przeciwne strony górą i spodem? Dlaczego owe ciała niebieskie nie miałyby pędzić po wielkich kołach eteru skutkiem prądów wzajemnie sobie przeciwnych? (614–649)

Noc zaś nakrywa nieprzejrzanym mrokiem całą ziemię, kiedy po długim biegu słońce przybije do niebieskich krańców i wyczerpane wytchnie swoje ognie, które roztrzęsła droga i osłabiły przestworza powietrza, albo też dlatego, że pod ziemię zniewala bieg zwracać ta sama siła, co ponad ziemią jego krąg przeniosła. (650–655)

W ustalonym czasie roztacza również Matuta[10] różaną zorzę po kresach eteru i rozlewa światło, bo albo to samo słońce, co pod ziemią wraca, niebo przed sobą promieniami chwyta usiłując wspiąć się w górę, albo dlatego, że w ustalonym czasie gromadzą się wedle zwyczaju ognie i spływają liczne ziarna żaru, a za ich sprawą powstają ciągle nowe światła słońca. Głosi wieść na przykład, że z wyniosłych

[10] *Mater Matuta* (Dobra Matka), bogini świtającego światła, była odwiecznym bóstwem italskim, podobnie jak Ianus, ale już w I w. p.n.e. została utożsamiona z podrzędną morską boginią grecką, Leukoteą, tak iż w późniejszych czasach czcili ją głównie żeglarze.

Gór Idajskich widać przy wschodzącym świetle rozprószone ognie, które się potem gromadzą jakby w jedną kulistą całość i wytwarzają okrąg[11]. Zdziwienia zaś przy tych rzeczach budzić zgoła nie powinno, że te ziarna ognia mogą spływać w tak niezmiennym czasie i odnawiać blask słońca. Oto wszędzie widzimy wiele rzeczy dziejących się o swoim czasie. O swoim czasie rozkwitają krzewy i o swoim czasie tracą kwiecie. Tak samo o swoim czasie wiek nakazuje, żeby wypadały zęby tudzież żeby niedorostek porastał miękkim włosem i miękką brodę równo wypuszczał z policzków. Gromy na koniec, śnieg, deszcze, chmury i wichry powstają w nie nazbyt zmiennych porach roku. Bo skoro w ten sposób raz padły zawiązki przyczyn i nie inaczej się ułożyły sprawy świata od samego początku, to już także wracają w stałym porządku ciągłą koleją. (656–679)

Mogą się również bodaj dlatego dnie przedłużać, a noce skracać i – kurczyć się dzionki, a noce tymczasem róść coraz więcej, że to samo słońce biegnące pod i ponad ziemią niejednakowymi łukami rozdziela brzegi eteru i dzieli swój tor kolisty na nierówne części. Ile mianowicie z jednej strony ujmie, tyle wkłada w przeciwną z powrotem, aż przybędzie do tego znaku nieba, gdzie roczny węzeł wyrównywa nocne cienie z jasnością. Albowiem środkowym biegiem słońca rozgranicza niebo podmuchy północy i kresy południa, wyrównawszy różnicę, a to z powodu położenia całego gwiaździstego koła, w którym słońce zamyka roczne okresy swego wężowego biegu, kiedy z boku świeci światłem na ziemię i niebo, jak to wyjaśnia nauka tych,

[11] Podobnie opisują wschód słońca, widziany z góry Ida w Troadzie, inni autorzy starożytni (por. np. Diodor XVII 7,5).

którzy skreślili wszystkie miejsca na niebie, zaopatrzywszy je rozkładem znaków. Albo też dlatego, że w pewnych stronach pod ziemią powietrze jest gęstsze i z tego powodu mitręży drżący płomień ognia, nie mogąc przecisnąć się łatwo i wynurzyć na wschodzie. Przeto dłużą się bez końca noce w zimowej porze, aż wnijdzie promienne godło dnia. Albo też może dlatego, że w przemiennych porach roku to wolniej, to rychlej nawykły zbierać się ognie, za których sprawą słońce wstaje z tej, a nie z innej strony. Więc może prawdę głoszą ci[12]. . . . . (680–704)

Księżyc może błyszczeć od razów słonecznych promieni i z dnia na dzień to światło coraz więcej zwracać ku naszym oczom, w miarę jak się oddala od kręgu słońca, aż wreszcie na wprost niego zalśni całą pełnią światła i wschodząc ujrzy jego zachód ponad wyżynami. Następnie musi tak samo nieznacznie kryć światło z powrotem niejako, im bardziej się zbliża z innej strony do słonecznego ognia przez krąg znaków. Tak twierdzą ci, co sobie wyobrażają, że księżyc jest podobny do piłki i że ma tor biegu pod słońcem. Możliwe jest także, że toczy się z własnym światłem, przy czym objawia rozmaite postaci blasku. Albowiem może być jeszcze inne ciało, które pędzi i mknie razem, zabiegając drogę i zasłaniając na wszelkie sposoby, a dostrzec się nie da, ponieważ pędzi bez żadnego światła. Może się obracać jeszcze, niby krągła piłka w połowie, przypuśćmy, powleczona jasnym światłem, i obracając się różne wytwarzać postacie, aż tę całą część, wzmożoną ogniami, zwróci w stronę naszego wzroku i naszych rozwartych oczu. Następnie przekręca się nieznacznie w tył i unosi świetlaną część krą-

[12] W tekście przekazanym przez kodeksy została opuszczona prawdopodobnie większa ilość wierszy.

głej piłki, jak to babilońska nauka Chaldejczyków, odrzucając sztukę astronomów, stara się ze swej strony narzucić, zupełnie tak samo, jak by niemożliwe było, o co walczy jedna lub druga strona, lub jak by jedno można było przyjąć z mniejszą śmiałością niż drugie. Dlaczego wreszcie nie mógłby rodzić się ciągle nowy księżyc w stałym porządku postaci i o stałych kształtach oraz zamierać każdego dnia każdy, który się zrodził, a rodzić nowy na jego miejscu i stronie? Trudno byłoby to wykazać rozumowaniem i zbić słowami, skoro tyle rzeczy może powstawać w stałym porządku! Idzie wiosna i Wenus, a przodem kroczy skrzydlaty zwiastun Wenery. Im zaś Matka Kwietna[13] zasypuje zawczasu całą drogę w ślad śladów zefira i zapełnia wybranymi barwami i zapachami. Z kolei następuje skwarne lato, a razem z nim zakurzona Ceres jako towarzyszka i doroczne podmuchy akwilonów. Potem nadchodzi jesień: razem kroczy Euhius Euan. Potem następują inne, burzliwe czasy i wichury, głucho grzmiący wolturn i gromowładny auster. W końcu grudzień przynosi śnieżyce i chłód dokuczliwy. Wlecze się zima, a za nią idzie mróz, szczękający zębami. Tym mniej jest więc dziwne, jeśli w oznaczonym czasie rodzi się księżyc i w oznaczonym czasie znowu ginie, skoro tyle rzeczy może powstawać w czasie na włos oznaczonym. (705–750)

Trzeba myśleć również, że zaćmienie słońca i nowie księżyca może powodować większa ilość przyczyn. Dlaczego bowiem mógłby księżyc odcinać ziemię od światła

[13] *Matka Kwietna*, bogini Flora. *Akwilony*, wichry północne. Euhius Euan, Dionizos (Bakchus), na którego cześć wydawano podczas obchodów, związanych z winobraniem, okrzyki „euoi", „euan". *Wolturn* i *auster*, wiatry południowe; zefir (*favonius*), wiatr zachodni (por. I 11).

słońca i przeciwstawiać mu od strony ziemi swą wyniosłą głowę, zwracając ciemny krąg ku palącym promieniom, równocześnie zaś tego nie mogłoby robić jakieś inne ciało, co stale się toczy bez światła? Lub dlaczego zmożone słońce nie mogłoby w stałej porze tracić swoich ogni, a potem wznawiać światła, skoro minie na swej wiewnej drodze miejsca wrogie płomieniom, co gaszą i przyprawiają ognie o zgubę? I dlaczego ziemia znowu mogłaby pozbawiać światła księżyc i – sama w górze – trzymać słońce w dole, gdy on w miesięcznych okresach mknie przez ostre cienie stożka, równocześnie zaś inne ciało nie mogłoby podbiec pod księżyc lub mknąć nad kręgiem słońca i przerywać jego promieni wraz z potokiem światła? A jeśli wreszcie księżyc własnym blaskiem błyszczy, to dlaczego nie mógłby w danej stronie świata słabnąć, gdy sobie drogę toruje przez miejsca wrogie swemu światłu? (751–770)

Skoro zaś wytłumaczyłem sposób wszelakiego zjawiska na błękitach ogromnego świata, byśmy poznać mogli, jaka siła i jaka przyczyna wywołuje rozmaite biegi słońca i drogi księżyca oraz jakim sposobem mogą gasnąć, gdy światło dozna przeszkody, i niespodziewaną ciemnością spowijać całą ziemię, kiedy mrużą niejako swe oczy i, otwarłszy je znowu, opromieniają wszystkie miejsca powodzią jasnego blasku, to teraz powrócę chyba do młodości świata i do miękkich pól ziemi: co też uchwaliły w świeżym porodzie najpierw wydać na brzegi światłości i powierzyć niepewnym wichrom? (771–782)

Ziemia wydała najpierw ród roślin i strojną zieleń dokoła pagórków i po wszystkich polach. Zabłysły kwieciste łąki zieloną krasą. Potem puszczono wodze i dano rozmaitym drzewom wielki wyścig wzrostu przez powiewy. Jak na członkach czworonogów i na ciele ptaków rodzi się najpierw pierze, włos i szczeć, tak nowa podówczas ziemia najpierw rośliny i krzewy zrodziła, a potem stworzyła mnogie pokolenia śmiertelne, które powstały na wiele różnych sposobów. Albowiem ziemne stworzenia ni z nieba spaść nie mogły, ni wynijść ze słonych czeluści. A zatem słusznie uzyskała ziemia imię matki, ponieważ wszystko zrodziło się z ziemi. I wiele stworzeń jeszcze teraz z ziemi się lęgnie dzięki życiodajnym deszczom i gorącemu ciepłu słońca. Tym mniej jest więc dziwne, że wówczas powstały większe i w większej ilości, jako że wzrosły na nowej ziemi pod nowym eterem. Najpierw skrzydlaty ród różnych ptaków jaja opuszczał po wykłuciu się w wiosennej porze, tak jak teraz z własnego popędu opuszczają w lecie swe smukłe skórki polne koniki w pogoni za życiem i pożywieniem. Wtedy ci po raz pierwszy wydała ziemia śmiertelne plemiona. Wielkie bowiem gorąco i wilgoć panowały na polach. Więc gdzie się nadarzyła jakaś okolica, tam rosły łona, uczepione korzeniami ziemi. A gdzie je w porze dojrzewania otworzył wiek niemowląt, uciekających od wilgoci i dążących na powiewy, tam zwracała natura pory ziemi i niewoliła tryskać z żył otwartych sokiem podobnym do mleka. Podobnie napełnia się teraz słodkim mlekiem każda położnica, ponieważ ów cały pęd pokarmu zwraca się do piersi. Ziemia dostarczała dziatwie pożywienia, ciepło było za suknię, a bujna, miękka i puszysta trawa za wezgłowie. Świeży świat zaś nie zsyłał ni srogich mrozów, ni zbytnich skwarów, ni potężnych wichur. Wszystko bowiem rośnie zarówno i sił nabiera. (783–820)

Słusznie więc, powtarzam raz jeszcze, uzyskała ziemia swe imię matki, ponieważ sama zrodziła ród ludzi i prawie o tym samym czasie wydała cały rój zwierzyny, co wszędzie hasa po górach wysokich, oraz ptaki powietrzne o roz-

maitych postaciach. Lecz ponieważ musi być jakiś kres rodzenia, więc ustała, jak niewiasta wyczerpana wiekiem. Czas bowiem przeobraża naturę całego świata i z konieczności inny stan wszystko przejmuje po innym. I żadna rzecz nie pozostaje podobna do siebie. Wszystko wędruje, wszystkiemu każe się natura zmieniać i przeistaczać. Albowiem jedna rzecz próchnieje i więdnie w niemocy starości, a inna znowu nabiera blasku i wychodzi z poniżenia. Tak więc czas zmienia naturę całego świata i inny stan przejmuje ziemię po innym: ma nie móc, co mogła, a móc, czego nie wydała przedtem. (821–836)

I wiele jeszcze usiłowała ziemia natworzyć wówczas potworów o dziwacznych licach i członkach, dwupłciowego, a właściwie nijakiego mieszańca, częścią beznogie, to znowu rąk pozbawione straszydła, a nawet nieme bez ust[14]. Znalazły się ślepe bez oczu lub z członkami przyrośniętymi do całego ciała, tak iż nie mogły ni sprawić niczego, ni się nigdzie ruszyć, ni złego unikać, ni brać, czego trzeba. Rodziła jeszcze inne podobne potwory i poczwary. Daremnie! Albowiem natura nie dopuściła do rozwoju i nie mogły osiągnąć upragnionego kwiatu życia ni znaleźć pokarmu, ni się zespalać w pieszczotach Wenery. Widzimy bowiem, że musi zbiec się wiele rzeczy, ażeby twory mogły krzewić dalsze pokolenia. Musi być najpierw dostatek pokarmu, a następnie droga, którędy przez ciało mogą ciec rodne ziarna z naprężonych członków, tudzież żeby samica mogła łączyć się z samcami, muszą mieć oboje narządy do zamieniania swych wzajemnych uciech. (837–854)

[14] Według Empedoklesa (fragm. A 70,72, B 57–62) z ziemi wyłoniły się najpierw poszczególne członki ludzkie i zwierzęce, które łączyły się z sobą w różne przypadkowe skupienia, aż w końcu powstały z nich organizmy zdolne do życia i do wydawania potomstwa.

I wiele wówczas musiało zaginąć stworzonych pokoleń, nie mogąc rozkrzewić dalszego potomstwa. Wszystko bowiem, co w twych oczach wchłania życiodajne wiewy, zachowała, otoczywszy opieką od zarania życia, albo chytrość, albo dzielność, albo wreszcie chyżość. Wiele także stworzeń, które nam zalecił ich trwały pożytek, weszło pod naszą opiekę. Po pierwsze, srogi ród i okrutne pokolenia lwów ochroniła dzielność, lisy chytrość, a jelenie zdolność do ucieczki. Czujne natomiast, wierne i pełne przywiązania psy, wszystek ród, co się począł z pociągowego nasienia, oraz wełniste trzody i rogate stada – wszystko to weszło, Memmiuszu, pod opiekę ludzi! Skwapliwie bowiem uciekły od dzikich zwierząt i poszły za pokojem oraz za obfitą paszą, zdobytą bez własnych zachodów, którą dajemy w nagrodę ich pożytku. Jakim jednakże żadnej z tych rzeczy nie użyczyła natura, ani by same mogły żyć o własnych siłach, ani żeby nam niosły jakiś pożytek, a my byśmy za to pozwolili ich rodzajowi paść się i żyć bezpiecznie pod naszą opieką, te wszystkie zwierzęta leżały oczywiście w sidłach swego przeznaczenia, wydane na łup i pastwę innym, aż natura ten ród wygubiła ze szczętem. (855–877)

Lecz ani centaurów nie było, ani w żadnym czasie nie może być tworów o dwoistej naturze i dwojakim ciele, skleconych z członków obcorodnych, jak gdyby mogła być równa zdolność stąd i zowąd, a nierówna siła. Można to z tego zmiarkować nawet przy najtępszym sercu: po pierwsze, żwawy koń rozkwita po trzech okrągłych latach, ale nie chłopię. Często bowiem jeszcze wtedy będzie szukać we śnie mlecznych wypukłości piersi. Gdy potem konia w starości krzepkie siły zawodzą i członki tracą swą sprężystość w miarę uciekającego życia, wówczas dopiero świta owemu chłopięciu młodość w kwiecie wieku i miękkim puchem

obleka policzki. Nie wierz przypadkiem, jakoby z człowieka i z pociągowego nasienia koni mogły się rodzić istotnie centaury albo jakoby istniały o półmorskich ciałach scylle, z wściekłymi sukami u pasa, i reszta podobnych stworów, u których widzimy niezgodne między sobą członki! Przecież nie kwitną jednakowo, nie nabierają sił cielesnych, nie tracą ich w podeszłej starości, nie płoną podobną Wenerą, nie zgadzają się w tych samych obyczajach ani nie zaznają przyjemności z tych samych rzeczy po członkach. Oto widzieć można, że brodate trzody tuczy często szalej, który jest dla człowieka zjadliwą trucizną. A skoro przecie ogień pali zazwyczaj i parzy tak samo żółte cielska lwów, jak wszelkie mięso i krew, jakie tylko istnieją na ziemi, to jakim sposobem jedna, z potrójnym ciałem chimera, z przodu lew, z tyłu wąż, w środku zaś ona sama, mogłaby wyziewać pyskiem z ciała okrutny płomień na zewnątrz? Dlatego ten, co oparłszy się jeno na tym jednym i pustym słowie nowości, zmyśla, że na nowej ziemi i pod świeżym niebem mogły powstawać podobne stworzenia, może sobie wypuszczać z ust tysiące bredni w podobny sposób! Niechże potem gada, że wszędzie po ziemi płynęły złociste strumienie i że krzewy kwitły zwyczajnie perłami lub że człowiek zrodził się z takim rozmachem członków, iż przez morskie głębiny mógł stawiać kroki i rękoma całe niebo dokoła siebie obracać. Albowiem, choć istotnie wiele było w ziemi ziaren rzeczy, kiedy po raz pierwszy ziemia zrodziła stworzenia, nic jednak nie wskazuje na to, żeby mogły rodzić się mieszańce zwierzęce i posklecane ciała stworzeń, ponieważ i te rodzaje roślin, zboża i bujne krzewy, co jeszcze teraz rodzą się z ziemi obficie, nie mogą się rodzić we wzajemnych zrostach, lecz każda rzecz postępuje swym utartym szlakiem i wszystkie zachowują swe odrębne cechy na mocy niewzruszonego wyroku natury. (878–924)

Atoli ów ród ludzi na polach był o wiele twardszy, jak przystałe temu, który zrodziła twarda ziemia. Większe i tęższe kości umacniały go w pośrodku, potężne ścięgna dzierżyły po członkach. Więc nie ulegał łatwo ni skwarom, ni mrozom, ni nowości pokarmu, ni żadnej słabości ciała. I przez mnogie lata słoneczne, toczące się po niebie, pędzili oni żywot tułaczy na sposób dzikich zwierząt. Nie było nikogo, kto by krzepko kierował krzywym pługiem ni kto by umiał żelazem miękczyć rolę lub nowe pędy zakopywać w ziemi, a stare gałęzie obcinać sierpem z drzew wyniosłych. Czego użyczyło słońce i deszcze, co ziemia sama z siebie zrodziła, ta darowizna zaspokajała serdeczne pragnienia. Ucztowali najczęściej pośród dębów, niosących żołędzie. A te jagody, co teraz szkarłatną barwą, jak widzisz, dojrzewają o zimowej porze, rodziła wówczas ziemia w ogromnych ilościach – i to okazalsze. I wiele jeszcze innych cierpkich żerów, lecz dla ludzkich nędzarzy istnych smakołyków, wydała wówczas świeża bujność świata. Wołały zaś, by gasić pragnienie, rzeki i źródła, jak teraz wodospad z gór wysokich donośnie przyzywa spragnione pokolenia zwierząt na szerokiej przestrzeni. Znali wreszcie tułacze leśne przybytki wód. Wiedzieli, iż ich mokre nurty zmywają szczodrą falą śliskie i mokre głazy, mokre głazy, ściekające kroplami po mchu zielonym, a w części tryskają obficie w szczerym polu. Nie umieli jeszcze obchodzić się z ogniem ni skór używać i ciała oblekać w łupy z dzikich zwierząt, lecz mieszkali w kniejach, w wydrążeniach gór i w lasach. Swoje brudne członki składali pośród zarośli, zmuszeni uchodzić przed chłostą wichrów i deszczy. Nie umieli baczyć na wspólne dobro, nie znali między

sobą żadnych obyczajów ni użycia praw. Jaką komu zdobycz los nastręczył, tę każdy unosił, nauczony dbać tylko o siebie i żyć własnym przemysłem. Wenus zaś kojarzyła w lasach ciała kochanków. Stręczyła bowiem za każdym razem albo wzajemna żądza, albo szalony gwałt męża i chuć nieposkromiona, albo wynagrodzenie w postaci żołędzi i jagód lub wybranych gruszek. Ufni zaś w zadziwiającą dzielność rąk i nóg ścigali leśne pokolenia dzikich zwierząt z kamieniami do rzucania i z maczugą o wielkim ciężarze. Wiele z nich gromili, niewielu unikali w kryjówkach. I gdy ich noc zaskoczyła, niczym szczeciniaste dziki kładli swoje nagie, leśne członki na ziemi, zagrzebując się w kupie liści. Nie wzywali z wielkim narzekaniem dnia i słońca, błądząc trwożnie w nocnych cieniach, lecz we śnie kamiennym cicho czekali, aż słońce roznieci różaną pochodnią światło na niebie. Nawykli bowiem od dzieciństwa widzieć zawsze narodziny ciemności i światła w przemiennej kolei, a więc nigdy nie mogło zrodzić się zdziwienie ni trwożny niepokój, czy ziemi nie ogarnęła wieczna noc, usunąwszy na zawsze słoneczne światło. Lecz troską było raczej to, że pokolenia dzikich zwierząt niejednokrotnie zakłócały nieszczęsnym nieszczęsny spoczynek. I z domu wygnani musieli uciekać ze skalnych przytułków, gdy nadszedł spieniony odyniec lub potężny lew, i późną nocą ustępowali w popłochu okrutnym gościom legowisk usłanych z liści. (925–987)

Wówczas z jękiem, lecz nie o wiele częściej niż teraz, śmiertelne plemiona opuszczały słodkie światło życia. Bo wówczas z nich jeden za drugim padał raczej łupem dzikich zwierząt. Darty zębami dostarczał im żywego żeru i zapełniał szlochami knieje, góry, lasy, widząc, jak żywe ciało ginie w żywym grobie. A ci, których z nagryzionym

ciałem ocaliła ucieczka, przyciskając później drżącymi dłońmi wraże rany, przyzywali okropnym głosem Orkusa, aż pozbawionych pomocy, nieświadomych, czego chcą rany, okrutne boleści zbawiły żywota. Atoli jeden dzień nie przyprawiał o zgubę wielu tysięcy mężów pod wodzą sztandarów. Nie rozbijały o skały okrętów i ludzi spienione bałwany morza. Wówczas wzburzone morze srożyło się nieraz na darmo, na próżno, na marne i tak samo składało swoje puste groźby, bo nikogo uśmiechami fal nie mógł zwabić na zgubę podstępny powab spokojnego morza. Niegodziwa przyczyna żeglugi leżała wówczas w mroku[15]. Wówczas morzył wreszcie brak pożywienia mdlejące członki, teraz natomiast dławi zbytek. Tamci niebacznie często sami sobie wlewali truciznę, dzisiaj zadają ją sprytniej, bez szkody dla siebie. (988–1010)

Skoro potem chaty, skóry i ogień przysposobili, a kobieta razem z mężem osiadła na jednym miejscu[16]. . . . zostały poznane i ujrzeli potomstwo zrodzone z siebie, wtedy dopiero zaczął mięknąć ród ludzi. Ogień bowiem sprawił, że zdrętwiałe ciała nie mogły już tak znosić zimna pod sklepieniem nieba, Wenus nadwątliła siły, a dziatek pieszczoty łatwo przełamały dumne usposobienie rodziców. Wówczas to przyjaźń zaczęli zawierać sąsiedzką, pragnąc uniknąć wzajemnych krzywd i gwałtów, i dzieci wraz z niewieścim pokoleniem zlecali sobie w opiekę, dając do zrozumienia bełkotem i ruchami, że wszyscy powinni mieć li-

[15] Rzymianie uważali często za główną przyczynę budowy statków i morskiego handlu unieszczęśliwiającą ludzi pogoń za zbytkiem (por. V 1430 n.).

[16] W tekście przekazanym przez kodeksy został prawdopodobnie opuszczony jeden wiersz, w którym była mowa o „poznanych" radościach stałego małżeństwa.

tość dla słabych. A chociaż zupełnej zgody być jeszcze nie mogło, to przecież wielka i znaczna część wiernie dochowywała przymierza – lub też ród ludzki już wtedy byłby zaginął ze szczętem i szczep nie mógłby doprowadzić pokoleń aż dotąd. (1011–1027)

Natura zaś zniewoliła wysyłać rozmaite językowe dźwięki, a pożytek wykuł imiona rzeczy. W zgoła nie inny sposób w naszych oczach sama niejako niemoc języka popycha niemowlęta do ruchu, sprawiając, że na obecne przedmioty wskazują palcem. Każdy bowiem czuje swą siłę, aż jej wreszcie zdoła użyć. Zanim się zrodzą sterczące rogi po obu stronach na czole cielaka, już nimi godzi w gniewie i wrogo bodzie. A znowu pomiot panter i małe lwięta już wtedy używają pazurów, łap i zębów do walki, kiedy się jeszcze ledwie wykłuły pazury i zęby. Widzimy dalej, że cały ród ptasi pokłada ufność w skrzydłach i w piórach szuka drżącego oparcia. Sądzić przeto, że ktoś wonczas rozdzielił rzeczom imiona i że stąd pierwszych słów się nauczyli ludzie, jest szalonym głupstwem. Dlaczego bowiem on jeden mógłby wszystko oznaczać głosami i wypuszczać rozmaite dźwięki językowe, a inni tymczasem mieliby tego nie móc? Jeśli zresztą ci inni nie używali słów pomiędzy sobą, to skąd się wzięła ta świadomość pożytku i skąd się owemu twórcy owa moc dostała, by wiedział i widział umysłem, czego chce dokonać? Nie mógł również jeden przymusić wielu, pokonać ich i tak ujarzmić, żeby zechcieli wyuczyć się imion rzeczy. I na żaden sposób nie jest łatwą rzeczą uczyć i przekonywać głuchych, co trzeba robić. Aniby bowiem ścierpieli, aniby sobie żadną miarą dłużej nie dozwolili obijać daremnie uszu nieznanymi dźwiękami. Cóż jest w tym wreszcie tak bardzo dziwnego, że ród ludzki, w którym była sprawna moc głosu i języka,

stosownie do różnych uczuć oznaczał rzeczy różnymi głosami, skoro nieme bydlęta, skoro nawet pokolenia dzikich zwierząt mają zwyczaj wydawać rozmaite i niepodobne do siebie głosy, kiedy jest strach lub ból i kiedy wzbiera radość? Przecież można to poznać na jawnych przykładach: oto ogromne, miękkie pyski podrażnionych molosów[17] zrazu warczą, obnażając twarde zęby. Zupełnie innym dźwiękiem grożą, gdy powściągają swą wściekłość i kiedy już szczekają i zapełniają wszystko ujadaniem. Zupełnie inaczej skomlą pieszczotliwym głosem, kiedy próbują łagodnie polizać językiem szczenięta albo gdy je przewracają łapami i chwytając w zęby naśladują z podniesionymi kłami delikatne chłeptanie i kiedy wyją w opuszczonym domu, albo gdy z podwiniętym pod siebie ogonem uciekają przed chłostą i skuczą. Czyż wreszcie rżenie nie różni się również wyraźnie, kiedy w kwiecie wieku młodociany ogier wśród klaczy szaleje pod ostrogami skrzydlatej miłości i kiedy z rozdętych chrapów parska ochotą do boju, i kiedy innym razem ot, ciałem wstrząśnie i zarży? W końcu skrzydlaty ród różnych ptaków, jastrzębie, orły i rybitwy, goniące za życiem i pożywieniem w słonych falach morza, wydają co chwilę zupełnie inne głosy, niż kiedy walczą o żywność i toczą bój ze zdobyczą. Niektóre zmieniają razem z pogodą ochrypłe wrzaski, jak wiekowe pokolenia wron i stada kruków, kiedy to mówi się o nich, że krzyczą o wodę i deszcze, a czasem że przywołują wichry i wiatry. Jeżeli więc różne uczucia zmuszają nawet nieme stworzenia do wydawania rozmaitych głosów, to o ileż jest prawdopodob-

[17] *Molosowie*, mieszkańcy wschodniego Epiptu, słynęli z hodowli bydła tudzież wielkich i bardzo sprawnych psów pasterskich, zwanych tu także „molosami".

niejsze, że ludzie mogli wówczas niepodobne do siebie rzeczy oznaczać coraz to innym głosem? (1028–1090)

Abyś zaś przy tych rzeczach o to przypadkiem po cichu nie pytał, to ogień na ziemię zniósł po raz pierwszy śmiertelnym piorun i stąd pochodzi wszelki żar płomieni. Widzimy bowiem, że wiele rzeczy lśni barwą niebieskich płomieni, kiedy uderzenie z nieba obdarzy je gorącem. Ale i kiedy pod naporem wichrów słania się i miota rozłożyste drzewo, napierające na gałęzie sąsiedniego drzewa, bywa wyciskany ogień skutkiem potężnego tarcia i nieraz wybucha gorący żar płomienia, podczas gdy pnie i konary trą się wzajemnie o siebie. Jedna i druga z tych rzeczy mogła dać ogień śmiertelnym. Potem nauczyło słońce gotować pokarm i łagodzić go żarem płomienia, ponieważ widzieli, że wiele rzeczy łagodnieje pod zwycięskimi ciosami promieni i skwaru na polach. (1091–1104)

I z dnia na dzień coraz więcej ci, co górowali zdolnością i mieli bystre serce, uczyli zmieniać dawniejszy sposób życia i pożywienia nowymi środkami, jak na przykład ogniem. Królowie zaczęli zakładać grody i warować zamek, jako miejsce obrony i schronienie dla samych siebie. Rozdzielili i nadali bydło i pola wedle urody każdego, sił i zdolności. Wielkie bowiem znaczenie miała uroda i krzepkie siły. Później wynaleziono majątek i odkryto złoto, które łatwo pozbawiło czci tak krzepkich, jak i urodziwych. Oto w orszaku bogatszego ciągną najczęściej i najdzielniejsi, i najurodziwsi. Ale zaiste, jeśli ktoś się w życiu kieruje prawdziwą mądrością, to wielkim bogactwem jest dla człowieka żyć skromnie w pogodzie ducha, bo nigdy nie brak małego. Atoli im się zachciało zostać sławnymi i potężnymi ludźmi, żeby ich szczęście stanęło na trwałej opoce i żeby mogli bez troski opływać w dostatki! Daremnie! Bo oto, dążąc uparcie do najwyższego zaszczytu, dokonali wprawdzie swej zawrotnej drogi, ale zawiść strąca nieraz, jakby ciosem gromu, ze szczytu w haniebne piekło wzgardy. Zawiścią bowiem, jak piorunem, szczyty dymią najczęściej i wszystko, co ponad innym góruje. Już lepiej jest przeto słuchać spokojnie niż chcieć władzy i królowania nad światem. Zostaw ich tedy! Niech się męczą na próżno w krwawym znoju, walcząc do upadłego na wąskiej ścieżynie próżności. Oto swą mądrość czerpią z cudzych ust i dochodzą rzeczywistości raczej z tego, co zasłyszeli, niż z tego, co widzą. A jest to teraz i jeszcze będzie w przyszłości tak samo, jak przedtem bywało. (1105–1135)

Więc po rzezi królów leżała w upadku dawna świetność tronów i dumne berła, a wspaniała, czoło zdobiąca korona, krwią pokalana, opłakiwała swoją wielką cześć pod nogami pospólstwa. Chętnie bowiem depta się to, co przedtem zbytni strach budziło. Tak wszystko schodziło do mętów i błota, gdyż każdy chciał najwyższą władzę dla siebie zagarnąć. Potem część poradziła wybierać urzędnika i ustanowiła prawa, by zechcieli trzymać się ustaw. Albowiem ród ludzki, znękany życiem pełnym gwałtu, upadał pod ciężarem osobistych waśni. Tym też dobrowolniej sam sobie nałożył ciasne jarzmo praw i ustaw. A ponieważ istotnie każdy w przystępie gniewu gotował się do okrutniejszej pomsty, niż teraz dozwalają bezstronne prawa, z tego powodu obrzydło ludziom życie pełne gwałtu. Odtąd strach przed karami kala radość życia. Na każdego bowiem zastawia swe sieci gwałt i krzywda i do tego, od kogo wyszła, najczęściej powraca. I niełatwo jest temu wieść pogodne i spokojne życie, kto stargał zbrodniami wspólne przymierze pokoju. Choćby bowiem oszukał ród bogów i ludzi, to jednak musi powątpiewać, czy tak zawsze bę-

dzie, zwłaszcza że wielu miało nieraz, mówiąc we śnie lub majacząc w gorączce, wydobyć i wydać na światło swe utajone zbrodnie i grzechy. (1136–1160)

A teraz, jaka przyczyna rozwielmożniła bóstwa po wielkich narodach, zapełniła ołtarzami miasta i pobudziła do zaprowadzenia świątecznych obrzędów, które to obrzędy kwitną teraz w uroczystych chwilach i miejscach i za sprawą których teraz jeszcze śmiertelnym jest wszczepiona groza, co na całym ziemskim kręgu wyłania nowe przybytki bogów i zniewala odwiedzać je w dni uroczyste – wszystko to nie jest tak trudno wytłumaczyć w słowach. Oto już wówczas śmiertelne plemiona oglądały duchem cudowne kształty bogów na jawie, a jeszcze dziwniej we śnie rosły rozmiary ich ciała. Więc przyznawano im czucie, ponieważ było widoczne, jak ruszali członkami i wydawali dumne głosy, godne wspaniałego wyglądu i sił okazałych. Wiecznym zaś życiem darzono dlatego, że wiecznie nastręczał się ich kształt i że postać nie ulegała zmianie, przede wszystkim zaś dlatego, że nie przypuszczano w ogóle, by uposażonych tak potężną siłą mogła jakaś moc łatwo pokonać. A z tego znowu powodu sądzili, że bogowie szczęściem ogromnie górują, ponieważ żadnego z nich nie dręczy strach przed śmiercią oraz ponieważ widzieli w snach, jak dokazywali wielu, i to nadzwyczajnych rzeczy, a żadnego stąd zgoła nie doznawali zmęczenia. Widzieli nadto, że urządzenia niebieskie i różne pory roku wracają w stałym porządku, a przyczyn tego nie mogli odgadnąć. Więc się uciekli do tego, by bogom wszystko poruczyć i myśleć, że ich skinienie wszystkim kieruje. Dlatego zaś w niebie umieścili siedziby i przybytki bogów, ponieważ noc i księżyc toczą się, jak widać, po niebie, księżyc, dzień, noc i surowe godła nocy, błędne nocne żagwie i lotne ognie niebieskie, chmury, słońce, deszcze, śnieżyca, wichry, pioruny, grad tudzież szybkie grzmoty i długie, groźne pogłosy. (1161–1193)

O, jakże się unieszczęśliwił ród ludzki, kiedy takie czyny przysądził bogom i przydał srogie gniewy! O, jakże strasznych jęków stali się sami sobie podówczas przyczyną, jak strasznych ran dla nas i ilu łez dla naszych potomnych! Bo żadnym zaiste nie jest nabożeństwem pokazywać się często z zakrytą głową i kręcić się koło kamienia, i przystępować do wszystkich ołtarzy lub tarzać się na ziemi i wyciągać dłonie przed przybytkami bogów, lub potokami bydlęcej posoki bluzgać na ołtarze, lub śluby doczepiać do ślubów, lecz raczej mieć tę moc patrzenia na wszystko z umysłem w pokoju. Kiedy bowiem patrzymy z podziwem na niebieskie przybytki ogromnego świata, na eter, wysadzany w górze migotliwymi gwiazdami, i kiedy na myśl przychodzą drogi słońca i księżyca, wówczas budzi się jeszcze ta, innymi zgryzotami przytłumiona, troska i głowę zaczyna podnosić ku piersi, czy też przypadkiem nie mamy do czynienia z jakąś niezmierną potęgą bogów, co jasne ciała niebieskie obraca rozmaitym ruchem. Bo niepewny umysł dręczy brak pewności, zali był jakiś rodny początek świata i zali jest zarazem jakiś kres, jak długo wały świata zdołają wytrzymać ten trud nieustannego ruchu albo też zali z bożego wyroku wiecznym obdarzone bytem będą mogły urągać potężnym siłom niezmierzonego czasu, mknąc bez przerwy szlakiem wieków. Komuż nadto serca nie ściska lęk przed bogami, komuż blada trwoga członków nie porazi, kiedy spalona ziemia drży pod straszliwym ciosem gromu i kiedy łoskoty przebiegają po ogromnym niebie? Czyż nie dygotają ludy i narody, czyż pyszni królowie nie trzęsą się w szalonym strachu przed bogami, zali też nie nadeszła

straszna chwila uiszczenia kary za jakiś haniebny występek lub za jakieś harde słowo? A także, gdy straszna siła gwałtownego wichru unosi ponad morską topielą dowódcę floty wraz z potężnymi legionami i ze słoniami, zali on ślubów nie składa, by bogów przejednać, zali wylękły nie błaga w modlitwie o wiatry spokojne i pomyślne tchnienia? Daremnie, bo często tak samo wir go gwałtowny porywa i wpędza na śmiertelne brody! Aż tak zaciekle jakaś utajona siła na proch ściera ludzkie sprawy, depta i drwi sobie niejako z pięknych rózeg i srogich toporów. Gdy wreszcie cała ziemia drży pod stopami, a wstrząśnięte grody częścią walą się w gruzy, częścią grożą w niepewności, cóż dziwnego, że sobą gardzą śmiertelne plemiona i uznają na świecie wielkie potęgi i niepojęte moce bogów, co mają wszystkim kierować? (1194–1240)

Spiż z kolei, złoto i żelazo, a również ciężkie srebro i potężny ołów wynaleziono wówczas, kiedy ogień spalił swoim żarem ogromne lasy na wysokich górach, bądź to skutkiem uderzenia piorunu, bądź że w leśnej wojnie skierowano przeciw wrogom ogień dla postrachu, bądź że znęceni dobrocią ziemi chcieli rozszerzyć żyzne pola i wsie wyposażyć w pastwiska, bądź żeby zabijać dzikie zwierzęta i wzbogacić się łupem. Jamą bowiem i ogniem wcześniej poczęto polować niż ostęp ogradzać sieciami i szczuć psiarnią. Lecz mniejsza o to, z jakiego powodu ognisty żar wygryzł lasy z okropnym trzaskiem aż do głębokich korzeni i ziemię ogniem przeprażył, dość, że z kipiących żył ciekł strumień złota i srebra, a również spiżu i ołowiu i zbierał się we wklęsłościach ziemi. Ludzie zaś, widząc później, jak lśniły po zastygnięciu jasnym blaskiem na ziemi, podnosili je, ujęci błyskiem i gładkim powabem. Widzieli także, że ukształtowały się podobnie do swoich poszczególnych

wgłębień i łożysk. Wtedy zaczynało im świtać, że kruszce, stopione w gorącu, mogą przybierać wszelką postać i kształt rzeczy, a dalej że dadzą się wykuwać na najbardziej kończyste i ostre brzeszczoty, a więc dostarczą im narzędzi, by mogli lasy wycinać, pnie obciosywać, skrobać gładkie belki, a nawet wiercić, przebijać i przedziurawiać. Z początku próbowali to robić nie mniej srebrem i złotem niż potężnym i gwałtownym spiżem, ale daremnie, ponieważ ta moc ulegała, ustępowała i nie mogła na równi znosić twardego trudu. Wówczas spiż był w większej cenie, a złoto o ostrzu zgiętym i stępionym leżało w pogardzie z powodu swej niezdatności. Teraz gardzi się spiżem, a złoto dostąpiło czci najwyższej. Tak czas toczy kołem i zmienia chwile rzeczy. Co było w cenie, staje się w końcu bezecne, a znowu wybija się coś innego i wychodzi z poniżenia: z dnia na dzień ma większy popyt, wykryte kwitnie sławą i cieszy się niezwykłym uznaniem pośród śmiertelnych. (1241–1280)

A teraz jest ci już łatwo rozeznać samemu, Memmiuszu, jakim sposobem odkryto naturę żelaza. Pierwotną bronią były pięści, pazury i zęby, a również kamienie i ułamki leśnych konarów jako też płomień i ognie, skoro je tylko poznano. Później wynaleziono moc żelaza i spiżu. I pierwej poznano użytek spiżu niż żelaza, jako że ma ustępliwszą naturę i że go jest więcej. Spiżem obrabiali łono ziemi, spiżem szerzyli zamęty wojenne i zadawali potworne rany, rabowali bydło i pola. Albowiem łatwo im uzbrojonym ustępowało wszystko nagie i bezbronne. Potem pojawił się z wolna miecz żelazny i kształt spiżowego sierpa został podany w niesławę. Żelazem zaczęli krajać łono ziemi i wyrównały się szale niepewnej wojny. I pierwej zbrojny mąż dosiadał grzbietu rumaka, kierował nim wodzami i gromił prawicą, a później dopiero na dwukonnym wozie wstępo-

wał w bój niebezpieczny. I pierwej sprzęgano dwa konie niźli dwie pary i niż zbrojny mąż wspinał się na wozy, opatrzone w kosy. Potem słonie z wieżą na ciele, wężorękie potwory, przyuczyli Punijczycy znosić rany bojowe i w wielkich hufcach Marsa wzniecać zamieszanie. Tak jedno po drugim, co by było straszne w broni dla ludzkich plemion, zrodziła ponura niezgoda, z dnia na dzień przydając grozy okropnościom wojny. (1281–1307)

Próbowali także byków w wojennej służbie i pokusili się srogie odyńce wypuszczać na wroga. Niektórzy zaś wysłali przed sobą potężne lwy wraz z uzbrojonymi pogromcami, którzy umieli nimi kierować i trzymać na uwięzi. Daremnie! Albowiem rozjuszone w zapale ślepej rzezi wprawiały w zamęt oddziały bez żadnej różnicy, potrząsając na wsze strony straszliwym włosiem łbów. Jeźdźcy nie mogli uspokoić koni przerażonych rykiem i zawrócić wodzami na wrogów. Rozsierdzone lwice skakały na wszystkie strony. Nadchodzącym z przodu rzucały się do gardła, nieprzygotowanych porywały z tyłu i splótłszy się z nimi, waliły na ziemię pokonanych raną, wpiwszy potężne kły i krzywe pazury. Swoich w powietrze wyrzucały byki. Tratowały racicami, rogami rozpruwały z dołu boki i brzuchy końskie i groźnym czołem ryły ziemię. Potężnymi kłami płatały sprzymierzeńców rozjuszone dziki, zlewając własną krwią połamane groty, połamane na sobie groty własną krwią zlewając. Tak pośród jeźdźców, jak pośród pieszych szerzyły zniszczenie. Daremnie bowiem próbowały bezbronne bydlęta bokiem uniknąć ciosów kła okrutnego lub stawały dęba i biły kopytami powietrze. Widziałbyś oto, jak się waliły z podciętymi pęcinami i w ciężkim upadku zaścielały ziemię. Jeżeli które z drapieżców przedtem uważali w domu za dość poskromione, to teraz w chwili działania widzieli w nich

kipiącą wściekłość skutkiem ran, wrzasku, popłochu, przestrachu i zamętu. I nie mogli żadnej ich części okiełzać z powrotem. Pierzchał bowiem wszystek ród rozmaitych drapieżców, tak jak teraz pierzchają często słonie, rozwścieczone nieszczęsnym żelazem, zadawszy swoim wiele srogich szkód. Może był powód, żeby tak robili, ale wierzyć mi trudno, by wprzód nie zdołali przewidzieć i przeczuć umysłem, jak szpetne nieszczęście miało spaść na wszystkich. I mógłbyś raczej twierdzić, że stało się to we wszechświecie, w rozmaitych, rozmaicie utworzonych światach niż na jakimś pewnym i jednym ziemskim okręgu. W każdym razie postanowili to uczynić nie tyle w nadziei zwycięstwa, ile żeby dać wrogom powód do biadania – i żeby sami zginęli ci, co w liczbie nie pokładali ufności i broni nie mieli. (1308–1349)

Pleciona suknia była pierwej niż tkane odzienie. Tkaninę wyprzedza żelazo, ponieważ z pomocą żelaza sporządza się tkacki warsztat[18]. I w żaden inny sposób nie mogą powstawać tak gładkie czółenka, wrzeciona, zatyczki i warczące wałki. A mężów pierwej niźli ród niewieści zniewoliła natura do wyrabiania wełny. Albowiem wszystek ród męski znacznie góruje w sztuce i ma daleko więcej sprytu. Aż wreszcie surowi rolnicy tyle im mieli do przygany, iż chętnie pozostawili to dłoniom kobiecym, a sami jęli się tak samo twardej pracy i w twardym trudzie twardły im członki i ręce. (1350–1360)

Atoli wzorem sadzenia i początkiem szczepienia była sama przyroda, tworzycielka rzeczy, ponieważ jagody i żo-

[18] Rysunek i opis tkackiego warsztatu znajduje się w zespołowej pracy pod redakcją K. Majewskiego *Kultura materialna starożytnej Grecji*, Warszawa–Wrocław 1956, s. 322 n., i w artykule Z. Gansiniec *Helleński warsztat tkacki* w „Filomacie" 1957, s. 221 n.

łędzie, co z drzew opadły, wydawały o swojej porze roje pędów na dole. Stąd także przyszła ochota, by powierzać konarom różdżki i nowe gałązki zakopywać w ziemi na polach. Następnie próbowali coraz to innej uprawy ukochanego pólka i widzieli, że ziemia łagodzi dzikie owoce, gdy ją otoczyć życzliwą opieką i uprawiać pieczołowicie. Z dnia na dzień zmuszali coraz więcej lasy do ustępowania na górę i do odstępowania miejsc na dole pod uprawne pola, ażeby mieli łąki, stawy, strumyki, łany i wesołe winnice na stokach i równinach oraz aby mogła po wzgórzach, dolinach i polach przebiegać swą siną wstęgą miedza oliwek. Podobnie widzisz teraz w różnobarwnej krasie wszystkie zasiewy, które przystrajają słodkimi jabłoniami w pośrodku tudzież szczęśliwymi krzewami ogradzają dokoła. (1361–1378)

A czyste głosy ptaków naśladować usty było rzeczą o wiele wcześniejszą wśród ludzi, niż śpiewać gładkie pieśni i uszy nimi radować. I najpierw poświsty zefira przez drążone trzciny nauczyły wieśniaków dąć w drążone łozy. Potem nauczyli się z wolna rzewnych skarg, jakie pod palcami grajków wydaje flet, wynaleziony w bezdrożnych kniejach, lasach i polankach, na pustkowiu pastuszym i boskim ustroniu. Pieściły i radowały im serca te rzeczy po sutym posiłku, albowiem wówczas wszystko przypada do serca. Często więc grono przyjaciół, rozłożywszy się na miękkiej murawie, opodal strumienia wody, pod konarami wysokiego drzewa, ucztowało wspaniale bez wielkich zachodów, zwłaszcza gdy sprzyjała pogoda, a pory roku malowały kwiatami zielone trawy. Wtedy żarty, wtedy rozmowa, wtedy słodkie chichoty były w zwyczaju. Wówczas bowiem kwitła muza wieśniacza. Wtedy korciła ucieszna swawola, by wieńczyć głowę i barki wieńcami, uwitymi z kwiatów

i z liści, a także pląsać bez rytmu, twardo ruszając członkami, i twardą stopą tupać po matce ziemi. Stąd rodziły się śmiechy i słodkie chichoty, ponieważ wtedy wszystko to miało powodzenie jako coś nowego i niebywałego. Także czujni stróże mieli stąd miast snu pociechę, że dobywali przeróżnych odgłosów, wygrywali śpiewki i zgiętą wargą przebiegali po trzcinach. Stąd zachowują ten obyczaj jeszcze teraz strażnicy. Świeżo nauczyli się miary przestrzegać, ale nie zbierają ni trochę większego plonu słodyczy, niż zbierał leśny ród potomków ziemi. Albowiem to, co jest dzisiejsze, o ile przedtem nie zaznaliśmy czegoś słodszego, podoba się szczególnie i wydaje się nieporównane. Lecz je prawie zawsze gubi lepsza rzecz, wynaleziona później, i zraża smak do wszelkiej starzyzny. Tak zaczął się wstręt do żołędzi, tak porzucono owe legowiska, usłane z trawy i spiętrzone z liści. W pogardę popadła również szata ze zwierzęcej skóry. A jej wynalazek taką, sądzę, zazdrość wówczas wzniecił, iż śmierć poniósł z zasadzki ten, co wdział ją pierwszy, a nawet że tamci na nic ją poszarpali w krwawym boju i że nie mogła przynieść żadnego pożytku. Wówczas więc skóry, dziś złoto i szkarłat trapią troskami ludzki żywot i nękają wojną. Lecz w nas leży większa, moim zdaniem, wina! Oto mróz katował nagich, skór nie mających, synów ziemi, ale nam żadnej nie wyrządza szkody brak szkarłatnej szaty, kapiącej od złota i wielkich klejnotów, bo niechaj będzie najuboższa, byleby tylko chroniła! Więc ród ludzki darmo i próżno trudzi się zawsze i w urojonych troskach trawi życie, bo oczywiście nie wie, gdzie kres posiadania i pokąd w ogóle rośnie prawdziwa rozkosz. To z wolna pognało życie na głębiny i wielkie męty wojny ode dna wzruszyło. (1379–1435)

Czujne zaś słońce i księżyc, oświecając swym światłem

wielką, obrotną świątynię świata dookoła, pouczyły ludzi o powracaniu pór roku i o tym, że dzieje się to wedle stałego planu i stałej kolei. (1436–1439)

Już żyli pośród wież potężnych. Uprawiano rozdzieloną i rozgraniczoną ziemię. Już morze kwitło lotnymi żaglami okrętów, już mieli miasta, posiłki i sojuszników po zawarciu przymierza, kiedy pieśniarze zaczęli przekazywać w pieśniach wielkie czyny. Na krótko przedtem wynaleziono pismo. Dlatego nasz wiek nie może dojrzeć, co się wcześniej działo, chyba że gdzie rozum ukazuje ślady. (1440–1447)

Okręty, sposoby uprawiania roli, wały, prawa, broń, gościńce, suknie i inne rzeczy tego rodzaju, udogodnienia, a także wszystkie zgoła uciechy żywota, pieśni, malowidła i rzeźbę zmyślnych posągów – wszystko to z wolna potrzeba wraz z doświadczeniem niestrudzonego umysłu objawiła ludziom, postępującym naprzód krok za krokiem. Tak wszystko powoli czas wydobywa z ukrycia i rozum wynosi na brzegi światłości. I oto mocą serca widzieli, jak jedno świtało z drugiego, aż w sztukach doszli do najwyższego szczytu. (1448–1457)

KSIĘGA SZÓSTA

Pierwsze niegdyś Ateny o słynnym imieniu rozdały cierpiącym śmiertelnym zbożodajne łany, podźwignęły życie i wniosły prawa[1]. Pierwsze też użyczyły słodkiej pociechy żywota, zrodziwszy męża[2] z sercem tak nieporównanym! On wszystko niegdyś objawił z ust prawdomównych! Zgasł, ale jego już dawna, z powodu boskich odkryć rozkrzewiona chwała wznosi się pod niebiosa. Zobaczywszy bowiem, że istotnie wszystko, czego koniecznie potrzeba do życia, zostało przygotowane dla śmiertelnych i że życie jest w miarę możności zabezpieczone, że możni ludzie opływają w dostatki, cześć i sławę tudzież chlubią się dobrym imieniem swych synów, a niemniej jednak każdemu lęk ściska serce w domu i niewdzięcznymi skar-

[1] Według tradycji greckiej Demetra nauczyła Triptolemosa z Eleuzis (w Attyce) uprawy zboża i wysłała go na wozie zaprzężonym w skrzydlate węże w świat szeroki, ażeby rozkrzewił po całej ziemi sławę i dobrodziejstwa bogini. Mówiąc o prawach, myślał zapewne Lukrecjusz znowu o Solonie, tak iż Epikur, a raczej jego filozofia jest w przedstawieniu poety trzecim z kolei epokowym darem, jaki ludzkość zawdzięcza Atenom. Pochwały Aten jako głównego źródła kultury ludzkiej występują bardzo często w literaturze greckiej i rzymskiej.

[2] Epikura (por. III 1 n.; V 1 n.).

gami ducha życie dręczą, jakby ich jakiś powód przymuszał srożyć się we wrogich skargach – zrozumiał, że winę ponosi tu samo naczynie i że z jego winy psuje się w nim wszystko, co tylko zostało nagromadzone z zewnątrz i jakie tylko przybyły dostatki. Albowiem widział, że z jednej strony pełne dziur przepuszcza, a więc że się nigdy nie da żadnym sposobem napełnić, z drugiej zaś zdawał sobie jasno sprawę, że ono kala niejako swym obmierzłym smakiem wszystko, co przyjmie do środka. A więc słowami prawdy oczyścił piersi i ustanowił kres żądzy i trwogi. Wytłumaczył, na czym polega najwyższe dobro, do którego wszyscy zmierzamy, i ukazał drogę, po której wąską ścieżyną moglibyśmy doń zdążać w prostym kierunku. A dalej, ile jest wszędzie zła w śmiertelnej doli, które powstaje i różnie uderza czy to dopustem, czy mocą natury, bo natura tak ustanowiła, oraz z jakich bram należy mu zabiegać za każdym razem. Udowodnił nadto, że ród ludzki toczy w piersi daremnie po największej części ponure nurty trosk. Albowiem jak dzieci biegają w popłochu i w ślepych ciemnościach wszystkiego się boją, tak my boimy się na świetle takich nieraz rzeczy, jakich zgoła więcej bać się nie należy niżeli owych strachów urojonych przez dzieci w ciemnościach. Ten tedy ducha lęk i te ciemności muszą rozprószyć nie słońca promienie ni jasne dnia pociski, lecz dokładne i głębokie poznanie natury. Tym więc usilniej będę snuć zaczęty wątek dalszymi słowami. (1–42)

A ponieważ wyłożyłem, że przybytki świata są śmiertelne i że niebo składa się ze zrodzonego ciała, tudzież przeważną część z tych rzeczy, jakie na nim się odbywają i odbywać muszą, uwolniłem od bogów, to posłuchaj jeszcze reszty, ponieważ raz wstąpić na rydwan wspa-

niały[3] . . . . . .
wszystkie inne zjawiska na ziemi i niebie, na które nieraz patrzą śmiertelni z trwożnym niepokojem w umysłach i które strachem przed bogami dlatego naginają ducha do pokory i przytłoczonych tłoczą do ziemi, że nieznajomość przyczyn zniewala oddawać świat pod jarzmo bogów i uznawać ich królowanie. Albowiem nawet ci, co dobrze pojęli naukę o beztroskim bycie bogów – dziwiąc się czasem, w jaki sposób wszystko może dochodzić do skutku, zwłaszcza w tych rzeczach, które widnieją ponad głową w eterycznych kresach, popadają z powrotem w dawne zabobony i biorą na się okrutnych ciemięzców, w których wszechmoc wierzą nieszczęśliwi, gdyż nie zdają sobie sprawy, co może być, a co nie może, z jakiej po prostu przyczyny każda rzecz ma moc ograniczoną i kres głęboko tkwiący. Tym bardziej więc błądzą, brnąc w bezrozumnym zaślepieniu. Jeśli zaś z ducha precz nie wygonisz i jeśli tych myśli niegodnych bogów i nie licujących z ich pogodą nie odepchniesz daleko od siebie, to święte moce bogów, które sam sobie poniżyłeś, nieraz staną ci w drodze. Nie żeby najwyższa moc boża była dostępna obrazie i w złości uwzięła się za to srogo ukarać, lecz że właśnie ty sam będziesz myślał o nich, zażywających pokoju i błogiej pogody, jakoby toczyli rozhukane bałwany gniewów. I ani nie przystąpisz z pogodną piersią do przybytków bogów, ani tych wizerunków, co zwiastują boską postać i zdążają ze świętego ciała do ludzkich umysłów, nie zdołasz przyjąć w pokoju i pogodzie ducha. A jakie potem już życie nastanie, można przewidzieć. Żeby nas więc przynajmniej od niego zbawi-

[3] Wiersze 48–49 są niezrozumiałe w tej postaci, w jakiej zostały przekazane, i dlatego zostały pominięte w przekładzie.

ła ta najprawdziwsza nauka, to mimo że wiele wyśpiewałem, wiele jeszcze zostaje i domaga się szaty wygładzonych wierszy. Trzeba być wiernym sprawie i drodze niebiańskiej, trzeba opiewać burze i jasne pioruny, co mianowicie czynią i z jakiego powodu spadają, ażebyś po rozdzieleniu części nieba nie drżał w szalonym niepokoju, skąd też przybył lotny ogień albo w którą stronę stąd się zwrócił, jakim sposobem wtargnął poprzez ściany i jak się stąd wyniósł ciemiężca. Ty, o przewodnia muzo, Kalliope[4], pociecho ludzi i rozkoszy bogów, drogę mi ukazuj w tym ostatnim biegu do jasnego celu, ażebym za twoim przewodem zdobył wieniec z niebywałą chwałą. (43–95)

Po pierwsze, grzmot wstrząsa niebieskie błękity, ponieważ eteryczne chmury, lecące wysoko, uderzają o siebie podczas walki przeciwnych wichrów. Oto odgłos nie dochodzi z pogodnej strony nieba, lecz gdzie tylko są chmury w gęstszym szyku, stamtąd i wtedy tym częściej rozlega się wielki łoskot. Chmury nie mogą mieć zresztą ani tak gęstego ciała, jak kamienie i kłody, ani też być tak nikłe, jak mgły i lotne dymy. Musiałyby bowiem albo spadać pod naciskiem swego bezwładnego ciężaru jak kamienie, albo jak dym nie mogłyby trzymać się w skupieniu tudzież zawierać zimnych śniegów i gradowych deszczy. Wydają jeszcze ponad płaszczyznami rozległego świata taki odgłos, jak to czasem szeleści muślin rozpięty w wielkich teatrach, trzepocząc pośród masztów i żerdzi. Oto pęka niekiedy i hasa z rozwydrzonymi wiewami, naśladując do złudzenia słabe szmery kartek. Można bowiem także ten rodzaj szmeru roz-

[4] *Kalliope*, dziewiąta, czyli ostatnia (i najczcigodniejsza) muza, uważana za opiekunkę epicznej poezji. Empedokles (fragm. B 131) zwraca się do Kalliopy z prośbą o pomoc, kiedy zamierza mówić o „szczęsnych bogach".

poznać w grzmocie albo jak kiedy wichry rozwieszoną odzież lub ulotne kartki biorą w obroty swymi uderzeniami i chłoszczą w powiewach. Bo czasem zdarza się także, że chmury nie mogą uderzyć czołami o siebie, lecz raczej suną bokiem i przeciwnym ruchem ocierają się przeciągle; stąd to ów suchy łoskot trzeszczy w uszach i ciągnie się długo, aż wyjdą z ciasnoty. (96–120)

Często zdaje się jeszcze, jakby wszystko drżało wstrząśnięte ciężkim grzmotem, jakby nagle pękły i prysnęły ogromne wały pojemnego świata, a mianowicie, kiedy nagła nawałnica potężnego wichru wkręci się w chmury i w nich uwięziona obrotnym wirem coraz więcej i więcej chmurę wszędzie przymusza, by stała się pusta z gęstym ciałem dokoła: kiedy ją potem osłabi srogim i gwałtownym parciem, pęka chmura z głośnym, przeraźliwym trzaskiem. I nic dziwnego, skoro mała bańka, wydęta powietrzem, często pęknąwszy nagle wydaje hałas bynajmniej niemały. (121–131)

Wichry, dmąc przez chmury, sprawiają łoskoty jeszcze tym sposobem: oto często widzimy ciągi chmur rozgałęzionych w przeróżny sposób i chropowatych. Podobnie szeleszczą oczywiście liście i trzeszczą gałęzie, gdy przez gęsty las dmą podmuchy północno-zachodniego wiatru. Niekiedy zdarza się także, że gwałtowny pęd wichru przerywa chmurę, przełamując ją czołowym natarciem. Ile tam bowiem może zdziałać podmuch, uczy rzecz namacalna tu, na ziemi, gdzie jest łagodniejszy, a jednak wywraca wysokie drzewa, wyrywając je do najgłębszych korzeni. W chmurach są także bałwany, co niby ryczą łamiąc się ciężko. Dzieje się to również na głębokich rzekach i na wielkim morzu, gdy fala się łamie. A jeśli się zdarzy, że ognista moc piorunu wpadnie z chmury w chmurę, a ta przypadkiem przyjmie

ogień wilgotnym strumieniem, to także z wielką wrzawą zabija go zaraz. Podobnie syczy czasami białe żelazo z rozpalonych pieców, skoro je spiesznie zanurzymy w zimnej deszczówce. Jeśli zaś chmura przyjmująca ogień jest zbyt sucha, to nagle zapala się i płonie z trzaskiem niezmiernym, jakby po laurami zalesionych górach szalał w rozpędzie niszczycielski pożar wraz z wirem wichrów. Nic zaś nie płonie ze straszliwszym trzaskiem trzeszczącego ognia, jak delficki laur Febusa. Często wreszcie gęsty gruchot lodu i obrywanie się gradu pobrzmiewa na wysokości w wielkich chmurach. Albowiem gdy wicher ciśnie i tłoczy, zakrzepłe i pomieszane z gradem góry burzliwych obłoków doznają zgruchotania. (132–159)

Błyska się również, kiedy chmury skutkiem swego tarcia wykrzeszą liczne ziarna ognia, tak jakby kamień uderzał o kamień albo żelazo. I wtedy bowiem wyskakuje światło i ogień sypie jasnymi iskrami. Lecz grzmot później chwytamy uszyma, niżeli oczy błysk rozróżniają. Zawsze bowiem wolniej nadchodzą do uszu, a prędzej do oczu te rzeczy, co wzrok poruszają. Można to jeszcze rozpoznać stąd patrząc na kogoś z daleka, jak ścina ogromne drzewo dwusiecznym żelazem, widzisz pierwej cios, a potem dopiero uderzenie zadzwoni ci w uszach. Tak też widzimy wpierw błyskawicę, a potem dopiero słyszymy grzmot, choć go równocześnie z ogniem wysyła podobna przyczyna i choć powstał z tego samego zderzenia. (160–172)

W ten jeszcze sposób roszą chmury lotnym światłem miejsca i drżącą błyskawicą skrzy się burza: oto wicher, skoro wtargnie w chmurę i sprawi, tam się zakręciwszy, iż pusta, jak wyżej pouczyłem, chmura gęstnieje, sam się rozżarza skutkiem szybkości swego ruchu. Przecież skutkiem ruchu rozgrzewa się i rozognia wszystko, jak widzisz, a ołowiana kula, wirując w długim biegu, nawet topnieje. Kiedy więc rozogniony wicher przerwie czarną chmurę, to sypie ziarnami żaru, jakby nagle wypchniętymi gwałtem, które sprawiają migotliwe ognie błyskawic. Potem następuje łoskot, który później uderza w uszy niż światło, dobiegające do naszych oczu. Dzieje się to oczywiście w chmurach gęstych i równocześnie z godnym podziwu rozmachem wysoko spiętrzonych na sobie. I niechaj cię nie łudzi, że my z dołu widzimy raczej, jak są szerokie, niż jak wysoko sterczą spiętrzone! Spojrzyj bowiem, kiedy chmury, podobne do gór, będą nieść wichry bokiem przez powiewy lub gdy wzdłuż gór wysokich zoczysz zwały jednych ponad drugimi, naciskające z wysoka i pogrążone w spoczynku po pogrzebaniu wszystkich postronnych wiatrów! Wtedy będziesz mógł poznać ich ogrom niezmierny i zobaczyć groty, jakby spiętrzone z wiszących głazów. Kiedy z nastaniem burzy napełnią je wichry, wtedy zamknięte w chmurach sierdzą się na modłę dzikich zwierząt w klatkach. To stąd, to stamtąd wyją poprzez chmury i kręcą się dokoła w poszukiwaniu wyjścia, przy czym wytłaczają z chmur kłąb ognistych ziaren. W ten sposób gromadzą ich mnóstwo i obracają płomień wewnątrz wydrążonych pieców, aż chmurę rozerwą i zalśnią swymi skrętami. (173–203)

Ów ruchliwy, jasny ogień o złocistej barwie zlatuje na ziemię jeszcze z tego powodu, że same chmury muszą posiadać bardzo wiele ziaren ognia. Oto gdy są bez żadnej wilgoci, mają najczęściej płomienną i lśniącą barwę. Muszą oczywiście wchłaniać wiele słonecznego światła, więc się też czerwienią i zioną ogniami. Skoro je tedy pęd wichru stłoczy i ściśnie na jedno miejsce miażdżąco, zieją wyciśniętymi ziarnami, a te sprawiają płomienną barwę błyskawic. Błyska się również i wtedy, gdy rzedną chmury

niebieskie. Albowiem gdy w biegu wiatr je lekko rozgarnia i rozluźnia, to po niewoli muszą wypadać owe ziarna, sprawiające błysk. Wtedy błyska się bez wrażego popłochu i huku i bez żadnego zamętu. (204–218)

Jaką wreszcie naturą są obdarzone pioruny, o tym jasno świadczą ich uderzenia oraz wypalone ślady żaru i piętna, wydające ciężkie opary siarki. Są to bowiem ślady ognia, a nie wiatru lub deszczu. Poza tym często zapalają jeszcze dachy domów i szybkim płomieniem hulają w samym mieszkaniu. Ten ci ogień, najlotniejszy spośród wszystkich ogni, utworzyła natura z drobniutkich i ruchliwych ciałek, tak iż nic mu w ogóle nie może stawić oporu. Albowiem władny piorun przechodzi przez ściany domów, tak jak krzyk i głosy, przechodzi przez głazy i przez powietrze oraz w jednej chwili topi spiż i złoto. Sprawia również, że z nienaruszonych naczyń wino nagle znika, oczywiście dlatego, że jego żar nadchodzący łatwo rozluźnia i rozrzedza wszystkie ścianki naczynia dokoła, dostawszy się zaś do środka, szybko wyzwala i rozprasza zarodki wina. Tego gorąco słońca nigdy, jak widzimy, dokazać nie może, choćby wciąż raziło migotliwym żarem. O tyle ta siła jest ruchliwsza i przemożniejsza! (219–238)

A teraz, jakim one sposobem powstają i nabierają takiego rozpędu, iż uderzeniem mogą rozwierać wieżyce, rozwalać domy, wyrywać belki i deski, mężów mogiły wstrząsać i niepokoić, zabijać ludzi, bydlęta kłaść wszędzie pokotem, jaką po prostu mocą wszystkich rzeczy tego rodzaju mogą dokonywać, to wytłumaczę i już cię dłużej zapowiedziami mitrężyć nie będę! (239–245)

Trzeba sądzić, że pioruny powstają z chmur gęstych i wysoko spiętrzonych. Nigdy ich bowiem nie zsyła pogodne niebo ni chmury nie bardzo gęste. O tym zaiste poucza

rzecz namacalna ponad wszelką wątpliwość. Bo burza wówczas dopiero zaczyna kuć gromy, kiedy zwały chmur zbiorą się po całym powietrzu, tak iż mamy wrażenie, jakby wszystkie mroki zewsząd wyległy z krainy żałości i wypełniły ogromne sklepienia niebieskie. Bo takie zieją z góry paszcze czarnej trwogi pośród szkaradnej nocy chmur! Poza tym bardzo często i na morzu czarna chmura, niby rzeka smoły opuszczona z nieba, spada z wysoka w fale z takim ładunkiem ciemności i wlecze, sama w pierwszym rzędzie pełna ogni i wichrów, tak czarną, ciężarną gromami i huraganami nawałnicę, iż nawet na lądzie truchleją i pod dachami szukają schronienia. Trzeba więc sądzić, że wysoko ponad naszą głową wznosi się nawałnica. I nie mogłyby zaiste chmury, przesłoniwszy słońce, pogrążać ziemi w takim mroku, gdyby się nie spiętrzały krociami na sobie. Nie mogłyby także nadciągać z taką nawałą dżdżu i sprowadzać wylewu rzek i roztopu pól, gdyby chmurne zwały nie wznosiły się pod eter. Jest tu więc wszystko pełne wichrów i ogni. Dlatego wszędzie powstają grzmoty i błyskawice. Oto powiedziałem wyżej, że wydrążone chmury posiadają bardzo wiele ziaren żaru, a wiele ich jeszcze muszą chłonąć z gorących promieni słonecznych. Kiedy więc ten sam wicher, który je stłoczy na jakieś jedno miejsce, wyciśnie mnogie ziarna żaru i równocześnie zmiesza się z tym ogniem, to jego grot przenika do środka i wirując w ciasnym wnętrzu, ostrzy piorun w rozpalonych piecach. Rozpala się bowiem z podwójnej przyczyny, gdyż sam się rozgrzewa skutkiem swej ruchliwości, a także skutkiem zetknięcia się z ogniem. Skoro następnie siła wiatru przejdzie gorącem i przyłączy się ciężki napór ognia, wtedy dojrzały już jakby piorun przerywa nagle chmurę. Pędzi prędki żar, oświecając wszystkie miejsca światłem migotliwym. Za nim

zdąża głuchy huk, jakby nagle pękły niebieskie przybytki i miały zmiażdżyć. Potem drżenie ciężko wstrząsa ziemią i głuche ryki przebiegają po wysokim niebie. Albowiem wówczas cała iście nawałnica dygota od wstrząsu i ryki się budzą. Po tym zaś wstrząśnieniu spada ciężka i obfita ulewa, jak gdyby cały eter w deszcz się obrócił i lecąc z góry sprawadzał powódź. Taki zalew nastaje skutkiem pęknięcia chmury i gwałtowności wichru, gdy huk wylatuje z gorejącym ciosem. Czasem zdarza się także, że pęd wichru z zewnątrz wpada na chmurę, ciężarną dojrzałym piorunem. Skoro ją przerwie, natychmiast spada ów grot ognisty, który nazywamy ojczystym imieniem gromu. Dąży tak samo w innym kierunku, gdzie tylko poniesie siła. Czasem zdarza się także, że siła wichru, jakkolwiek wysłana bez ognia, rozogni się jednak w przestrzeni i w długim dążeniu podczas drogi. Oto traci w biegu pewną ilość dużych ciałek, które nie mogą na równi przenikać powiewów, inne zaś, maleńkie, zdrapuje z samego powietrza i unosi, a te, zmieszawszy się w locie, sprawiają ogień. W nie inny sposób rozgrzewa się na przykład często w biegu ołowiana kula, kiedy roniąc liczne ciałka zimnego hartu nabierze ognia w powiewach. Czasem sama także siła uderzenia wznieca ogień, kiedy mianowicie uderzy zimny, bez ognia wysłany pęd wichru. Oczywiście z tego powodu, że kiedy porazi gwałtownym ciosem, mogą spłynąć jego gorące drabiny i spłynąć się równoczesnie z drabinami tej rzeczy, która wtedy cios odbiera. Jakoż wylatuje ogień, gdy uderzamy żelazem o kamień. I to, że zimna jest siła żelaza, nie przeszkadza bynajmniej jego ziarnom błyszczącego żaru zbiegać się razem na uderzenie. Tak więc i tamta rzecz może zapłonąć od piorunu, o ile była podatna i zapalna. Atoli siła wichru nie może być – ot, zgoła i zupełnie zimna, skoro

z taką siłą z góry zostaje wysłana, lecz jeśli przedtem w biegu ogniem nie zapłonie, to w każdym razie nadchodzi rozgrzana z przymieszką gorąca. (264–322)

Szybkość zaś gromu i ciężar jego razu polega na tym przede wszystkim, że rozhukany pęd zbiera się pierwej w chmurach i nabiera ogromnej ochoty do biegu, a potem, skoro już chmura nie może wytrzymać rosnącego parcia, siła przebojem wybucha. Dlatego leci z nadzwyczajnym pędem, tak jak pędzą pociski z potężnych machin. Dodaj, że składa się z małych i gładkich drobin, a takiej naturze niełatwo coś stawi opór. Albowiem przemyka się środkiem i przenika rzadkimi szczelinami. A zatem nie mitręży ni utyka przy licznych zderzeniach i z tego powodu mknie szybkim lotem. Ponieważ następnie wszystkie na ogół ciężary prą ku dołowi z natury, to skoro zaiste cios jeszcze zostanie przydany, zdwaja się szybkość i ów pęd tak ciąży, iż z jeszcze większą gwałtownością i z większą szybkością rozbija ciosami wszelkie zawady na drodze i pędzi dalej w swoim kierunku. Skoro wreszcie nadchodzi po długim pędzie, musi zyskiwać coraz to większą szybkość, która w drodze ciągle wzrasta, wzmaga potężne siły i wzmacnia uderzenie. Albowiem wszystkie jego ziarna rzuca w tym jednym kierunku rozpędu, przez co sprawia, że wszystkie razem toczą się prosto jakby w jedno miejsce. Prawdopodobnie ściąga jeszcze w biegu pewną ilość ciałek z powietrza, których uderzenia rozpalają szybkość. Bez szkody przechodzi przez rzeczy i wielu z nich nie narusza w przechodzie, ponieważ lotny ogień przecieka szczelinami. Wiele także rozbija w puch, kiedy mianowicie ciałka piorunu wpadną na ciałka rzeczy, gdzie te się trzymają w zaplotach. Z łatwością topi dalej spiż i złoto przywodzi od razu do wrzenia, ponieważ jego siła jest urobiona z bardzo malut-

kich ciałek i gładkich drobin, które łatwo wnikają, a po wniknięciu natychmiast rozwiązują wszelkie węzły i rozluźniają sploty. Cały zaś strop niebieski, wysadzany jaśniejącymi gwiazdami, i cała ziemia doznają wstrząsów szczególnie pod jesień tudzież wówczas, kiedy otwierają się kwitnące podwoje wiosny. Ogni brak bowiem podczas zimna, a w czasie upału ustają wiatry i nie ma chmur tak gęstych. Kiedy więc pory nieba stają na pograniczu, wówczas zbiegają się wszystkie i rozmaite przyczyny piorunu. Albowiem ten właśnie przełom roku miesza zimno z żarem, a obu tych rzeczy potrzebuje chmura do utworzenia piorunu. Jest mianowicie niezgoda. Powietrze szaleje ziejąc bałwanami ogni i wichrów w ogromnym zamęcie. Pierwsza bowiem część skwaru i ostatnia mrozu oto okres wiosenny. Więc walczyć muszą rzeczy niepodobne do siebie i wichrzyć po zmieszaniu. Schyłek lata toczy się znowu razem z początkiem zimy. Czas ten nosi imię jesieni. I wtedy także zmagają się srogie mrozy z upałami. Trzeba więc te okresy nazwać przełomami roku i nic dziwnego, że o tym czasie powstaje najwięcej piorunów i że na niebie wszczyna się burzliwy zamęt, ponieważ z obu stron zakłócają je nierozstrzygniętą wojną – stąd ognie, a stamtąd wichry pomieszane z wodą. (323–378)

Oto co się nazywa przeniknąć istotę ognistego gromu i widzieć jasno, jaką mocą dokonuje swych cudów, a nie, rozwijając wstecz tyrreńskie orędzia[5] na darmo, szukać znaków tajnego zamysłu bogów, skąd też przybył lotny ogień albo w którą stronę stąd się zwrócił, jakim sposobem wtargnął poprzez ściany i jak się stąd wyniósł ciemiężca lub ile może przynieść szkody uderzenie gromu z nieba! Bo jeśli Jowisz i inni bogowie wstrząsają ze strasznym łoskotem jasne przybytki nieba i rzucają ogień, gdzie którego wola, to dlaczego nie rażą tych, co się nie ustrzegli jakiejś wstrętnej zbrodni, iżby ziali z przebitej piersi płomieniami gromu na srogą naukę dla śmiertelnych, lecz raczej ten, co żadnej haniebnej rzeczy nie ma na sumieniu, nagle pochwycon ogniem i niebieskim wirem – w płomiennych splotach tarza się niewinnie? Dlaczego nawet na pustkowia godzą i trudzą się daremnie? Zali wówczas ćwiczą sobie ramiona i wyrabiają mięśnie? Dlaczego cierpią, by pocisk rodzica tępił się na ziemi? Dlaczego on sam to cierpi i nie chowa go na wrogów? Dlaczego wreszcie Jowisz nie rzuca gromu na ziemię i nie zsyła łoskotów z pogodnego nieba? Zali gdy nadciągną chmury, zaraz w nie wstępuje we własnej osobie, ażeby z tej bliskiej placówki kierować ciosami pocisku? A dalej, z jakiego powodu razi morze? O cóż wini fale i płynny przestwór i płynące pola? Jeżeli zresztą jest jego życzeniem, byśmy się strzegli uderzenia gromu, to dlaczego waha się sprawić, byśmy widzieć mogli, kiedy zostaje wysłany? Jeśli zaś chce niespodzianie ogniem porazić, to dlaczego grzmi z tej strony, byśmy mogli uciekać, dlaczego urządza przedtem ciemności, łoskoty i głuche ryki? A jak dasz wiarę, że równocześnie razi na stron wiele? Azali śmiałbyś twierdzić, że w jednej i tej samej chwili nigdy nie padło więcej ciosów? Toć w jednej chwili częstokroć pa-

[5] *Tyrreńskie* – etruskie. Wróżbiarstwo rzymskie (państwowe) wzorowało się głównie na wróżbiarstwie Etrusków, którzy posiadali specjalne, drobiazgowo opracowane sposoby wróżenia z wnętrzności zwierząt ofiarnych, z lotu ptaków i z różnych zjawisk na niebie. Ślady piorunów uchodziły za szczególnie wyraźne oznaki zapowiadanej przez bogów przyszłości. Lukrecjusz mówi zapewne o „zwojach", zawierających „orędzia (*carmina*) tyrreńskie", które to zwoje trzeba było „rozwijać wstecz" podczas czytania.

dły i muszą padać mnogie gromy, tak jak w mnogich okolicach deszcze i ulewy. Dlaczego w końcu rozbija wrogim piorunem święte przybytki bogów i swoje własne wspaniałe siedliska? Dlaczego kruszy cudnie rzeźbione posągi bogów i swoje własne wizerunki bezcześci potworną raną? Dlaczego najczęściej godzi w wyżyny i dlaczego najwięcej śladów jego ognia widzimy na górskich szczytach? (379–422)

Łatwo jest teraz poznać po tych wyjaśnieniach, jakim sposobem schodzą w morze z góry zesłane prestery[6], które tak nazwali Grecy od ich istoty. Oto czasem zstępuje z nieba w morze jakby jakiś słup spuszczony, około którego kipią bałwany, wzburzone srogo dmącymi podmuchami. Wówczas wszystkie okręty, które zaskoczy ten zamęt, popadają w najwyższy ucisk i niebezpieczeństwo. Dzieje się to wtedy, kiedy rozhukany pęd wichru nie może od razu rozerwać chmury, jak zaczął, lecz ją tak naciska, iż staje się jakby jakimś słupem spuszczanym w morze z nieba, a tak wolno, jakby się coś pięścią i wysiłkiem ramienia gniotło z góry i wydłużało ku falom. Skoro ją wreszcie pęd wichru rozerwie, to zaraz skacze w morze i wznieca w falach wir niesłychany. Zstępuje bowiem i kłąb kołujący i równocześnie ściąga ową chmurę z giętkim ciałem. Zepchnąwszy zaś brzemienną na morskie płaszczyzny, od razu pogrąża się cały w wodzie i całe morze wzburza z niezmiernym hałasem i zmusza do wrzenia. Czasem także sam grot wichru oplącze się chmurami, wydrapując z powietrza ziarna chmury, i naśladuje niejako prester opuszczony z nieba. Skoro się potem opuści na ziemię i rozpryśnie, wyrzuca

[6] Wyraz „prester" znaczy mniej więcej tyle, co „wir ognisty" (*igneus turbo*, trąba morska); zjawisko opisuje Arystoteles (*Met.* 391a 15 n.), Epikur (*Epist. ad Pyth.* 104 n.), Seneka (*Nat. quaest.* V 13), Pliniusz (*Nat. hist.* II 48, 133) i inni autorzy starożytni.

z siebie potworną siłę wiru i huraganu. Ponieważ jednak rzadko na ogół powstaje, a także ziemskie góry muszą stanowić przeszkodę, przeto pojawia się częściej na szerokim widnokręgu morza i nieba. (423–450)

Chmury powstają, skoro w tej górnej przestrzeni niebieskiej zejdą się nagle w locie mnogie i raczej chropowate ciałka, tak iż skutkiem drobnych, ale skutecznie opóźniających zawikłań mogą się ująć we wzajemne więzy. Z nich powstają zrazu małe obłoki. Potem sczepiają się między sobą, gromadzą, rosną skutkiem łączenia i lecą z wichrami, aż w końcu powstanie sroga burza. Zdarza się także, że górskie szczyty, im bliżej sąsiadują z niebem, tym bardziej dymią na swoich wyżynach nieustannym mrokiem grubej, ciemnej chmury, a to dlatego, że nikłe obłoki zaraz po powstaniu, zanim je jeszcze oczy zdołają zobaczyć, ponoszą wichry i gromadzą przy najwyższych szczytach górskich. Wówczas dopiero, po utworzeniu większej rzeszy, mogą okazać swe gąszcze i równocześnie tak wyglądać, jakby z górskiej turni wyrastały pod eter. Bo skoro wstępujemy na wyniosłe góry, to rzeczywistość i zmysły jasno pouczają, że wichrowata kraina rozciąga się w górę. Na brzegu rozwieszone suknie nasiąkają nadto wilgocią i przez to okazują, że natura unosi także z całego morza niezliczone ciałka. Tym więcej, zdaje się, mogą także ze słonych fal morza ulatywać ciałka na chmur powiększenie. Albowiem ciecze mają pokrewny ustrój w całości. Ze wszystkich zresztą rzek i równocześnie z samej ziemi wznoszą się, jak widzimy, mgły i opary, które jakby jakieś stąd wyciśnięte wyziewy pędzą do góry, zasępiają swoim mrokiem niebo, gromadzą się powoli i tworzą chmury na wysokości. Naciska je bowiem także z góry wir gwiaździstego eteru, zagęszcza niejako i zasnuwa chmurami spodnie błękity. Cza-

sem przychodzą także do naszego nieba z zewnątrz owe ciałka, co tworzą chmury i lotne obłoki burzy. Pouczyłem bowiem, że niezliczona jest ich ilość i że otchłań wszechcałości nie zna granic, oraz zdałem jasno sprawę, z jaką chyżością lecą te ciałka i jak błyskawicznie nawykły przebywać niezmierzoną przestrzeń. Nic więc dziwnego, że często w krótkiej chwili tak górzyste zwały i ciemności burzy osłaniają morza i ziemie zwisnąwszy z wysoka, ponieważ zewsząd przez wszystkie szczeliny eteru i jakby przez okolne skrzela ogromnego świata mogą drobiny wychodzić i wchodzić. (451–494)

A teraz baczność! Będę tłumaczyć, jakim sposobem deszcz powstaje w wyniosłych chmurach i spada na ziemię w upustach ulewy. I wykażę najpierw, że wiele ciałek wody wzlatuje zewsząd razem z chmurami i że w ten sposób rośnie jednako i jedno, i drugie – i chmury, i woda, ile jej tylko jest w chmurach. Podobnie w nas rośnie ciało i krew jednakowo, a tak samo pot i wszelka ciecz, jaka tylko jest w członkach. Często pochłaniają także chmury na podobieństwo zwisających run wełnistych wiele morskiej cieczy, kiedy je ponad wielkim morzem unoszą wichry. W podobny sposób ulatuje ze wszystkich rzek w chmury wilgoć. Skoro tam na wiele sposobów zawinie pokaźna ilość ziaren wody, wydatnie wzmożona ze wszystkich stron, wtedy ładowne chmury z podwójnej przyczyny śpieszą z wysłaniem cieczy: oto ciśnie je moc wichrów i ciąży sama obfitość deszczy, nagromadzonych w większej ciżbie, tłoczy z góry i sprowadza dżdżyste ulewy. Kiedy nadto chmury zaczynają rzednąć skutkiem wiatrów albo kiedy się rozprzęgają pod razami słonecznego żaru, wówczas także deszcz wysyłają i kapią, jakby wosk się topił na gorącym ogniu i spływał obficie. Gwałtowna ulewa powstaje zaś wówczas,

kiedy z dwukrotną gwałtownością naciska chmury ciężar spiętrzenia i napór wichru. Długo trwa znowu i długo nawykła przeciągać się słota, kiedy ziarna wody powstają w wielkiej ilości i kiedy chmury wraz z mżącymi obłokami wszędzie i ze wszystkich stron unoszą się jedne ponad drugimi, a cała ziemia dymi i wilgoć wyziewa z powrotem. Skoro wówczas pośród mrocznej niepogody zabłyśnie słońce swymi promieniami na prost chmurnej rosy, to w czarnych chmurach zjawia się łuk tęczowy. (495–526)

I wszystkie w ogóle rzeczy, co rosną w górę i rodzą się w górę, jako też te, co powstają w chmurach, wszystkie, wszystkie je po prostu, więc śnieg, wichry, grad, zimne szrony, potężną siłę lodu, twardą opokę wód i okowy, co powściągają rzeki w ich swobodnym biegu – wszystko to jest doprawdy bardzo łatwo wyśledzić i wypatrzyć umysłem, a mianowicie, jakim sposobem one powstają i dochodzą do skutku, bylebyś tylko dobrze poznał własności drobin. (527–534)

Dowiedz się teraz, jaka przyczyna sprawia trzęsienia ziemi! Pamiętaj przede wszystkim, że cała ziemia jest pełna wichrowatych jaskiń tak samo w dole, jak i w górze, że kryje w swoim łonie wiele jezior, wiele czeluści, skał i skalnych złomów. Sądzić także trzeba, że mnogie rzeki, nakryte grzbietem ziemi, toczą potężne bałwany i zatopione głazy. Wymaga bowiem rzecz sama, by wszędzie była podobna do siebie. Z takimi więc podstawami i podwalinami drży ziemia na górze od wstrząsu ogromnych zwalisk, skoro czas zawali pod spodem olbrzymie jaskinie. Oto padają całe góry i zaraz się stamtąd szeroko rozchodzą dreszcze potężnego wstrząśnienia. I słusznie! Przecież podle drogi drżą całe domostwa, wstrząśnięte niewielkim ciężarem wozu. Podskakują bodaj, ilekroć kamyk na drodze podbije obustron-

ne, okute kręgi kół. A czasem miota także chwiejną ziemią wodny bałwan, kiedy mianowicie stacza się ze starości ogromna bryła ziemi z brzegu do wielkich i rozległych otchłani wodnych. Podobnie ustać nieraz nie może naczynie, póki ciecz nie ustanie się miotać niespokojnym nurtem w pośrodku niego. (535–556)

Gdy poza tym wicher nagromadzony po podziemiach ziemi zerwie się z jednej strony i prze potężną siłą na głębokie pieczary z całej mocy, wówczas ziemia chyli się tam, gdzie ciśnie rozpęd wichru. Wtedy wszystkie budowle na ziemi – i to im są wyżej spiętrzone do nieba – chylą się i wybrzuszają po tej samej stronie, wyszarpane zaś belki wiszą, gotowe spaść za chwilę. I boją się jeszcze wierzyć, że jakaś chwila zagłady i klęski czeka na naturę ogromnego świata, choć widzą, jak się pokłada ta tak wielka bryła ziemi. Bo gdyby wichry tchu nie nabierały, to żadna siła nie mogłaby powściągnąć i powstrzymać rzeczy pędzących do zguby. Ponieważ jednak na przemian cofają się i nacierają, gromadzą się niejako z powrotem i odstępują odparte, przeto ziemia częściej zagraża upadkiem, niźli mu ulega. Wychyla się bowiem i w tył odskakuje i po wychyleniu się naprzód wraca do równowagi. Z tej więc przyczyny chwieją się całe domostwa, i to na szczycie więcej niż w pośrodku, w pośrodku więcej niż na dole, na dole zaś bardzo nieznacznie. (557–576)

Ten sam wstrząs potężny sprowadza jeszcze następująca przyczyna: wówczas wicher i jakiś ogromnie silny podmuch, co zerwał się albo z zewnątrz, albo z samej ziemi, wpada nagle w jej podziemia i tutaj zrazu ryczy pośród wielkich jaskiń i śmiga wirem. Potem rozwścieczona siła pędu wybucha na zewnątrz i równocześnie głęboko rozrywa ziemię, tworząc ogromną czeluść. Stało się to w syryjskim Sydonie[7]. Zdarzyło się i w Aigium na Peloponezie. Zburzył te miasta ów wybuch podmuchu i owo trzęsienie ziemi. Padły ponadto mnogie grody od potężnych wstrząsów na lądzie i wiele przybrzeżnych miast osiadło w morzu razem ze swoją ludnością. A choćby do wybuchu nie doszło, to przecież sam rozpęd podmuchu i wściekłość wichury rozdziela się przez gęste otwory niby strach po ziemi i wraz szarpie dreszczem. Podobnie zimno, kiedy przeniknie do naszych członków, wstrząsa je po niewoli i zmusza do drżenia i do dygotania. Więc popłoch, niepewność i przerażenie ogarnia miasta. Boją się stropów na górze, lękają się, żeby sklepień na dole ziemia nagle nie rozburzyła, żeby nie pękła, nie rozdziawiła swojej szerokiej paszczęki i nie zechciała jej zapełnić gruzami swych zwalisk. Mogą sobie zatem roić do woli, że niebo i ziemia mają na wieki zapewniony byt niezniszczalny! Wszelako groźna chwila samego niebezpieczeństwa kole niekiedy i tym także żądłem trwogi, czy też nagle ziemia nie obsunie się spod stóp i nie zapadnie w otchłań, a za nią czy nie podąży całość rzeczy straciwszy całe swe oparcie i czy się w gruzy świat nie zwali! (577–607)

Dziwią się przede wszystkim, że natura nie powiększa morza, dokąd tyle wód się zlewa, dokąd zewsząd zdążają wszystkie rzeki. Dodaj przygodne deszcze i przelotne burze, które zraszają i skrapiają wszystkie płaszczyzny morza i ziemi. Dodaj jego własne źródła. Wszelako to wszystko wobec całości morza będzie stanowiła ledwie jedną kroplę przydatku. Mniej więc jest już dziwne, że ogrom morza nie wzrasta. Znaczną część nadto zabiera słońce swym żarem.

[7] O trzęsieniach ziemi, jakich doznały miasta Sydon w Fenicji i Aigium w Achai, piszą Strabon (I 3, 16) i Seneka (*Nat. quaest.* VI 23 n.), powołując się na Pozydoniusza i Kallistenesa.

Oto widzimy, jak słońce wysusza gorącymi promieniami mokrą odzież. Widzimy także, jak wiele jest mórz i jak szeroko są rozłożone. Choćby więc słońce z każdego miejsca jak najmniejszą cząstkę cieczy zabierało, to przecież na tak wielkiej przestrzeni uzbiera z fal obfity połów. Wielką część mogą potem unieść z cieczy także wiatry zamiatające po jej powierzchni. Toć widzimy przecie, jak bardzo często wiatry podczas jednej nocy obsuszają drogi i tworzą twarde grudy z miękkiego błota. Wykazałem nadto, że i chmury unoszą wielką ilość cieczy, pochłoniętej z morskich przestworzy, i roszą ją wszędzie po całym ziemskim kręgu, kiedy pada na lądzie i kiedy wiatry ciągną chmurne obłoki. Ponieważ wreszcie ziemia ma ciało rzadkie, a przy tym przylega, opasując morskie brzegi dookoła, to ciecz wodna, tak samo, jak z ziemi przychodzi do morza, musi przeciekać ze słonej toni do ziemi. Albowiem jad się odcedza, a materia cieczy ścieka z powrotem i zlewa się cała u źródła rzek, potem zaś wraca po ziemi słodkim nurtem, kędy raz wyżłobiona droga poniesie fale o przeźroczystych stopach. (608–638)

A teraz wytłumaczę, jakim sposobem wybuchają ognie z tak wielką niekiedy wściekłością przez gardziel góry Etny[8]. Z niemałą bowiem klęską zerwała się ognista burza i zapanowawszy na polach Sycylijczyków zwróciła ku sobie oblicza sąsiednich ludów, które widząc wówczas całą

[8] Starożytni opowiadali, że znany wulkan sycylijski, Etna, zieje ogniem dlatego, ponieważ przytłacza przywalonych nim przez Zeusa gigantów, Tyfona lub Enkeladosa; opowiadali także, że we wnętrzu Etny znajduje się kuźnia Hefajstosa i cyklopów, którzy w niej wyrabiają pioruny dla Zeusa. Jest rzeczą godną uwagi, że Lukrecjusz nie wyszydza tych opowieści, lecz ogranicza się tylko i jedynie do swoich naukowych wyjaśnień.

niebieską świątynię w dymie i we skrach truchlały z piersią pełną lęku, co też nowego knuje natura. (639–646)

Musisz przy tych rzeczach szeroko i głęboko wytężyć wzrok oraz daleko rozejrzeć się na wszystkie strony, by uprzytomnić sobie, że wszechcałość jest niezgłębiona, i żeby dostrzec, jak maleńką jest cząstką i jaką kruszynę wszechcałości stanowi jedno niebo, i to nie taką nawet, jaką jest jeden człowiek wobec całej ziemi! A jeśli to sobie dobrze uprzytomnisz, obejrzysz jasno i jasno zobaczysz, to wielu rzeczom przestaniesz się dziwić. Bo czy się z nas ktoś dziwi, jeżeli komu zagości w ciele gorączka wraz z zarzewiem żaru lub jeżeli jakaś inna choroba dokucza po członkach? Oto nagle puchnie noga, ostry ból świdruje często zęby, a nawet na oczy się rzuca. Wybucha święty ogień[9], pali pełzając po ciele każdą część, jakiej dopadnie, i wije się po członkach, oczywiście dlatego, że są tam ziarna wielu rzeczy i dość tych ziaren złośliwej choroby wydaje ziemia i niebo. Z nich więc może wyrość gwałtowna, olbrzymich rozmiarów choroba. Sądzić tedy trzeba, że tak samo dla całego nieba i ziemi napływa ich wszystkich pod dostatkiem z nieskończoności. Za czym może ziemia dygotać z powodu nagłego wstrząśnienia, rączy orkan przebiegać przez morza i ziemie, etnejski ogień buchać, a niebo stawać w płomieniach. I to bowiem się zdarza, i oto gorą niebieskie przybytki i z cięższą ulewą spadają burze, jeśli się stamtąd przypadkiem naniosły ziarna wody. „Rozhukany żar pożaru jest jednak nazbyt olbrzymi!" Oczywiście! I każda rzeka wydaje się największa temu, kto przedtem nie widział jakiejś większej! „Olbrzymie" jest drzewo, człowiek i w ogóle każdy wszystko, co widział w każdym rodzaju największe, zaraz

[9] *Święty ogień*, choroba zakaźna, zwana różą (*erysipelas*).

nazywa olbrzymim, jakkolwiek to wszystko razem z niebem, ziemią i morzem jest niczym wobec wszechcałości wszystkiego. (647–679)

Teraz wytłumaczę jednak, w jaki sposób podrażnion wybucha nagle ów płomień z olbrzymich pieców Etny. Po pierwsze, natura tej całej góry jest pusta pod spodem i wspiera się prawie wyłącznie na skalistych jaskiniach. We wszystkich dalej jaskiniach jest wiatr i powietrze, bo wiatr powstaje, skoro powietrze szybko się rusza. Skoro więc przejdzie gorącem i szalejąc dokoła rozgrzeje wszystkie głazy oraz ziemię, gdzie się ich dotyka, skoro z nich wykrzesze gorący ogień o śmigłych płomieniach, to wówczas idzie w górę i w ten sposób wybucha wysoko ze stromych gardzieli. Daleko więc niesie żar i daleko roznosi popiół. Toczy gęsty kłąb czarnego dymu i równocześnie wyrzuca kamienie zdumiewająco ciężkie. Bądź pewny, że jest to siła wściekłego podmuchu! Na wielkiej nadto przestrzeni u stóp owej góry łamie morze bałwany i wir łyka z powrotem. Od tego morza aż do głębokich gardzieli góry ciągną się spodem jaskinie. Tędy, wyznać trzeba, zdąża[10] . . . . . i wnika do wnętrza z otwartego morza, jak rzecz przymusza, wybucha i dlatego podnosi płomień, wyrzuca kamienie i wzbija tumany piasku. Na samym szczycie są bowiem kratery, jak to nazywają oni, bo my nazywamy to gardzielami i paszczami. (680–702)

Jest jeszcze pewna ilość rzeczy, dla których nie dość jest jednej przyczyny, lecz trzeba podać ich więcej, jakkolwiek jedna z nich tylko będzie istotna. Spostrzegasz na przykład z daleka, że leży jakieś martwe ciało ludzkie: trzeba wymienić wszystkie przyczyny zgonu, aby rzec i tę jedną. Nie zdołasz bowiem wykazać, że ten człowiek zginął od żelaza, zimna, choroby albo też właśnie od trucizny, niemniej jednak wiemy, że mu się zdarzyło coś w tym rodzaju. To mamy również do powiedzenia przy wielu sprawach. (703–711)

[10] W tekście przekazanym przez kodeksy została opuszczona prawdopodobnie większa ilość wierszy.

Nil, jedyna rzeka na ziemi – rzeka całego Egiptu – wzbiera każdego lata i wylewa na pola. Nawadnia ona Egipt zazwyczaj w środku skwaru, może dlatego, że latem dmą naprzeciw ujścia akwilony, które o tej porze roku zowią etezjami. Wiejąc przeciw rzece, powodują zwłokę, pietrzą fale po brzegi i zmuszają do postoju. Pędzą bowiem niewątpliwie przeciw prądowi te podmuchy, co nadlatują od mroźnych gwiazd biegunowych. Owa rzeka płynie od skwarnej strony południowego wiatru, rodząc się daleko w samym ognisku dnia, pośród czarnych pokoleń mężów o spalonej skórze. Możliwe jest także, że zdążającym falom zamula ujście ogromny nasyp piasku, kiedy mianowicie morze, wzburzone wichrami, zwala piasek do środka. Tym sposobem ujście rzeki staje się mniej swobodne, a zarazem pęd fal mniej szybki. A może też deszcze o tym czasie obficiej padają u źródła, ponieważ wtedy etezyjskie podmuchy akwilonów pędzą wszystkie chmury w te strony. Oczywiście, skoro zejdą się chmury, zagnane do ogniska dnia, to tu, przy wysokich górach, gromadzi się ostatecznie ich ciżba i doznaje srogiego ucisku. A może wzbiera z głębi wyniosłych gór etiopskich, skoro słońce, wszystko oświecające swymi topliwymi promieniami, zmusi białe śniegi do znijścia na pola. (712–737)

A teraz baczność! Będę ci tłumaczyć, jaką naturą są wyposażone wszelkie awerneńskie miejsca i jeziora[11]. Przede

[11] Najsławniejsze jezioro „awerneńskie" (dosłownie „nieptasie";

wszystkim, co do ich awerneńskiego miana, to ono pochodzi od ich działania, bo wrogie są wszystkim ptakom. Oto skoro przybędą w prostym locie do owych miejsc, to zapomniawszy o wiosłowaniu opuszczają swe pierzaste żagle i z miękko wyciągniętym karkiem spadają gwałtownie albo na ziemię, jeśli tak zrządzi przypadkiem przyrodzenie miejsca, albo do wody, jeśli na dole rozciąga się przypadkiem awerneńskie jezioro. To miejsce znajduje się pod Kumami, gdzie dymią góry, obfitujące w ostrą siarkę i wyposażone w gorące źródła. Znajduje się ono także w murach ateńskich, na samym szczycie warownej wyżyny, obok świątyni miłościwej Pallady Trytońskiej[12]. Tu nigdy nie zawijają na skrzydłach ochrypłe wrony, nawet i wówczas, gdy ołtarze dymią darami. Do tego stopnia strzegą się nie srogich gniewów Pallady z powodu swojej nieszczęsnej czujności, jak śpiewali greccy pieśniarze, lecz sama przyroda miejsca zrządza to dzieło swoją własną mocą. Powiadają, że i w Syrii również można widzieć miejsce, gdzie nawet czworonogi, niech tylko w nie wkroczą, niewidzialna siła zniewala od razu do ciężkiego upadku, jakby je nagle powalono na ofiarę dla boskich cieni. Wszystko to dzieje się za sprawą natury

wyraz grecki „ornis" oznacza ptaka) znajdowało się w kraterze wygasłego wulkanu w pobliżu miasta Cumae w Kampanii. Starożytni znali nie tylko jeziora, ale także groty „awerneńskie" (por. Pliniusz, *Nat. hist.* II 93, 207), które uchodziły za wejście do podziemnej krainy zmarłych (Acherontu).

[12] *Pallada*, Atena; występujący już u Homera przydomek Ateny „trytońska" nie jest jeszcze należycie wyjaśniony. Grecy opowiadali, że Atena ukryła małego Erichtoniosa w koszyku, że ten koszyk otwarły wbrew zakazowi bogini córki króla Aten, Kekropsa, że o ich nieposłuszeństwie doniosła Atenie czujna wrona i że gniew bogini zwrócił się nie tyle przeciwko winowajczyniom, co przeciwko donosicielce (por. Owidiusz, *Met.* II 552 n.).

i jasne jest źródło działających tu przyczyn. Nie trzeba wierzyć przypadkiem, jakoby w tych okolicach była brama Orkusa! A potem zaraz mamy sądzić może, że boskie cienie z podziemi wyciągają dusze ku brzegom Acherontu, jak to wiatronogie jelenie mają częstokroć chrapami wyciągać z kryjówek dzikie pokolenia węży! Dowiedz się, jak to daleko odbiegło od prawdy! Bo przystępuję teraz do omówienia istoty zjawiska. (738–768)

Przede wszystkim powiadam to, co często powiedziałem także przedtem, a mianowicie, że w ziemi znajdują się kształty rzeczy wszelakich. Wiele służy za pokarm i obdarza życiem, wiele zaś może sprowadzać choroby i zgon przyspieszać. I wykazaliśmy przedtem, że z powodu niepodobnej natury, niepodobnych do siebie przędzy i kształtów pierwotnych ciałek innym stworzeniom odpowiadają lepiej w potrzebie życiowej inne rzeczy. Wiele nieprzyjaznych ciałek wędruje przez uszy, wiele wrogich i chropowatych w dotknięciu przenika przez sam nos i od niemałej ich liczby, co przykre są w dotykaniu, patrzeniu lub smaku, trzeba strzec się i chronić ucieczką. (769–780)

Widzieć można następnie, jak wiele jest wstrętnych i uciążliwych rzeczy dla człowieka, które on odczuwa nader szkodliwie. Mają po pierwsze pewne drzewa[13] cień tak uciążliwy, iż nieraz przyprawiają o ból głowy, jeśli ktoś się pod nimi położy i rozciągnie na trawie. Jest także drzewo na wyniosłych górach Helikonu, które szkaradną wonią swego kwiecia nawykło zabijać człowieka. Wszystko to oczywiście dlatego z ziemi wyrasta, ponieważ ziemia nosi w łonie wiele ziaren wielu rzeczy, na wiele sposobów pomie-

[13] Za takie drzewa uchodziły w starożytności bukszpan, orzech, a także jałowiec.

szanych z sobą, które wydaje po ich rozdzieleniu. Nocne, nagle zagaszone światło, zawierciwszy w nosie ostrym swędem, na miejscu usypia tego, co nawykł padać i pienić się w chorobie. Jeśli kobieta w okresie miesięcznej słabości powącha ciężki strój bobrowy, to pada w uśpieniu i z delikatnych dłoni wymyka się jej piękna robótka. I wiele jeszcze innych rzeczy rozprzęga mdlejące członki po ciele i obluźnia duszę wewnątrz siedlisk. Jeśli wreszcie marudzisz w gorącej kąpieli i kąpiesz się z pełniejszym żołądkiem, to jakże często się zdarza i jakże łatwo w pośrodku wanny i kipiącej wody padasz nagle bez duszy! A ciężki czad węgli jak łatwo do mózgu przenika, jeżeli wody przedtem nie weźmiemy! Kiedy zaś gwałtowna gorączka weźmie w swoje jarzmo członki, to wówczas zapach wina wali niby obuchem. Zali nie widzisz, że oto nawet w łonie ziemi rodzi się siarka i powstają grudy asfaltu o wrażej woni? Jakimiż wreszcie zapachami zieje ze swej głębi Skaptensula[14], gdzie poszukują żył srebra i złota, dobierając się żelazem do głębokich kryjówek ziemi? Ile zaduchu wyziewają kopalnie złota? Jakie dają ludziom twarze i jakie barwy? Zali nie widzisz i nie słyszysz, w jak krótkim czasie giną zazwyczaj i jak mało mają siły żywotnej ci, których straszny przymus więzi przemocą przy takiej robocie? Wszystkie te tedy wyziewy wydziela ziemia i precz wydaje na otwarte przestworza i na widnokrąg niebieski. (781–817)

Tak muszą także awerneńskie miejsca słać z dołu ptakom śmiercionośną siłę, która z ziemi wznosi się w powiewy i zatruwa pewną część niebieskiej przestrzeni. Skoro

[14] *Skaptensula*, miejscowość tracka (od połowy V w. p.n.e. w posiadaniu Aten), gdzie się znajdowały kopalnie srebra i innych metali i gdzie miał umrzeć na wygnaniu Tukidydes.

tylko skrzydła przyniosą tam ptaka, natychmiast dostaje się w sidła niewidzialnego jadu i spada na wprost miejsca, skąd się wyziew dobywa. A kiedy tam spadnie, to wówczas ta sama siła owego wyziewu wyrywa ze wszystkich członków ostatki życia. Bo oto najpierw powoduje jakby jakiś zawrót, a potem, skoro ptaki już spadną w same źródła jadu, muszą tam także życie wyzionąć, ponieważ dokoła piętrzy się wielka moc złego. (818–829)

Zdarza się także, że czasem ta siła awerneńskiego wyziewu roztrąca powietrze, jakie się znajduje pomiędzy ptakami a ziemią, tak iż pozostaje tu miejsce prawie próżne. I skoro na wprost tego miejsca przybędą lotne ptaki, natychmiast zawodzi słaba podpora piór i cały obustronny wysiłek skrzydeł idzie na marne. Wtedy oczywiście, skoro się dźwignąć nie mogą ni wesprzeć na skrzydłach, zmusza je natura do upadku na ziemię z powodu ciężaru. I na tych to już marach prawie pustej próżni wydają swą duszę przez wszystkie pory cielesne[15]. . . . . .
Zimniejsza staje się dalej woda w studni podczas lata, ponieważ ziemia rzednie skutkiem gorąca i szybko wypuszcza na powiewy wszelkie ziarna żaru, jakie posiada. Im bardziej jest tedy ziemia wyczerpana gorącem, tym zimniejsza staje się woda, ukryta w ziemi. A kiedy znowu ziemia ściska się, schodzi i niejako zrasta od zimna, wtedy oczywiście wyciska skutkiem schodzenia się wszelkie gorąco, jakie posiada w swym łonie, do studzien. (830–847)

Ma być opodal chramu Hammona[16] zdrój za dnia zim-

[15] W tekście przekazanymn przez kodeksy zastała opuszczona prawdopodobnie większa ilość wierszy.

[16] *Chram Hammona*, świątynia egipskiego boga Ammona (Hammona), którego Grecy utożsamiali z Zeusem, a Rzymianie z Jowiszem, znajdowała się na Pustyni Libijskiej.

ny, a gorący w nocy. Ten zdrój otaczają ludzie nadmiernym podziwem i sądzą, że rozgrzewa się błyskawicznie od skwarnego słońca pod ziemią, gdy noc okropnym mrokiem pokryje ziemię. Lecz to zbyt daleko odeszło od prawdy. Bo skoro słońce, tykając nagiej wody, nie zdołało rozgrzać jej górnej strony, choć górne światło posiada skwar tak potężny, to jakżeż ono zdoła spod tak grubego cielska ziemi wodę zagotować i nasycić gorącym żarem? Przecież nawet gorącymi promieniami nie bardzo może wrazić swój upał poprzez ściany domów. Jakaż więc jest przyczyna? Oczywiście ta, że rzadsza ziemia koło źródła nabiera więcej ciepła niż jej reszta, a zatem w pobliżu ciała wody znajduje się wiele ziaren ognia. Z tego powodu, skoro noc rosodajnym cieniem powlecze ziemię, natychmiast ziemia oziębia się w głębi i schodzi i tym sposobem, jakby w dłoni ściśnięta, wyciska do źródła wszystkie ziarna ognia, jakie posiada, a one sprawiają, że zdrój staje się gorący w dotknięciu i wyziewie. Kiedy następnie wejdzie słońce i promieniami rozluźni i rozrzedzi ziemię w miarę przyrostu gorąca, wówczaś zarodki ognia wracają do dawnych siedzib i całe gorąco uchodzi z wody do ziemi. Dlatego źródło staje się zimne podczas dziennego światła. Miota się nadto ciecz wodna pod promieniami słońca i skutkiem migotliwego skwaru rzednie w miarę przyrostu światła. Z tego powodu wypuszcza wszystkie ziarna ognia, jakie posiada. Podobnie wypuszcza często zimno, jakie w sobie mieści, rozpuszcza lód i rozluźnia węzły. (848–878)

Zimne jest i to źródło[17], na którym złożone pakuły często buchają płomieniem, ogień chwyciwszy od razu. W po-

[17] Takie źródło miało się znajdować w Dodonie; por. Pliniusz, *Nat. hist.* II 103, 228 sq.

dobny sposób zapala się także pochodnia na falach i świeci, gdzie tylko powiewy pędzą płynącą. W tej wodzie jest oczywiście bardzo wiele ziaren żaru, a przy tym muszą od dna ze samej ziemi ulatywać ciałka ognia przez całe źródło, wyłaniać się równocześnie na zewnątrz i wydobywać na powiewy, jakkolwiek nie w takiej ilości, by źródło mogło się rozgrzać. Zmusza je zresztą siła wybuchu, by w rozproszeniu wybuchały przez wodę na zewnątrz i skupiały się w górze. Takie na przykład jest pośród morza źródło Aradu[18], co tryska słodką wodą i roztrąca dokoła siebie słone fale. I w wielu jeszcze innych okolicach użycza morze spragnionym żeglarzom zbawiennej pomocy, tryskając słodkimi falami pośród słonych. Tak więc i przez tamto źródło mogą wybuchać i tryskać owe ziarna, co kupiąc się przy pakułach lub lgnąc do ciała pochodni łatwo i bezzwłocznie strzelają płomieniem, bo także pakuły i pochodnie mają w sobie wiele ukrytych ziaren ognia. Zali nie widzisz, że oto świeżo zgaszony knot, skoro go zbliżasz do nocnych świateł, nim ognia dotknie, już się zapala, a tak samo pochodnia? I wiele jeszcze rzeczy rozpala się z daleka od dotknięcia niewidocznego żaru, zanim je ogień z bliska polize. Trzeba tedy sądzić, że dzieje się to także w owym źródle. (879–905)

Zacznę obecnie wywodzić, na mocy jakiego prawa przyrody może przyciągać żelazo ten kamień, który magnesem zowią Grecy od imienia jego ojczyzny, jako że jest i powstał w ojczystej krainie Magnetów[19]. Ten kamień za-

[18] Samo źródło miało się znajdować pomiędzy wyspą, na której leżało miasto Aradus, a wybrzeżem Fenicji; por. Pliniusz, *Nat. hist.* II 102, 227; V 31, 128; Strabon XVI 2, 13.

[19] Nazwa magnesu wywodzi się prawdopodobnie z Magnezji w małoazjatyckiej Lidii. Ponieważ magnes przyciągał żelazo, więc

dziwia ludzi. Oto często tworzy łańcuch ogniw wiszących na sobie. Można mianowicie widzieć czasem, jak ich pięć lub więcej zwisa po porządku, buja i igra z lekkimi wiewami. Jedno wisi na drugim, czepia się u spodu i jedno z drugiego zaznaje siły i więzów kamienia. Tak przenikliwym prądem przenika jego nie słabnąca siła. (906–916)

W rzeczach tego rodzaju trzeba uwarować wiele, zanim zdołasz wyjaśnić samą sprawę. Trzeba dochodzić okrężnymi, nazbyt długimi drogami. Żądam też tym większego wytężenia uszu i ducha. (917–920)

Po pierwsze, ze wszystkich rzeczy widzialnych muszą ustawicznie płynąć, ulatywać i rozpraszać się ciałka, co uderzają o oczy i wzrok drażnią. Od pewnych znów rzeczy płyną ustawicznie wonie, tak jak chłód od strumieni, gorąco od słońca, a od fal morskich jad, wygryzający mury opodal wybrzeży. Nieustannie ciekną przez powiewy rozmaite głosy. Nieraz w końcu w usta wnika wilgotny, słony posmak, gdy przebywamy w pobliżu morza, a kiedy patrzymy na mieszany rozczyn z piołunu, razi nas gorycz. Aż do tego stopnia od wszystkich rzeczy wszystko upływa strumieniem i rozlewa się zewsząd na wszystkie strony. I nie zna żadnej zwłoki ni żadnego spoczynku ten strumień, ponieważ ciągle czujemy i wszystko można zawsze widzieć, wąchać tudzież czuć, jak dźwięczy. (921–935)

A teraz wspomnę raz jeszcze, jak rzadkie ciało mają rzeczy, jest to zaś jasno wyłuszczone także w pierwszej księdze. Bo chociaż ta wiadomość jest ważna dla spraw wielu, to w każdym razie, szczególnie przy tej właśnie spra-

między innymi nosił imię „Heraklesowego kamienia". Niektórzy filozofowie greccy, np. Tales z Miletu (fragm. A l, 3, 22), sądzili, że magnes ma duszę, podobnie jak i bursztyn.

wie, o której zamierzam rozprawiać, trzeba ją uwarować zaraz na początku, a mianowicie, że nie ma na widzialnym świecie niczego prócz ciała pomieszanego z próżnią. Po pierwsze, skały w jaskiniach łzawią się u góry i ociekają rzęsistymi kroplami. Pot ciecze nam również z całego ciała, a broda i włosy rosną na wszystkich członkach i stawach. Pokarm rozchodzi się po wszystkich żyłach, powiększa i żywi nawet najdalsze cząstki ciała i brzegi paznokci. Czujemy również, że zimno i żar gorący przechodzi przez spiż, czujemy, że również przechodzi przez srebro i złoto, kiedy trzymamy pełne puchary. Przelatują wreszcie głosy przez kamienne ściany domów, przecieka zapach, mróz i żar ognia, który także przez moc żelaza nawykł się przeciskać, a nawet tamtędy, gdzie dokoła ściska niebieska kolczuga i któredy przedostaje się równocześnie burzliwa siła z zewnątrz. I nic dziwnego, że po powstaniu burzy na ziemi i na niebie, pogrążą się ogniste żagwie w niebie i ziemi, ponieważ wszystko ma rzadką przędzę cielesną. (936–958)

Ciałka ulatujące z rzeczy nie budzą przy tym tego samego poczucia wszystkie na ogół i nie nadają się do wszystkich rzeczy jednako. Słońce, po pierwsze, praży i wysusza ziemię, atoli lód rozpuszcza i śniegi wysoko spiętrzone na wysokich górach, zniewala swymi promieniami do tajania. Topi się wreszcie i wosk wystawiony na jego gorąco. Ogień również topi spiż, rozprzęga złoto, atoli skóry i mięso ściąga i kurczy. Ciecz znowu wodna hartuje żelazo wyjęte z ognia, atoli rozmiękcza skóry i mięso, które stwardniały pod wpływem gorąca. Brodatym kozom tak bardzo smakuje dzika oliwka, jakby smak ambrozji i nektaru spływał z tego liścia, atoli dla człowieka nie masz nic bardziej gorzkiego. Świnia w końcu unika majeranku i boi się wszelkiego pachnidła, albowiem dla świń szczeciniastych jest to gwałtowna

trucizna, choć nam niekiedy wraca niejako życie. Z drugiej jednak strony, gdy brudna gnojówka budzi w nas największe obrzydzenie, to świniom tak się wydaje przyjemna, że się w niej nie mogą do syta natarzać. (959–978)

Pozostaje do powiedzenia jeszcze to, co należy, zdaje się, powiedzieć, zanim przystąpię do właściwej sprawy. Skoro różne rzeczy posiadają rozliczne otwory, to muszą być one obdarzone niepodobną do siebie naturą: każdy mieć musi swoją własną naturę i kierunek drogi. Oto w stworzeniach znajdują się różne zmysły, a każdy z nich swą rzecz ujmuje w sobie na swój własny sposób. Widzimy przecież, że jednym zmysłem przenikają dźwięki, drugim smak ze soków, a innym znowu wonie zapachu. Widzi się nadto, że coś innego ciecze przez głazy, a coś innego przez drzewo, że inna rzecz przechodzi przez złoto, a inna dąży na zewnątrz przez srebro i inna przez szkło, bo tędy przepływa, jak widać, obraz, a tamtędy przenika ciepło. Jedna rzecz przedostaje się przy tym tą samą drogą rychlej od innych. Do tego zniewala oczywiście natura przewodów, zmieniająca się na wiele sposobów z powodu odmiennej natury i przędziwa rzeczy, jak to wykazaliśmy nieco wyżej. (979–997)

Skoro więc te wszystkie przesłanki dobrze uwarujemy, umieścimy i przygotujemy sobie do użycia, to potem łatwo już będzie z ich pomocą tłumaczyć i jasno ukaże się cała przyczyna, jaka przyciąga moc żelaza. Po pierwsze, musi z tego kamienia wypływać bardzo wiele ziaren, czyli prąd, który do cna roztrąca swymi uderzeniami powietrze, jakie się znajduje pomiędzy kamieniem a żelazem. Kiedy ta przestrzeń staje się próżna i kiedy w pośrodku dużo miejsca pustoszeje, natychmiast ruszają sąsiednie zarodki żelaza i wpadają w próżnię, a tak za nimi zdąża i nadciąga całym ciałem

ogniwo. Żadna zaś rzecz nie skupia się ciaśniej dzięki zaplotom swoich powikłanych drobin, jak właśnie twarda natura i zimny hart potężnego żelaza. Tym mniej więc jest dziwne to, co mówię, a mianowicie, że skutkiem takich drobin nie może pędzić z żelaza więcej ciałek do próżni bez tego, żeby tam nie podążyło także całe ogniwo. Robi to i dąży, aż w końcu przybędzie do samego kamienia i przylgnie do niego niewidocznymi więzami. To samo dzieje się na wszystkie strony. Gdzie tylko opróżnia się miejsce, czy z boku, czy w górze, zaraz pędzą w próżnię sąsiednie ciałka. Pędzą je oczywiście uderzenia skądinąd, bo same z siebie nie mogą się wznosić w górne powiewy. Dołącza się tu pewna okoliczność, ułatwiająca sprawę, bo i ta rzecz ma także pomoc i ruch pomocniczy. Oto gdy przed ogniwem stanie się rzadsze powietrze, a miejsce bardziej puste i próżne, to natychmiast powietrze, mieszczące się w tyle, ponosi niejako i popędza od tyłu. Nieustannie bowiem rzeczy chłosta okoliczne powietrze. W tym zaś wypadku popędza żelazo, bo przestrzeń zieje z jednej strony pustką i chłonie w siebie. Powietrze, o którym ci mówię, przeniknąwszy swymi drobinami przez gęste otwory żelaza do jego drobnych cząstek, pcha je i pędzi, jak wiatr pędzi okręt i żagle. Wszystkie wreszcie rzeczy muszą zawierać powietrze, ponieważ mają rzadkie ciało i ponieważ powietrze otacza i przylega do wszystkich rzeczy. To więc powietrze, które jest głęboko ukryte w żelazie, miota się ciągle niespokojnym ruchem, a przeto z pewnością chłosta ogniwo i wewnątrz pobudza do ruchu. Ono oczywiście dąży tam, dokąd raz skoczyło, nabrawszy rozpędu ku próżnej stronie. (998–1041)

Zdarza się także, że czasem natura żelaza ucieka od tego kamienia, ucieka i znowu wraca zazwyczaj. Sam widzia-

łem, jak wyskakiwały żelazne kółka samotrackie[20] i jak szalały wewnątrz spiżowych czar opiłki żelaza, kiedy podłożono ten kamień z Magnezji. Aż tak gwałtownie chciałoby, zdaje się, uciec od kamienia. Ta tak wielka niezgoda powstaje skutkiem spiżowej przegrody dlatego, że oczywiście prąd spiżowy zajął i obsadził otwarte przewody żelaza, a później nadciąga prąd kamienny, wszystko znajduje zapchane w żelazie i nie ma wolnego przepływu jak pierwej. Z konieczności zatem uderza i tłucze swą falą żelazne wiązadła. Tym sposobem odpycha od siebie i niepokoi żelazo poprzez spiż, które bez niego zwyczajnie przyciąga. I przestań dziwić się temu przy tych rzeczach, że prąd z tego kamienia nie może tak samo popychać innych rzeczy. Częścią bowiem stoją niewzruszenie mocą własnego ciężaru, jak na przykład złoto, a częścią, mając ciało tak rzadkie, iż prąd przelatuje bez dotknięcia, nie dają się nigdzie popychać. Tego rodzaju jest, zdaje się, drewniana materia. Skoro więc pośrednia natura żelaza najdzie pewną ilością ciałek spiżu, to wówczas odpychają ją magnezyjskie kamienie swym prądem. (1042–1064)

Nie są to jednak rzeczy tak różne od innych, żeby mi z tego rodzaju jeszcze wielu szczególnych pomiędzy sobą spoideł nie starczyło do wymienienia. Widzisz przede wszystkim, że kamienie spaja tylko wapno. Drzewo klei się jeno karukiem tak mocno, iż częściej pękają deski skutkiem skazy w słojach, niż żeby ze swych kleszczy popuściły węzły karuku. Winne zdroje odważnie mieszają się z wodą, ale ciężka smoła i lekka oliwa nie mogą na to się zdobyć. Szkar-

[20] Przez „żelazne kółka samotrackie" należy prawdopodobnie rozumieć pierścienie wyrabiane na wyspie Samotrake, które składały się ze złota i z żelaza, o których wspomina Izydor (*Orig.* XIX 32,5; por. Petroniusz, *Sat.* 32; Plin. *Nat. hist.* XXXIII 23).

łatna barwa ślimacza łączy się tylko z ciałem wełny. Oderwać nie da się nigdzie, nawet choćbyś ją spłukiwał usilnie falą Neptuna i choćby nawet całe morze wszystkimi bałwanami zechciało ją zmywać. Czyż w końcu złota ze złotem nie łączy rzecz tylko jedna[21], czyż spiżu ze spiżem nie spaja jeno cyna? Tyle podobnych przykładów można znaleźć! Cóż tedy? Ani tobie tak długich kołowań chyba nie potrzeba, ani mnie nie przystoi tyle w to wkładać mozołu, lecz lepiej jest w kilku słowach ująć wiele pokrótce: jeżeli przędziwa rzeczy tak przypadną do siebie wzajemnie, iż wklęsłości zejdą się z wypukłościami u obu, to takie spojenie jest najpewniejsze; niektóre rzeczy mogą się jeszcze trzymać ze sobą, jakby były szczepione kółkami i zagiętymi haczykami, a zdaje się, że raczej to zachodzi, przy owym kamieniu i żelazie. (1065–1089)

A teraz wyjaśnię przyczynę chorób lub raczej skąd zjadliwa siła może nagle się zerwać i śmiertelną klęską porazić ród ludzi i stada bydląt. Wykazałem przede wszystkim już wyżej, że ziarna wielu rzeczy są dla nas życiodajne. Ale z drugiej strony musi krążyć wiele takich, co niosą chorobę i śmierć. Gdy one przypadkiem się zerwą i zamącą niebo, powstaje morowe powietrze. I cała ta siła chorób i zarazy albo górą, jak chmury i obłoki, z zewnątrz przez niebo przychodzi, albo też, i to często, zrywa się i ulatuje z samej ziemi, gdy mokra ziemia dojdzie do stanu zgnilizny skutkiem niewczesnej słoty i słonecznych razów. Zali nie widzisz, że wszyscy, co przybywają z dalekiej ojczyzny i domu, cierpią z powodu nowego nieba i wody, gdyż wielka w tych rzeczach panuje niezgoda. Bo cóż myślimy? Jakże

[21] Grecy nazywali substancję, służącą do lutowania złota ze złotem, „złotoklejem" (*chrysokolla*). O „złotokleju" (malachit, boraks?) nie mamy żadnych pewnych wiadomości.

odmienne musi być niebo Brytannów[22] od tego, które jest w Egipcie, gdzie się słania oś świata, albo jak odmienne od tego, które jest w Poncie lub w Gadach i dalej aż do czarnych plemion mężów o spalonej skórze? A jak widzimy, że te cztery nieba – od czterech wichrów i czterech stron świata – są między sobą zgoła różne, tak samo widzimy, że nawet w ludzkiej barwie i twarzy znaczna zachodzi różnica tudzież że choroby dręczą plemiona wedle rodzajów. Elefas[23] jest chorobą, która panuje opadal nurtów Nilu w pośrodku Egiptu, a zresztą nigdzie. W Attyce cierpią stopy, a oczy w achajskiej krainie. Inna znowu okolica nie sprzyja innym członkom i częściom cielesnym. Sprawia to rozmaitość powietrza. Przeto skoro się niebo porusza dla nas właśnie obce i skoro zacznie pełzać złowrogie powietrze, to ciągnie z wolna, jak mgła albo chmura i całe niebo zamąca, gdzie stąpi, i zmusza do zmiany. Może także dotrzeć w końcu do naszego nieba, zatruć je, upodobnić do siebie i uczynić obcym. Ta tedy nowa klęska i zaraza spada nagle albo na wo-

[22] Lukrecjusz wymienia Brytanię i Egipt jako północny i południowy, a Czarne Morze i miasto Gades (Kadyks) w Hiszpanii jako wschodni i zachodni kraniec ówczesnego świata kulturalnego (*imperium Romanum*). Grecy znali odleglejsze okolice. Wiedzieli np. o podróży Hannona z Kartaginy do dzisiejszego Kamerunu w V w. i o podróży Piteasa z Masalii do Wysp Szetlandzkich i Orkad, a może nawet do Islandii w IV w. p.n.e. W Egipcie odległość między gwiazdą polarną a horyzontem wydaje się mniejsza niż na północy i dlatego Lukrecjusz mówi, że „w Egipcie słania się oś świata" (Grecy zdali sobie bardzo wcześnie sprawę z nachylenia ziemi ku południowi; por. np. Empedokles fragm. A 58; Anaksagoras A 67; Leukippos fragm. A 27; Demokryt fragm. A 96; por. Wergiliusz, *Georg.* I 240 n.).

[23] *Elefas* (*elephantiasis*), choroba skóry zniekształcająca ciało i szczególnie nogi człowieka; występuje nie tylko w Egipcie, jak mówi Lukrecjusz, ale także gdzie indziej, np. w Arabii i w Indiach (liczne odmiany).

dy, albo osiada na samych zbożach lub innych pokarmach ludzkich i bydlęcych żerach, albo też jej siła zwisa i zatrzymuje się w powietrzu, a my wciągając stamtąd pomieszane wiewy w oddechu musimy z konieczności i ją równocześnie wdychać. W podobny sposób spada częstokroć zaraza także na woły tudzież ciężka niemoc na markotne owce. I nie robi różnicy, czy my przybędziemy do miejsc nam wrogich i zmienimy niebieskie nakrycie, czy też sama natura przyniesie nam niebo zatrute lub coś takiego, czego używać nie nawykliśmy i co nam swym świeżym przybyciem może zaszkodzić. (1090–1137)

Tego rodzaju choroba i śmiertelny zaduch zamieniły niegdyś w krainie Kekropsa[24] pola na cmentarze, wyludniły drogi i miasto ogołociły z obywateli. Oto zaduch powstał w głębi egipskiej krainy i przemierzywszy podczas drogi przestwór powietrzny i płynące pola runął w końcu na cały lud Pandiona[25]. Za czym tłumnie padali ofiarą choroby i zgonu. Z początku mieli głowę rozpaloną żarem i dwoje oczu świecących krwawym odblaskiem. Krwią broczyło także czarne wewnątrz gardło, zaciskał się przewód głosowy zapchany wrzodami, a język, tłumacz umysłu, ociekał posoką. Obolały ciężko się ruszał i był chropowaty w dotknięciu. Skoro potem siła choroby przez gardło pierś napełniła i spłynęła aż do znękanego serca chorych, wówczas wszystkie zaprawdę wierzeje życia pękały. Oddech ział

[24] *Kekrops*, pierwszy mityczny król ateński (Attyka nazywała się pierwotnie Kekropią). Lukrecjusz opisuje zarazę, która wybuchła w Atenach podczas wojny peloponeskiej w 430 r. p.n.e. i którą w mistrzowski sposób opisał Tukidydes (II 47 n.). Opis Lukrecjusza świadczy o znajomości literatury medycznej.

[25] *Lud Pandiona*, Ateńczycy. Imię Pandiona powtarza się często i w ogóle jest typowe dla mitycznych królów ateńskich.

z ust wrażym smrodem na zewnątrz, jak to cuchną zgniłe, porzucone trupy. I wszystkie już wówczas siły ducha, całe ciało mdlało tuż na progu śmierci. Nieznośnym cierpieniom towarzyszył nieodstępnie trwożny niepokój i skarga pomieszana z jękiem. Trapiła ich czkawka. Często przez noc i dzień szarpała im ustawicznie ścięgna i członki. Zamęczała znękanych już przedtem. A nie mógłbyś widzieć, żeby komuś gorzała na wierzchu zbytnim gorącem wierzchnia część ciała, lecz ciało wydawało się raczej ciepławe pod dotknięciem dłoni. Równocześnie ogniło się całe, jakby od rozpalonych wrzodów, podobnie jak wygląda wówczas, gdy święty ogień sroży się po członkach. Atoli wnętrze ludzi gorzało do kości. Ogień płonął w żołądku jak w piecu. Niczym dość lekkim i cienkim nie mógłbyś przynieść ulgi członkom niczyim, ale za to zawsze wianiem i chłodem. Rozpalone chorobą członki zanurzali częścią w zimnych rzekach, rzucając się nago w fale, wielu zaś spadło do głębokich wód studziennych, głową naprzód, z rozdziawionymi ustami. Suche pragnienie, którego nie gasiło żadne zanurzanie ciała, zrównywało wielką ulewę z małym deszczykiem. I nie było żadnej ulgi w cierpieniu. Wyczerpane ciała leżały bezsilnie. W niemej trwodze mamrotali do siebie lekarze, zwłaszcza gdy tamci toczyli bezustannie wytrzeszczonymi, rozpalonymi chorobą i snu pozbawionymi oczyma. I wiele jeszcze jawiło się wtedy oznak bliskiej śmierci: w smutku i strachu zamroczony umysł, posępne czoło, wściekły i zacięty wyraz twarzy, a dalej uszy pełne zgiełku i dźwięków, szybki albo bardzo głęboki i powolny oddech, strugi połyskliwego potu na szyi, słone śliny, drobne, cienkie i zabarwione szafranową barwą, które ledwie że się wydobywały w kaszlu z ochrypłego gardła. U rąk znowu kurczyły się ścięgna i drżały członki, od nóg zaś

szedł powolny chłód. Tak samo w ostatniej wreszcie chwili ściśnięte nozdrza, wydłużony i szpiczasty koniec nosa, wpadnięte oczy, wklęsłe skronie, zimna i twarda skóra. Wargi wisiały bezwładnie, a naciągnięte czoło tężało. Niedługo potem leżały członki w sztywnej śmierci. A gdy po raz ósmy zaświeciło jasne słońce lub też przy jego dziewiątej mniej więcej pochodni oddawali życie. Jeśli zaś ktoś z nich, jak to bywa, uniknął mar zgonu, to później i tak czekała go śmierć i konanie z powodu szkaradnych wrzodów i czarnej wydzieliny z brzucha. Lub też z wielkim często bólem głowy szedł z zapchanego nosa strumień krwi popsutej, a z nim uchodziły wszystkie siły cielesne człowieka. A dalej, kto wyszedł z gwałtownego upływu krwi szkaradnej, to i tak choroba szła mu do mięśni i członków, a nawet do rodnych części ciała. I częścią żyli w udręczeniu, zbawiwszy się męskiego członka żelazem ze strachu przed progami śmierci, częścią, choć bez rąk i nóg, woleli jednakże pozostać przy życiu, a część wreszcie płaciła utratą wzroku. Tak gwałtowny strach przed śmiercią ich przejął. Innych opanowało zapomnienie wszystkich rzeczy, tak iż nawet siebie samych nie mogli poznawać. A chociaż na trupach leżało wiele trupów nie pogrzebanych, to jednak ród ptaków i drapieżnych zwierząt albo uciekał daleko, by ujść przejmującej woni, albo nadgryzał, padał opodal i zdychał. Lecz podczas owych dni żaden w ogóle ptak nie ważył się pojawiać, a posępne pokolenia dzikich zwierząt nie wychodziły z lasów. Bardzo wiele opadało na siłach z powodu choroby i kończyło. Przede wszystkim wierne psy leżały pokotem po wszystkich drogach i mozolnie wydawały duszę, albowiem siła choroby w męce wyciskała życie z członków. Samotne, ciche pogrzeby prześcigały się w dorywczości. I nie było żadnego sposobu leczenia, zbawczego dla

wszystkich. Albowiem to, co jednemu dało toczyć w ustach życiodajne powiewy powietrza i dozwoliło oglądać niebieskie przybytki, było dla innych zgubą i powodem śmierci. A jedno było w tych rzeczach szczególnie żałosne i przykre: kiedy mianowicie ktoś ujrzał się w szponach choroby, to upadając na duchu leżał z sercem pełnym rozpaczy, jakby był na śmierć skazany, i spozierając na trupy wydawał duszę na tym samym miejscu. Bo oto ani na chwilę nie przestawała chciwa zaraza porywać jednych za drugimi, jakby wełniste trzody i rogate stada. A to przede wszystkim kładło zgon na zgonie, że tych, co ze zbytniej miłości do życia i z trwogi przed śmiercią nie chcieli doglądać swych chorych, karał niedługo potem brak opieki nędzną i nikczemną śmiercią, mordując samotnych i pozbawionych wszelkiej pomocy. Uczynni zaś ginęli skutkiem zarażenia się i trudu, który ich wtedy ponosić zmuszało poczucie obowiązku i dziękczynne słowo chorych, pomieszane z jękiem skargi. A więc każdy najlepszy ponosił śmierć tego rodzaju[26]. . . . . .
jednego na drugich, grzebiąc na wyścigi tłum swoich zmarłych. Wracali znękani łzami i smutkiem. Sporą część waliła następnie na łoże żałość. I nie można było znaleźć nikogo, kogo by albo choroba, albo śmierć, albo smutek w takowym czasie nie nękał. (1138–1251)

Niedomagał już zresztą każdy pasterz i wolarz, a tak samo krzepki kierownik krzywego pługa. W głębi chaty leżał stos ciał, które choroba i nędza wydały na łup śmierci. Mógłbyś oglądać rodziców bez duszy na trupach dzieci i na odwrót, dzieci mrące na zwłokach matek i ojców. I nie

[26] W tekście przekazanym przez kodeksy została opuszczona prawdopodobnie większa ilość wierszy.

w najmniejszej części spłynęła ta żałość z pól do miasta. Zawlokła ją rzesza zarażonych wieśniaków, ściągająca ze wszystkich stron. Zapełniali wszystkie miejsca i domostwa, a śmierć ich tym więcej z powodu zaduchu w takiej ciasnocie kładła stosami. Wielu wyganiało pragnienie. Wlokły się ciała drogą do zbiorników wody i tu leżały pokotem, zachłysnąwszy się na śmierć zbyt rozkoszną wodą. Po miejscach, przeznaczonych na użytek ludu, i po wszystkich drogach mógłbyś co krok widzieć, jak omdlałe członki na półżywym ciele, najeżone brudem i pokryte łachmanami, ginęły w otchłani niechlujstwa. Skóra jedynie na kościach, i to już prawie pogrzebana pod wstrętnymi wrzodami i gnojem. Wszystkie wreszcie świątynie bogów śmierć wypełniła zwłokami. Wszystkie przybytki niebian były wszędzie naładowane trupami, które to miejsca strażnicy napchali gośćmi. Niewiele już bowiem zważano na cześć i bóstwo bogów. Ból bezpośredni górował nad wszystkim. Ani też nie zachował się w mieście ten zwyczaj chowania, jakim ów lud bogobojny nawykł się grzebać. Zapanował bowiem ogólny popłoch i zamęt i każdy w strapieniu grzebał swoich, jak się dało. I do wielu okropnych nadużyć popchnęła nagląca konieczność i nędza. Oto swoich krewnych kładli na ogromnych, cudzych stosach z nieludzkim wrzaskiem i podkładali żagwie, często walcząc i wylewając raczej krwi potoki, niż żeby trupy miały zgnić w opuszczeniu. (1252–1286)

SPIS TREŚCI

WSTĘP
Atomizm grecki: geneza i przedstawiciele V
Lukrecjusz i jego dzieło XXIII
Uwaga bibliograficzna – ważniejsze wydania L

O RZECZYWISTOŚCI

KSIĘGA PIERWSZA 3
KSIĘGA DRUGA 39
KSIĘGA TRZECIA 76
KSIĘGA CZWARTA 111
KSIĘGA PIĄTA 152
KSIĘGA SZÓSTA 197